ROK XXIV.
Ogólnego zbioru Tom XCIV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA. 2

1899.

DRUK. i LIT. JANA COTTY,
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 28 kwietnia 1899 r.





DLA MILIONA.

I.

— Hej ty tam!... Dlaczego robisz tak powoli?! — zawołał pan Lejzor Krausberg, współwłaściciel kopalni wosku ziemnego.

— Toć idę — odburknął głośno robotnik, dźwigający w prawéj ręce kubeł napełniony kawałkami łupku, dobytemi z głębi jamy woskowéj i przystanął.

— Ty nie pyskuj, tylko rób, — wołał rozgniewany współwłaściciel, wysoki, szczupły brunet, z twarzą oliwkową, porośniętą szpakowatą brodą i krótkiemi pejsami, sterczącemi z pod kapelusza kastorowego, z wysokiém denkiem, zatłuszczonego i błyszczącego.

Robotnik bosy, w zgrzebnéj koszuli zawiązanéj u szyi, roztwartéj na piersiach, przepasanéj paskiem i spuszczonéj niemal do kolan na zgrzebne spodnie, posunął się leniwie daléj, patrząc z pogardą na złoszczącego się właściciela.

Na usłyszany hałas, wyszedł szybko z pod dachu z desek, okrywającego jamę woskową, gruby, przysadzisty dozorca i niezgrabnie biegł ku stojącemu p. Krausbergowi.

— Co to jest? — mówił szybko w żargonie właściciel — ty Uszer za to bierzesz pieniądze, aby pilnować to bydło.

— Nu, co się stało, panie Lejzor? — spytał zasapany.

— Ten tam łajdak, ten lepiarz ledwie powłóczy nogami — mó-

wił, wskazując na robotnika, wracającego z pustym kubłem, który nosząc wydobyty łupek i lep, należał do tak zwanych lepiarzy.

— Ten?... Ja jego wypędzę.

— Ty nie wypędzaj Uszer—mówił spokojniéj pan Krausberg—z nich każdy leniwy, jego trzeba pilnować, a teraz idź do roboty.

Uszer poszedł szybko do jamy woskowéj, a jego gromki głos wyzywający robotników był miłym dla pana Lejzora, bo się uśmiechał i tryumfalnie rozglądał w około, rad swéj powadze i znaczeniu.

Patrzał z pewną chełpliwością i lubością na liczne jamy, pokopane w odległości do trzech metrów jedna od drugiéj. Każda była nakryta dachem z cienkich desek, pod którym robotnicy pracowali. Jedni w głębi jamy— to właściwi górnicy czyli jamarze, na powierzchni dwóch kręciło korbą, na któréj odwijała się i rozwijała dość gruba lina, windująca pracę jamarzy w kubłach.

Wszędzie, w około, powietrze było przesycone ostrą wonią nafty i surowego wosku ziemnego. Pomiędzy jamami przepływały leniwo potoczki wybieranej z jam wody podskórnéj, brudnéj, żółtawéj, z pływającemi oczkami ropy naftowéj, błyszczącéj w promiemieniach słońca metalicznie. Wyrzucana glina, szuter, piaskowiec tworzyły obrączki to wyższe, to niższe około jamy, a przy każdéj z nich była w ruchu grupa robotników, zabrudzonych, nędznych, chmurnych, pełniących pracę z musu, bez żartów, rozmów, piosenki.

Między jamami, to tam, to owdzie przesuwali się żydzi, w butach wysokich, bez chałatów, rzucali sobie słowa w żargonie i szli daléj zajęci gorączkowo.

Pan Krausberg założywszy ręce w tył, szedł daléj, rozglądając się bacznie, nie zważając na kałuże i błoto, opryskujące zrudziałe cholewy i chałat zbrudzony, z wielkiemi tłustemi plamami.

Poranek majowy, pogodny, promiejący słońcem, prócz jasności rozświetlającéj szczegóły kopalni, i ciepła, nie zaznaczał się na Wolance, na małéj wyniosłości dominującéj nad Borysławiem, ani zielenią murawy, ani świeżym powiewem powietrza mimo blizkości lasów Tuchanowic, wsi za Wolanką położonéj.

Duszne wyziewy wosku i nafty surowéj; ciężka, nieustająca praca najemników; gorączka interesów u przebiegających żydów panowały tu niepodzielnie.

Dwadzieścia szybów, czyli studzien woskowych, należących w piątéj części do p. Krausberga, były w ruchu. Jedne z nich nie dotarły jeszcze do woskonośnych pokładów, inne przynosiły już dochody, do jednego z nich nadszedł p. Krausberg.

— Co słychać u ciebie, Abrum?

— Wszystko dobrze, panie Lejzor — odpowiedział dozorca, nizki, ruchliwy szatyn, gładząc swą ciemną brodę. — Wosk jest, ale i kindybał także — to mówiąc, wskazał na kupę żółtawego, z czarnemi żyłkami wosku i na czarną, ciastowatą masę mniéj cenną, zwaną w Borysławiu i na Wolance kindybał.

Pan Krausberg spojrzał okiem znawcy na jedną kupę, na drugą i mruknął:

— To nic! Ty Abrum zmieszaj razem, ono pójdzie w hurt!

Z kolei zwrócił swą uwagę na pracę trojga dziewcząt, które tępemi nożami zeskrobywały wosk z łupku, dobytego z jamy. Zazwyczaj bowiem wosk w pokładach, przy pracy oskardem, przychodzi na wierzch zmieszany ze skałą, od któréj oddzielają go dziewczęta siedzące pod dachem opodal.

Jedna z dziewcząt, ładna, młoda brunetka w czerwonéj chusteczce, zawiązanéj pod brodą, zachichotała głośno, patrząc mile na siedzącego niedaleko robotnika, który rozweselony wołał z uśmiechem:

— Jadłbym cię łyżką, jak miód, Kasiu.

— Eee, nieprawda...

— Abym tak zdrów wyszedł z jamy... oj smakowałabyś mi, smakowała lepiéj niż sam miód.

Śmiał się głośno, wtorując chichotom dziewcząt.

— Cicho tam, czy nie widzisz, że jest sam pan właściciel?—gromił dozorca za brak uszanowania.

— Gęby ci nie sprzedałem, ino czas — odparł dość twardo robotnik.

Rozległy się śmiechy, tak pracujących przy korbie, jak i dziewcząt i noszących kamień w kubłach.

— Stul pysk! — wrzasnął dozorca.

— Ty Abrum kindybałem zatkaj go sobie — zawołał Paweł, młody chłop jamarz, jak widno po oskardzie i lampce obok stojącéj.

— Abrum, czy on dobry? — spytał pan Krausberg spokojnie.

— On?... On sobie niczego.

— To niech się śmieje, ja mu pozwalam.

Dzwonek umieszczony nad korbą zabrzmiał w krótkich odstępach trzy razy, znak, że człowiek wyjeżdża z jamy. Na ten odgłos dzwonka dwaj robotnicy, lepiarze, zajęci noszeniem łupku oczyszczonego do płuczki, poskoczyli do drugiéj korby, niedaleko jamy umieszczonéj, i poczęli równocześnie kręcić z ciągnącymi kubeł. Wkrótce jednak poczuli prawie zupełny brak ciężaru i jeden z nich zawołał:

— Maksym jedzie bez pasa— rozumiejąc, że jamarz nie obwiązał się pasem bezpieczeństwa, lecz swobodnie stoi w kuble.

— Wyciągnijcie pas — rozporządził dozorca.

— Ten Maksym zawsze odważny — mruknął zadowolony pan Krausberg.

— On dobry, żeby nie taki zawadyaka — objaśniał w żargonie Abrum.

— Co to nam szkodzi!? — rzekł właściciel, wzruszając ramionami.

Z głębi jamy wysunęła się głowa, okryta zmokłym, gliną powalanym kapeluszem, i zwolna okazała się wysoka, silna postać jamarza Maksyma, stojącego jedną nogą w kuble, przytrzymującego się liny jedną rękę, a w drugiéj dzierżącego lampkę.

Oczy jego szukały spojrzenia Kasi, a spotkawszy uśmiechnął się, następnie spostrzegł stojącego Pawła i obaj zmierzyli się nienawistném okiem.

— Nu, Maksym, wosk jest? — spytał z uśmiechem właściciel.

— Mało—odmruknął zagadnięty, wyłażąc z kubła na ziemię — więcéj kindybału i sytycy, aniżeli wosku.

— Nic nie szkodzi, aby był wosk.

Maksym nie słuchał tych słów, zwrócony chmurny z nienawistném spojrzeniem w stronę Pawła, który z uśmiechem żegnał Kasię.

— Ruszaj Pawle! — zawołał dozorca.

Z oskardem i lampką w ręku szedł Paweł ku korbom, patrząc zuchwale w oczy Maksymowi. Tuż przy korbie czekał na niego z pasem w ręku jego przyjaciel Jan, nizki, przysadkowaty robotnik, z wygoloną twarzą, i zapinając jedyny podówczas pas pod ramionami, szepnął:

— Ty się strzeż Pawle, Maksym zły jak sobaka, a mściwy jak żyd.

— Co mi tam... Równe mamy prawa do Kasi, zobaczymy, kto lepszy!

— Hm... prawa to niby równe, ale on silniejszy.

— Ee... mam i ja siłę, niech sprobuje.

— Hej! wsiadać!—krzyknął dozorca, i Paweł usiadłszy na krawędzi jamy, spuszczoną nogą przyciągnął kubeł, objął linkę prawą ręką, stanął jedną nogą w kuble, zostawiając drugą swobodną, by w razie potrzeby módz się nią odepchnąć od wązkich ścian szybu, szerokiego na jeden metr, i skinąwszy głową Kasi, zjechał w głąb.

Maksym wyjął z tobołka chléb i usiadł niedaleko dziewcząt, a zajadając, klął przez zęby:

— Skręcę łeb jak wróblowi, tak mi Panie Boże dopomóż.

— Komuż to? — spytała Kasia.

— Temu pastuchowi, pokrace — zawołał z gniewem, wskazując ruchem głowy na jamę.

— Ee... nie bądź tak zawzięty — szepnęła spoglądając nań zalotnie.

— Darowałbym mu życie, ale tylko dla ciebie.

— Zróbże to dla mnie.

— Maksym! — zawołał dozorca—nie pójdziesz na wódkę? Tam w szybie taki zaduch.

— Może... jak zechcę, nie spytam o pozwolenie.

Abrum pokrył uśmiechem niezadowolenie z odpowiedzi, zachęcanie bowiem do picia było jedną z tajnych umów pomiędzy nim a Ickiem Seemanem, karczmarzem i restauratorem robotników kopalni Krausberga, który udał, że nie słyszy rozmowy, patrząc z uwagą na robotnika, zabierającego w kubeł odrzucone przez dziewczęta kamienie.

Kiwnąwszy głową dozorcy, szedł p. Krausberg w ślad za robotnikiem do dwóch żydów, którzy na wielkich sitach przemywali otrzymywane kamienie. Przyklejone resztki wosku na mocy ciężaru gatunkowego spływały na wierzch przy silném poruszeniu sita napełnionego kamieniami i wodą. Małym przetakiem wyławiano pływające kawałki wosku i rzucano na kupę.

Właściciel przypatrywał się pilnie nerwowéj robocie żydów sitarzy i w milczeniu przeglądał kamienie leżące, czy są dobrze wypłukane z wosku. Kamienie tworzyły wielką kupę, po któréj ku szczytowi posuwał się pan Krausberg. Wszedł na sam wierzch. Przed nim w dolinie rozciągał się Borysław nastroszony dachami deskowemi jam, wieżami kanadyjskiemi do wiercenia w ziemi, cały szary, kamienisty od hałdów skał i gliny, wyrzucanych z jam kopanych. Z lewéj strony piętrzyły się lesiste góry, z prawéj świeciły w dali uprawne, zbożem porośnięte pola Nie te jednak widoki nęciły pana Krausberga, on patrzał uporczywie, z zazdrością i zawziętością na oliwkowéj twarzy, blisko, na kopalnię sąsiada z lewéj strony. Tuż obok, na zakupionéj mordze gruntu szukał wosku zbankrutowany szlachcic, pan August Bratkowski, który w téj chwili, w szaréj marynarce, w lśniących butach i kapeluszu panama na głowie, stał obok jednego z ośmiu kopanych szybów i śmiejąc się, łając, żartując, zachęcał robotników do pracy.

Przez chwilę patrzał na niego p. Krausberg i jakby nie mógł znieść tego widoku odwrócił się mruknąwszy:

— Abyś ty raz przepadł!—i zwolna zeszedł z hałdy kamieni.

Lecz jak magnes przyciąga żelazo, tak pan Krausberg mimo swéj woli raz poraz spoglądał na sąsiadującą kopalnię i bezwiednie zbliżał się do niéj.

Stanął na granicy naznaczonéj płytkim rowczakiem i kilku palikami, spojrzał za siebie i przed siebie i z niewinną miną zaciekawionego zbliżył się do najbliższego szybu.

— A czego? — krzyknął dozorca, pół-chłop pół-mieszczanin, sądząc z ubioru.

— Ja nic, tak przez ciekawość, jak u was idzie, przyszedłem tutaj.

— Ho, ho, u nas dobry wosk, a będzie lepszy — chwalił się dozorca, wskazując na ładny, żółty wosk.

— Tce, tce, — cmoknął żyd, kręcąc głową — wosk bardzo dobry, a dużo?

— Ile tam Pan Bóg da, bywa różnie, i dużo, i mało.

— To chwała Bogu, dokopię się i ja takiego.

Na te słowa wszedł pod dach szybu pan Bratkowski, tęgi, średniego wzrostu, ciemny blondyn, z wielkiemi wąsami i długą napoleonką, w okularach, przysłaniających ciemno-niebieskie oczy.

— Dzień dobry, panie Lejzor!—zawołał wyciągając rękę.

— Klaniam panu,—odpowiedział, uchylając kapelusza i ściskając z szacunkiem podaną rękę.

— Co słychać nowego? dobrego? Jakie ceny na wosk?

— Wszystko po staremu, nic nowego, nic dobrego, a ceny zależne od wosku.

— No, a za ten? — spytał, wskazując na świeżo wydobyty.

— To czysty, dobry wosk.... Wczoraj dawano od 15 do 17 guldenów za centnar.

— Hm... cena niezła, ale ledwie, ledwie opłaci koszta... Ile téż kosztuje pana wydobycie centnara?

— To zależy, czasem więcéj, czasem mniéj, dowiem się przy końcu roku.

— O, ja prowadzę ścisłe rachunki, mnie samego centnar kosztuje dziesięć guldenów.

— To pan ma ładny zarobek,— uśmiechnął się pan Krausberg z ukrytą ironią.

— Phi, co za zarobek?! A policz pan procenta od włożonego

kapitału, moją płacę za nadzór i rachunki, utrzymanie domu w Drohobyczu, co mi zostaje?

— Żydek byłby kontent, ale pan przyzwyczajony do wydatków....

— Ale, hale... Zapomniałem już panie dobrodzieju o dawnych czasach... Ale, ale panie Lejzor, czy i do pana zajeżdża tak ciągle ten utrapiony komisarz górniczy?

— Jak on ma interes, to przyjedzie.

— A do mnie niemal co drugi dzień, a jeśli nie on to ktoś z policyi.

Słuchacz uśmiechnął się złośliwie kącikami ust i spytał z udaném współczuciem:

— I czego oni pana tak napastują?

— A dyabli wiedzą, to próbują siły lin, znów panie dobrodzieju patrzą na materyał, albo na nity rur od młynków, alboż takiemu skurczypale dużo potrzeba, aby mi dokuczyć.

— Hm. . hm... a może oni chcą łapówki,— szepnął zcicha, mrugając porozumiewawczo.

Pan Bratkowski machnął ręką, westchnął i rzekł:

— Próbowałem i tego panie Lejzor, ale nie pomaga.

— I tak często przyjeżdża?

— O, bardzo często, pewno i dziś panie dobrodzieju nadleci, bo dwa dni był spokój.

— To źle, to przeszkadza w robocie i psuje robotników.

— No, a jak tam u pana?.. Czy tylko pan nie idzie w mój grunt chodnikiem, bo ma pan tam bliski szyb.

— Ja?... My idziemy sztolniami zawsze na zachód, mamy chwała Bogu swój grunt, na co nam obcy?

— A to dobrze, bardzo dobrze, panie Lejzor, bo już chciałem wezwać geometry, aby zbadał.

— Po co ten koszt? Ja sam pilnuję porządku.

Przy dalszym szybie wszczęła się kłótnia, spojrzał w tę stronę niespokojnie pan Bratkowski i odchodząc szybko, zawołał:

— Do widzenia, panie Lejzor! Idę ich godzić!

— Kłaniam, kłaniam, — rzekł żyd, zdejmując kapelusz, a po chwili idąc ku swym szybom, szepnął z zazdrością:

— On ma jednak dobry, całkiem czysty wosk!

Szedł zwolna, zamyślony, w tém z jednego szybu zbliżył się szybko dozorca i prawie szeptał:

— Panie Lejzor, u mnie liny słabe, trochę przetarte, może być wypadek...

— Jak dawno liny w robocie?

— Drugi tydzień, ale to taki gałgański materyał.

— Muszą służyć daléj — zadecydował pan Krausberg.

— Nu, a jak będzie wypadek?

— Czy ty włazisz do szybu?—uśmiechnął się złośliwie.

— Ja, nie!

— Bądź spokojny, ludzie znajdą się zawsze.

Dozorca poszedł do swéj roboty, a Pan Lejzor dumny swą oszczędnością i ścisłym rachunkiem, które z biedaka zrobiły go jednym z współwłaścicieli dwudziestu szybów, powiódł w około tryumfalném okiem. On czuł w téj chwili swoją wartość i wielkość, od którego zależało teraz około dwustu czterdziestu ludzi, pracujących dla niego, dobywających dla niego pieniądz z głębi dusznych, niebezpiecznych szybów. Patrząc, spotkał wzrokiem i ośm szybów sąsiada, zabłysły mu oczy chciwością, przyciął zębami wązkie wargi, i po chwili szepnął w rodzaju pocieszenia:

— I one będą nasze... Dlaczego nasze?.. One będą moje!

Znów z jednego ze szybów zbliżył się dozorca.

— Czego chcesz?

— U mnie panie Lejzor skręca się szyb.

— Dlaczego on się skręca?

— Mówią, że szuter zwalił się w tę stronę.

— Co chcesz, żebym ci poradził?

— U mnie cembrowina pęka, jeszcze może się zwalić i zasypać jamarzy.

— A dużo wosku z jamy?

— To resztki, mieliśmy robić do końca tygodnia i porzucić szyb.

— To ty rób swoje, a szyb niech się kręci.

— Dobrze, panie Lejzor.

Słońce południowe zaczęło dopiekać, rozgrzewając kamienie i wzmagając silną woń naftową. Pan Krausberg rozpiął chałat, zpod którego widniała ciemna wytarta kamizelka, a na spodnie brudne, dymkowe w paski, spadały i chwiały się w ruchu cyces, sznurki widzenia, potrzebne w chwilach modlitwy. Z rękami w tył założonemi kierował się ku kancelaryi kopalni, małemu, odrapanemu domkowi drewnianemu, stojącemu na krawędzi gruntu z prawéj strony. Idąc, posłyszał głosy gniewliwe i głośne, płynące ze szybu Abruma. Podszedł bliżéj i zawoławszy dozorcę, spytał o przyczynę.

— Teraz południenek, to zaraz kłótnia. Maksym krzyczy na Jana,

a Jan wrzeszczy na Maksyma. Im idzie o Pawła i jedną dziewczynę, to chłopskie zwyczaje, — uśmiechnął się ironicznie.

— Tak mówisz?... No, jeśli oni w południe zamiast odpoczywać kłócą się i to o dziewczynę, im wszystkim jest za dobrze u nas... Idź, zawołaj mi zaraz Icka.

Posłuszny Abrum szybko poszedł ku karczmie Icka Seemana i wkrótce zjawił się w towarzystwie nizkiego, rudego żydka, który pozdrowiwszy właściciela, czekał poleceń.

— Ty Abrum,—zaczął pan Lejzor,—idź pogódź chamów, niech nie krzyczą; a ty Icek posłuchaj...

— Ja słucham, panie Lejzor.

— Ile masz moich robotników?

— Ja mam stu dwudziestu chłopów i sześćdziesiąt kobiet.

— Jak ty liczysz? No, a sitarzy, a dozorców, to nic?

— To sami nasi.

— Hm... Ty nam zapłacisz na miesiąc z każdego robotnika trzydzieści krejcarów, razem pięćdziesiąt cztery guldeny....

— Jakto zapłacić? Za kogo? — wołał oburzony.

— Ty nie krzycz Icek! Za sto osiemdziesiąt dusz zapłacisz pięćdziesiąt cztery guldeny... A może nie zechcesz? Ja dam ich drugiemu i on mi zapłaci...

— Ależ, panie Lejzor, ja już kasyerowi płacę po pięć krejcarów z robotnika...

— To mnie nic nie obchodzi... Ty zapłać nam.

— Ale skąd? ale jak? ale za co?

— Im jest za dobrze, oni się kłócą, zamiast odpoczywać, ty nie umiesz robić interesów. Co taki chłop potrzebuje? Jemu aby wódka, czarny chleb i nocleg, to postaraj ty się o tanią wódkę, o tani chléb i o tani nocleg, a my nie wglądniemy w twoje rachunki, chłopi są pełnoletni, oni wiedzą, co robią.

— To za drogo, panie Lejzor... ja z chłopa dam po dziesięć, a z baby po dwa...

— Ty się nie targuj ze mną . Dajesz czy nie?

— Niech się pan Lejzor nie gniewa; co ja mam robić, ja dam ale niech wypłata będzie co druga niedziela, to dłuższy kredyt... i ja już sobie poradzę.

— To rzecz kasyera, ty z nim pogadaj...

Icek Seeman zatrząsł się mimo gorąca i cały czerwony, potrząsając głową, mówił zdławionym głosem:

— Panie Lejzor, ja zostanę żebrakiem, tu płać, tam płać i jeszcze płać, co mi zostanie?

— To nie mój interes, ty rachuj — mówił obojętnie pan Krausberg, idąc do kancelaryi kopalni.

— Ja nie mogę — wybuchnął z gniewem.

— Znajdę innego.

Uszli kawałek w milczeniu, wreszcie przemówił Seeman:

— Ja się zgadzam, ale niech ja nastręczam robotników.

— Pogadaj z dozorcami.

— Mam z dwudziestu dozorcami gadać?! Ja wolę milczeć... Panie Lejzor, pan nic nie opuści, ja mam żonę i kupę dzieci.

— I ja mam żonę i dzieci.

— Nu, ja sprobuję jeden miesiąc, zaryzykuję i dam.

— Po co ryzyko? — uśmiechnął się z wyższością pan Krausberg, — ty tylko rachuj.

— Ja już porachuję.

II.

Pan Krausberg wszedł do do domku pobielonego, z pasami żółtéj gliny, rozmokłéj na deszczu, do sieni ciemnéj, wilgotnéj i skręcił na prawo. Otworzywszy drzwi nizkie, ucałował mezizes, dziesięcioro przykazań umieszczonych za szkłem, a przybitych do futryn drzwi i ze słowami:

— Dzień dobry Efet, — wszedł do izby dość wielkiéj, nizkiéj, z pułapem belkowanym, oświetlonéj dwoma oknami.

Wilgoć zatęchła, zapach nafty, staréj cebuli, czosnku i brudów, zmieszanych z dymem tanich cygar i tytoniów, napełniały izbę po brzegi.

Na pozdrowienie głośne, zerwał się z krzesła przy stole pisarz kopalni, Efet Roger, chudy, zgarbiony żyd, ubrany w lejbik watowany, szybko usunął się na bok i kłaniając się, odpowiedział cicho zwykłą formułkę powitania.

Izba prócz stołu wielkiego, sosnowego, niegdyś białego i trzech pierwotnych krzeseł posiadała w rogu tapczan z nędzną, brudną pościelą pisarza.

— Co słychać Efet? — spytał pan Krausberg, siadając na krześle przed stołem.

— Wszystko dobrze... Robiłem rachunki.

— Ja nie o to pytam, sam zobaczę rachunki i sprawdzę... ale... czy napisałeś do Lwowa.

— Już jest na poczcie pod adresem głównego urzędu górniczego.

— Co napisałeś?

— Jak pan mówił, tak zrobiłem... Poszła skarga, że Bratkowski zatapia swoją wodą sąsiednie kopalnie, że ludzie się duszą w jamach, bo młynki zamałe, że liny trą się o brzegi. .

— To dobrze... A do komisarza?

— Tę samą skargę, tylko antidatowałem dla niepoznaki.

— A pismo jakie?

— Do Lwowa ja sam pisałem, a do komisarza w Drohobyczu mój kuzyn.

— Ty Efet dobrze się sprawiłeś... ja będę to pamiętał tobie. Czy jadłeś obiad?

— Ja nie miałem czasu, ja rachowałem.

— Ty idź co zjeść, ja tu posiedzę.

Efet Roger, dość jeszcze młody, z wielkiemi, wypukłemi oczyma, z brodą w nierównych kosmykach, poprawił zrudziałą jarmułkę naciągnął długi surdut, rodzaj chałata, i spytał na wychodném:

— Może mam co załatwić? zobaczyć?

— Hm... Powiedz Ickowi, że te pieniądze ma złożyć w naszéj kasie dziś. albo jutro rano.

— Dobrze.

Po jego wyjściu pan Krausberg wyjął z kieszeni chałata kawałek gotowanéj kury, zawiniętéj w starą gazetę, bułkę i krająć po kawałeczku na stole, zajadał z wielkim smakiem, oblizując palce od czasu do czasu. Podczas jedzenia otworzył książkę rachunkową, pisaną w żargonie żydowskim i obliczał. Z dwudziestu szybów woskowych trzy zaledwie się opłacają, dwanaście daje dobry dochód a pięć jest w robocie.

Patrząc na dochód dzienny 150 fl., westchnął z żałością, że nim musi się obdzielić pięciu wspólników, gdyby on jeden był właścicielem?!... gdyby on miał taki grunt, taki wosk, jak Bratkowski!... i fala zazdrości, pożądania odbiła się na wyrazistéj twarzy. Wstrzymał się z jedzeniem, tak dalece zajął go plan posiadania sąsiedniego gruntu. Odetchnął, gorzko się uśmiechnął i zjadł przygotowany kąsek zimnéj kury z bułką.

Przeglądał wydatki. Cyfra około 800 guldenów za pierwsze 20 metrów wydała mu się bardzo wysoką.

Patrzał na poszczególne pozycye: koszt dozorców musi pozostać, materyały są już wyśrubowane do cen najmniejszych; robotni-

cy... tym można zawsze coś urwać. Teraz Maj, przednówek, w polu brak roboty, trzeba obniżyć cenę...

Co ten Bratkowski gada, że wydobycie centnara kosztuje go dziesięć guldenów!? Jego pewno więcéj kosztuje, bo spólników centnar bez mała kosztuje sześć guldenów, a oni przecież oszczędzają...

Nagle otworzyły się drzwi, wpadł Efet Roger w czapce i z progu zawołał:

— Matka!!

Pan Krausberg zbladł, posiniał, zerwał się z krzesła, rękami uchwycił się blatu stołu i spytał drżącym głosem:

— Który numer?

— To nie u nas, u Weinsteina jest matka,—odparł pisarz.

— Nie u nas!?... Ty Efet głupi z twoim krzykiem, — mówił gniewny, siadając ciężko na krześle, — co mi z matki u Weinsteina? Co ja zarobię?

— Ja bardzo przepraszam pana Lejzora, ale oni zrobili taki gwałt...

— Nu, opowiedz jak to było?

— W południe oni usłyszeli wielki szum, harmider w jamie, cembrowina pękała, a do góry szedł sam wosk... Mówią, że już jest połowa jamy pełna...

— Niech sobie będzie... może i nam Pan Bóg pobłogosławi i da nam matkę.

— Weinstein dał pięć guldenów dozorcy, po guldenie robotnikom, a pisarzowi dał... dziesięć guldenów!

— Weinstein zwaryował z radości, dość było dać dozorcy guldena, robotnikom wódki, no... a za co pisarzowi?

— Jakto za co? — oburzył się Efet. — Pisarzowi dziesięć za mało... Aj, ileż on musi pisać, rachować, korespondować!

— Nu Efet,— uśmiechnął się pan Krausberg,— ty pisarz, tobie pachnie dziesiątka, no i ja dam moją część, całe dwa guldeny, jak będzie matka u nas.

— Dziękuję, panie Lejzor, ja trzymam za słowo, ale czy będzie matka?

— Może Pan Bóg i da... A mówiłeś Ickowi o pieniądzach?

— Ja nie miałem czasu, taki był gwałt.

— A zjadłeś?

— Kiedy miałem jeść?

— Idźże i wracaj, a Ickowi powiedz, że dzisiaj muszą być pieniądze, zrozumiałeś, dzisiaj!

— Ja rozumiem.

Znów zagłębił się w rachunkach, wtém zapukano do drzwi, i tuż wszedł Josel Reich, nizki, niemłody szatyn, i zadyszany zbliżył się do stołu:

— Uf, jakie gorąco! Pan Lejzor pozwoli mi siąść?

— Siadaj... Chcesz mówić o matce Weinsteina? Już wiem.

— Ja nie z tym interesem, ja pracuję ciężko dla pana Lejzora.

— Co nowego?

— Bratkowski szuka tysiąca guldenów...

— Ile on ma wosku?

— On ma ze trzydzieści centnarów w magazynie.

— To on ma... 525 guldenów — mówił po chwili. Po co mu tysiąc?

— Wosk jest na wypłat robotników, na materyał, na wydatki, a tysiąc potrzebuje na spłat.

— Byłeś już gdzie?

— Nu, ja faktor jego, ja musiałem chodzić... byłem u Weinberga, Kertinga...

— Dają?

— Czemu nie mają dać? On ma trochę kredytu.

— Ty Josel idź jeszcze raz do nich, powiesz im, że z Bratkowskiego można pociągnąć, a jak oni podrożeją, ja dam taniéj, rozumiesz mnie?

— To nie jest trudne, ale co ja dostanę?

— Ile masz od niego?

— Od niego wyjdzie mi na pięć procent.

— A ile tamci dają tobie?

— Oni dają półtory procentu.

— Ja ci dam jeden i trzy czwarte.

— To zamało.

— Dam dwa.

— Niech będzie tak — westchnął faktor i powiernik pana Bratkowskiego.

Po chwil spytał pan Krausberg:

— Josel, a ile masz od sprzedaży wosku?

— Jak czasem, ale wyjdzie mi na jeden procent.

— Teraz mnie połuchaj... Idź ty na Borysław i jak spotkasz Lindemana, Weinberga, Weidemana, albo którego z kupców naszych, powiesz, że ja mam dziś z nimi do pogadania.

— Nu, dobrze.

— To nie koniec Josel... Ty musisz wstrzymać Bratkowskiego,

aby tutaj nie sprzedał wosku, ale wieczorem w Drohobyczu, albo jutro.

— A jeśli to zrobię, co będę miał?

— Ty dostaniesz.

— Ale ile?

— Dam tobie pół procent.

— Nie.

— Josel, ty drzyj łyko ostrożnie, bo drzewo uschnie — mówił pan Krausberg, ogryzając i wysysając kostkę.

— Takie drzewo nie uschnie — zaśmiał się faktor. — Ile będę miał?

— My się pogodzimy.

— Ja bez dwóch procentów nie zrobię.

— Ty Josel zrobisz za jeden procent... Co? Zgoda? — i wyciągnął rękę.

— Niech i tak będzie...: Ale jak my jego wyrzucimy, co ja zyskam?

— On goj, on zanieczyszcza nasz interes, on musi wylecieć, — zawołał z zawziętością pan Krausberg i rzucił pod stół wyssaną kość.

— Nu dobrze, on pójdzie.... A bank anglo-austryacki, on z gojów, co z nim zrobić? — zaśmiał się faktor.

— Bank?... To inny interes, bank jest z naszych, a akcye zakupili goje, już oni poradzą gojom.

— Tce, tce, — cmoknął z zachwytem Josel.

— Nu, co więcéj u was?

— Bratkowski pokłócił się z komisarzem. Ten komisarz coś upatrzył sobie do niego, zawsze zajedzie i krzyczy, sprawdza, probuje...

— To źle, — współczuł pan Krausberg, — taka zła opinia może obniżyć cenę, ty mu powiedz.

— On bardzo zawzięty na komisarza, po co mi gadać?

— Co tobie szkodzi podmuchać na ogień? — zaśmiał się gospodarz.

— Ale on ma twardą naturę, inny byłby już sprzedał i rzucił ten interes.

Pan Krausberg spojrzał podejrzliwie, skinął głową poważnie i rzekł półgłosem:

— Może i on rzuci, ja nie wiem.

— Nu, ja już muszę iść — mówił faktor, wstając.

— Ty Josel tylko pamiętaj, co mówiłem.

— Ja mam głowę tylko od pamięci.

Już zamykał książki rachunkowe, wynotowawszy cyfry potrzebne, gdy do pokoju wtoczył się z powagą gruby pan Silberman, wspólnik kopalni.

— Dobrze Szmul, że przyszedłeś, ja mam do roboty w Drohobyczu—odezwał się pan Krausberg.

— Ja pilnuję się godzin, przyszedłem zmienić ciebie Lejzor — mówił przybyły, siadając ciężko na krześle. — Masz co nowego?

— Nie, tylko Ickowi kazałem zapłacić 54 guldenów miesięcznie za naszych robotników.

— Jakto Ickowi? Nie rozumiem.

— Im jest u nas za dobrze, im kłótnie w głowie, dziewczęta, trzeba to ukrócić. Icek za dobrze ich karmi, za tanio daje, a ja myślę, że on za dużo zarabia na naszych robotnikach, niechże płaci i nam trochę.

— Ty Lejzor mądrze zrobiłeś, i ja zauważyłem, że w naszéj kopalni chamy mają za dużo pieniędzy.

Przez chwilę milczeli. Pan Silberman ubrany czysto, z pewną pretensyą do elegancyi, poprawił aksamitną jarmułkę, pokręcił ładnie zwinięte pejsy i odchrząknąwszy, zaczął:

— Lejzor, ty wiesz, że w Truskawcu jest wosk...

— Wiem, i co?—spytał patrząc badawczo.

— Ja tam kupiłem zakopy, mam ze dwadzieścia... ja chcę wspólnika, czy ty przystąpisz?

— W Truskawcu?... Nie.

— Czy tam gorszy wosk? — zawołał zaniepokojony.

— Może i lepszy, ale ja nie chcę.

— Dlaczego?

— Hm... Szmulu to długa historya...

— Jaka?

— Hm... Ja sobie myślę, że każdy szyb, to koń, on mnie wiezie i ciągnie w górę; jak koń dobry, niech on idzie w wózku, póki może, a co mi z dziesięciu koni, które sił nie mają i ja sam muszę ciągnąć wóz i konie? Ja wolę mniéj, ja wolę jednego konia, tylko niech on ciągnie dobrze.

— Ty Lejzor dobrze mówisz — rzekł z uznaniem wspólnik.

Zachęcony tém, mówił pan Krausberg daléj:

— Ja widziałem już majątki wielkie, z dwóch, trzech szybów, a potém one zniknęły, bo ciągle szukano pieniędzy w nowych szybach, a już ich tam nie było. I dlatego ja nie chcę Truskawca...

— Lejzor, ty będziesz bogaty, bo ty nie ryzykujesz ale oszczędzasz.

— Ja Szmul także ryzykuję, ale z rachunkiem.

— Lejzor,—zaczął po chwili wspólnik,— ja przechodziłem koło szybu Bratkowskiego, on ma ładny wosk.

— I ja widziałem.

— Nam trzeba wybić szyb blizko granicy, jest u niego, będzie i u nas, a nie będzie, my jego wosk podbierzemy.

Pan Krausberg, słuchając téj propozycyi, na razie drgnął i nachmurzył się. On chciał nabyć tę kopalnię, a taki szyb sąsiedni, to uszczuplenie jego przyszłéj własności, lecz z drugiéj strony ten zysk doraźny, widoczny, bezpośredni, chociaż i mały, lepszy jest od wielkich dochodów w mglistéj przyszłości, więc uśmiechnął się i rzekł:

— Ty masz racyę Szmulu.... W tym tygodniu szyb nr. 5 będzie zarzucony, on już się nie opłaca, my możemy spróbować, tylko ty pogadaj z naszymi wspólnikami, ja jadę do Drohobycza.

— Już ja to zrobię.

— Ty Szmulu tu zostajesz? — spytał, zabierając się do odejścia, a na potakujący znak, dodał: — Na przyszły tydzień trzeba obniżyć cenę robotników...

— Dobrze.

— Jak spotkasz kogo z naszych na Wolance czy w Borysławiu, powiedz o zniżce.

— Ja sam myślałem już o tém.

Pan Krausberg wyszedł z przygodnego biura, pogadał chwilkę z nadchodzącym Efetem i szedł przez kopalnię w kierunku postoju furmanek.

W pół drogi zawrócił, a zbliżywszy się do szybu, zawołał na dozorcę:

— Abrum! Abrum!

— Co takiego? — spytał, zbliżywszy się szybko.

— Słuchaj, czy ty masz znajomych u Bratkowskiego?

— Tam nasi lepiarze.

— Pewni?

— Nu, swoi.

— Ty wybierzesz jednego, sprytnego, niech on podetnie liny w którymkolwiek szybie.

— Hm... to trudno, to kryminał.

— Ty Abrum głupi. Czy ty myślisz, że ja chcę podciąć do połowy?... Czy ja chcę wypadku?... Niech on jeden sznurek podetnie, to głupstwo, lina będzie trzymała.

— Oni nie zechcą...
— Ja nie chcę darmo, ja dam guldena...
— Nie wiem...
— Jak mi to zrobisz, dostaniesz i ty pół guldena.
— Ja sprobuję.
— Abrum! tylko sza...
— Szaaa—powtórzył Abrum, mrugając oczyma, a pan Krausberg odchodząc, obrócił się i jeszcze raz syknął ostrzegawczo:
— Szsza!

III.

Przy drodze poniżéj kopalń stały rzędem żydowskie furmanki, czyniąc wielką i skuteczną konkurencyę kolei żelaznéj, tak taniością, jak i dowolnym czasem przejazdu do Drohobycza o półtoréj mili. Jeden z wozów długich, z siedzeniami przywiązanemi do drabinek, mogący pomieścić do piętnastu osób, był już prawie zapełniony. Przeważnie jechali żydzi, ale byli i robotnicy odziani ubogo, a i ten ubiór był czarny od plam nafty i wosku.

Pan Krausberg, znany wszystkim furmanom żydowskim, szedł bez pośpiechu do wozu wybiérającego się w drogę, wiedząc, że furman zaczeka nietylko na nowego pasażera, ale i na niego.

Jadący raz wraz krzyczeli i pomrukiwali na furmana, żądając jazdy, a ten w odpowiedzi miał zawsze te sakramentalne słowa:

— Zaraz, zaraz, już jedziemy, — bliższym jednak wskazał batem na nadchodzącego pana Krausberga.

Gdy ten stanął przy wozie, furman brutalnie usunął ze środkowéj ławki robotnika, usadowiwszy nowoprzybyłego. O cenie mowy nie było, żydzi płacili po dziesięć centów, inni, jak się udało, od dwunastu do piętnastu centów.

Jeszcze chwilę zwlekał, poprawiając uprząż, aż gdy nalegania przeszły w krzyk, usiadł na małym koźle, tuż nad dyszlem, i cmokając, wywijając batem nad końmi, ruszył zwolna z miejsca, szpiegując oczyma, czy nie nadchodzi nowy pasażer.

Wąską, kamienistą doliną Tyśmienicy, rzeczki małéj, górskiéj, prowadziła droga do miasta, pełna wybojów i przejazdów przez wodę. Mimo to, żydzi jadący, rozmawiając na razie hałaśliwie, wkrótce zaczęli drzemać, kiwając się w takt wozu, przeginającego się w tę i ową stronę.

Nareszcie wjechał wóz na gościniec gładki, a zmiana turkotu przebudziła śpiących, to ten, to ów ziewnął i znów zamknął oczy,

gdyż konie zwolna i z wysiłkiem zaczęły się wspinać na górę oddzielającą dolinę Tyśmienicy od miasta leżącego w kotlinie.

Szybka jazda z góry rozbudziła wszystkich. Z prawéj i lewéj strony gościńca stały małe, licho budowane domki mieszczan, między niemi pokaźniejsze, murowane, lecz brudne domy żydowskie,— wreszcie pod właściwém miastem nad małą, cuchnącą rzeczułką dawały znać o sobie ostrym kwaskowatym zapachem garbarnie.

Wóz stanął na zwykłym postoju furmanek borysławskich, na placyku obok klasztoru Bazylianów.

Pan Krausberg zlazłszy z wozu, udał się wprost do mieszkania w kamienicy własnéj, posiadającéj front i sklepy od rynku kwadratowego z ratuszem po środku. Szedł najbliższą drogą, od klasztoru skręcił w rynek na lewo i podsieniami arkadowemi, otwartemi ku rynkowi, podtrzymującemi pierwsze piętro lewego rzędu kamienic, przesuwał się szybko wymijając zręcznie przekupniów. Tu bowiem w podsieniach skupił się drobny handel miasteczkowy, widoczny nietylko po towarze, ale i ostremi zapachami śledzi, ryb suszonych, skór, dziegciu, smaru, owoców i pieczywa.

Od wczesnego rana do późnego wieczora, z wyjątkiem soboty, panował tu gwar i zgiełk handlarzy konkurujących ze sobą, ciągnących za rękawy i poły kupujących.

Pan Krausberg był zbyt znany, aby go nagabywano, co najwięcéj kupcząca zamamrotała zwykłą formułką, zalecającą towary, i po chwili umilkła spostrzegłszy omyłkę. On szedł daléj, niemal ku końcowi podsienia, skręcił w ciemną sień, odrapaną, brudną z oślizgłemi kamieniami, i otworzył drzwi na prawo do kuchni.

— To ty Lejzor?— spytała niemłoda, szczupła kobiéta z ostremi rysami twarzy.

— Ja, Sura,— co u ciebie?

— Wszystko dobrze, ja kupiłam na szabas ryby, zobacz jakie żywe, jakie ładne, — i odsłoniła ściérkę przykrywającą ryby w cebrzyku.

— Drogo?

— Niedrogo i zamówiłam jeszcze dla Boruchowéj dwie ryby.

— To dobrze—i otworzył drzwi do pokoju jadalnego, ciemnawego, bo okno wychodziło na wąskie, zabudowane, brudne podwórze.

Prócz wilgoci, zastarzałych resztek jedzenia i przypraw, czuć było brud i nieczystości małych dzieci i zapachy pokoju sypialnego, gdyż w tym pokoju na wielkiéj wyszarzałéj sofie sypiał syn Mojżesz lat 23 liczący.

Przez półotwarte drzwi dalszego pokoju dolatywały odgłosy dość krzykliwe dzieci, z których córka liczyła lat 9, a dwaj chłopcy byli młodsi.

Tuż za mężem weszła do pokoju żona, szybko zbliżyła się do otwartych drzwi dziecinnego pokoju, które zamknęła, wołając ostrym, cienkim głosem:

— Sza dzieci, ojciec przyjechał!

Następnie zwróciła się do męża, siedzącego na sofie:

— Lejzor, ty zmęczony, ja tobie dam kawy, a ty przeczytaj list od Esterki.

— Co ona pisze?

— Ona dostanie nagrodę w „*Deutsche höhere Töchterschuhle*".

Ojciec uśmiéchnął się z politowaniem i rzekł dość lekceważąco.

— Na co jéj nagroda?... Ja wolałbym, aby ona już męża dostała.

— Ty Lejzor mówisz, jak całkiem prosty żyd...—obruszyła się żona—ja pochodzę z dobréj familii i ona, moja córka, potrzebuje być edukowana.

— Niech ona będzie, co mi to zaszkodzi, dobrze, że nie kosztuje jéj edukacya, tylko życie.

— Ona pisze, że jéj u mego brata we Lwowie bardzo dogadzają... Lejzor, ona ma szczęście do ludzi—kończyła uradowana.

— Zobaczymy to, zobaczymy... No, a kawa będzie?

— Ja zapomniałam, ja tobie dam.

Rozparł się wygodniéj, a do wchodzącéj żony ze szklanką kawy rzekł:

— Suro, ja potrzebuję twoje dwie ryby, te większe.

— A co będzie na szabas?—spytała zaniepokojona.

— Ty kupisz, albo weźmiesz ryby Boruchowéj, ja potrzebuję.

— Dla kogo?

— Ja muszę dać komisarzowi.

— Lejzor, po co ty dajesz jemu tak często *rebuchem*?—spytała z miną zgorszoną.

Spojrzał na nią drwiąco i kosztując kawę lekko zafarbowaną mlekiem, rzekł:

— To mój interes,—ja wiem co robię.

— Szkoda mi ryb.

— Kupisz inne, a nie chcesz, to obejdziemy się jedną na szabas... Przygotuj mi kobiałkę i ryby, ja zaraz idę. Słuchaj Suro, może tu zajdzie Bratkowski, powiesz mu, że ja na mieście, ale dziś będę u niego.

— Po co ty będziesz?

— Ja mu dam tysiąc guldenów.

— Ty mu dasz dzisiaj?—zdziwiła się.

— Ja mu dam jutro, niech on czeka i boi się.

— Nu dobrze, ja mu powiem.

— A teraz dawaj Suro ryby.

Pił gorącą kawę przegryzając cukrem, przeciągnął się ziewając na sofie,—wstał, zajrzał do dzieci i wziąwszy od żony kobiałkę z rybami wyszedł.

Rozejrzał się uważnie po rynku, na którym niewielkiemi grupami rozmawiali szybko i niespokojnie żydzi, sunęli ociężale chłopi i przesuwały się strojniéj ubrane panie. Kobiałkę z rybami zawinął starannie w kraciastą chustkę i bocznemi ulicami, brudnemi, z cuchnącemi ściekami, pospieszył do mieszkania komisarza górniczego p. Wintera przy ulicy Stryjskiéj.

Dowiedziawszy się, że komisarza niema w domu, śmiało wszedł do kuchni czystéj, z błyszczącemi na półkach naczyniami kuchennemi.

— Czy jest pani komisarzowa?—spytał, stojąc przy drzwiach,—ja mam do pani komisarzowéj interes.

Służąca przyzwyczajona do częstych wizyt żydów przez pół otwarte drzwi poprosiła panią.

Na progu stanęła pani, pulchna blondynka, pytając po niemiecku:

— A, to Krausberg,—czego?

— Mój szwagier ze wsi przysłał mi świeże, żywe ryby. Ja wiem, że pan komisarz lubi ryby, to ja przyniosłem.

— Bez męża nie mogę przyjąć....

— Niech pani komisarzowa zobaczy, — mówił rozwijając kobiałkę, — to żywe ryby, one skaczą, to nie żaden prezent, ja się już porachuję z panem komisarzem.

Pani widocznie podobały się ładne ryby, bo uśmiechnęła się i rzekła.

— Wezmę te ryby, ale to nie żaden prezent, pan komisarz, mój mąż, zapłaci za nie.

— Czy to ja nie wiem?—mówił pan Krausberg, wykładając ryby na stół,—to pieniądz pewny.

— Zawalasz mi stół!—zawołała służąca—zaraz dam miskę.

Kłaniając się kilkakrotnie nizko, cofnął się tyłem ku drzwiom, wyszedł i uśmiéchnął się rad z załatwienia interesu.

Słońce miało się ku zachodowi; na ulicach kładły się grubsze cienie; trotuary liche, poszczerbione, zaśmiecone—zaczerniły się chałatami żydowskiemi, krzykliwemi sklepikarkami, które stawąły przed kramami, by odetchnąć chłodniejszém powietrzem.

Pan Kraušberg, zaczepiany przez tego i owego w sprawach wosku i nafty, dążył ku rynkowi, na którym o téj porze niedaleko apteki gromadzili się kupcy, faktorzy, ciekawi, a wszyscy mający bezpośrednią lub pośrednią styczność z woskiem i naftą.

Była to faktyczna giełda, decydująca o miejscowych cenach surowego wosku i nafty, o cenach zakopów, o kredycie i wartości poszukiwaczy płodów kopalnianych.

Do obradujących przystąpił pan Krausberg i zebrawszy poważnych kupców wosku, stanowiących o cenie produktu, przemówił:

— Co my mamy wpuszczać do nas goja? On psuje nam cenę wosku, podwyższa zapłatę robotnikom, ściąga na wszystkie kopalnie uwagę komisarza; my potrzebujemy się tylko porozumiéć, to on przestanie nam dokuczać.

— Co? Jak? — zabrzmiały głosy wietrzące zysk z téj przemowy.

— Ja mówię o Bratkowskim, taki głupi szlachcic wziął się do naszego interesu...

— On sam się przewróci — odezwał się poważny pan Lindeman.

— A co on nam popsuje, to kto naprawi? — zaśmiał się ironicznie pan Krausberg.

— Czego ty chcesz?—spytał niecierpliwie jeden ze słuchaczy.

— Ja myślę, że my jego wosk możemy tanio kupić, niech on pracuje, a my skorzystamy. Jak my ustanowimy dla niego cenę, kto kupi od niego?

— To dobrze pomyślane—pochwalono.

— On może wysłać wagonami do Lwowa—mówił z namysłem pan Stillbach.

— Na wagon nie wystarczy 10 czy 20 centnarów, na to potrzebne są kapitały, a tych on nie ma, zresztą my poradzimy i we Lwowie—bronił swéj myśli pan Krausberg.

— Jakże będzie?

— Zróbmy cenę... dziś stoi wosk 17 fl. 75 cent., a my damy mu tylko 15 fl.

— Ale kto kupi?—podniosły się głosy gorączkowe.

— Każdy z nas po starszeństwie.

Wkrótce nastąpiło porozumienie, z wieku otrzymał pierwszeństwo pan Weideman, a szóste miejsce przypadło panu Krausbergowi. Rozpoczęły się dalsze narady nad innemi sprawami, giełda rozprószyła się na chodniku, wtém zadzwoniły podkowy i na rynek wjechał pan Bratkowski. Stanął obok apteki, zeskoczył z najteczanki żółto malowanéj i wmieszał się między handlarzy. Pierwszego zaczepił pana Lindemana.

— Nie kupiłby pan wosku?

— A po ile?

— Cóż to, nie wiesz pan? Po 17 fl. 75 cent.

— Za drogo, pana wosk nie czysty.

— Ileż pan da?

— Co ja mam dać? Wosku dzisiaj bardzo dużo, ja nie kupię... Może weźmie Weideman, on spekulant.

Pan Bratkowski rozmawiał z tym i owym, ale napróżno szukał kupca i pana Krausberga, który znikł gdzieś w chwili jego przyjazdu Wreszcie napotkał pana Weidemana.

— Ja panu powiem, — mówił kupiec wysłuchawszy propozycyi,—pana wosk jest nieczysty, ja to wiem, ale ja chcę zaryzykować, ja kupię i dam 14 fl. za centnar.

— Czyś pan oszalał? Wosk stoi po 17 fl. 75 cent., a pan mi dajesz 14?

— Wosk nieczysty, co tam kindybału, lepu, ziemi?

— I co mi pan daje?—pytał zły.

— Ja dodam coś... jeszcze pół guldena...

— A niechże was,—zaklął siarczyście pan Bratkowski, splunął, wsiadł na wózek i odprowadzany drwiącemi spojrzeniami i uśmiechami pojechał do domu.

Zwolna zapadała noc i kupcy zmęczeni całodzienną pracą zaczęli się rozchodzić. Pan Krausberg odprowadzając interesanta, przeszedł na drugą stronę rynku i spotkał się na chodniku z komisarzem idącym na wista do kasyna. Ten zobaczywszy go, zawołał po nazwisku; usłużnie podbiegł pan Krausberg:

— Co to znaczy? — gromił komisarz — abyś mi przynosił prezenta do domu, ja tego nie chcę i nie przyjmuję...

— Panie komisarzu, jakie prezenta? — udał wielce zdziwionego.

— Jakto jakie? A te ryby twoje?!

— Ryby?! Co to za prezent? To jest nic... Ryby milczą, ryby nie umieją gadać.

Pan Winter uśmiéchnął się i mruknąwszy przyjaźnie, pogroził żartobliwie laską kłaniającemu się bardzo nizko kupcowi, skręcił w oświetloną cień narożnéj kamienicy i szedł na pierwsze piętro do kasyna miejskiego.

W przedpokoju pozwolił się rozebrać służącemu z wierzchniéj okrywki, spojrzał w lustro i zadowolony ze siebie grzebykiem przyczesywał ciemne włosy, układał skrzydełka na skroniach, a rękami gladził faworyty długie, wycierając chusteczką starannie wygolone wargi.

Z powagą wkroczył na dość wielką salę, a założywszy binokle, szukał swych towarzyszy partyi wista. Z drugiego rogu stołu zawołał wesoło grubym głosem słowa powitania kapitan depot wojskowych, krótki, gruby, z czerwoną twarzą i karkiem brunet, siedzący obok trzeciego partnera, urzędnika salin drohobyckich, niewyraźnego, przysadkowatego szatyna.

— Gdzież czwarty?—spytał pan Winter, witając się.

— Wyłazi z pod pantofla, — zaśmiał się grubo bezżenny kapitan.

— A może siedzi w biurze, — dorzucił urzędnik salin, — bo u nich w starostwie niewola.

— Słodka niewola takiego komisarza starostwa w Drohobyczu — śmiał się kapitan, — co rezolucya, to guldeny same lecą do kieszeni.

Rozmowa toczyła się daléj, przeplatana sztuczną wesołością, oczekiwali bowiem niecierpliwie na czwartego partnera i każdy stuk w przedpokoju zwracał ich oczy w tę stronę.

Pan Bratkowski oddając wierzchnie ubranie służącemu, spytał może zbyt głośno:

— Czy jest pan notaryusz?

— Tylko co nie widać.

Musnąwszy wielkie wąsy, poprawił wielkie okulary i kręcąc napoleonką, wszedł do głównéj sali rozglądając się za znajomymi.

Komisarz spostrzegłszy go, nachmurzył się, lekko skłonił głową na jego ukłon, i szepnął do towarzyszy:

— Nie mogę znosić tego człowieka.

— Tak zły znów nie jest —odezwał się kapitan, widząc, że pan Bratkowski przeszedł do innych pokojów, — i wolę tego szlachcica od żydów.

— Gospodarka żydów w kopalni jest zła, ale jego, to prawdziwa polska gospodarka. Nieład, brak dozoru, lekceważenie przepisów i zarozumiałość—mówił zgryźliwie komisarz

— Tak, tak, oni są już tacy, — potwierdził półgłosem urzędnik salin, gdyż właśnie wracał omawiany, który usiadł przy długim stole i wziął gazetę do ręki.

Wkrótce nadszedł czwarty partner do wista, a w kilka chwil zjawił się na sali notaryusz, pan Poźniak, wysoki, szczupły, w czarnym tużurku. Żywo podszedł do niego pan Bratkowski i ściskając rękę mówił:

— Właśnie czekałem na pana notaryusza, chciałbym się poradzić panie dobrodzieju.

Pan Poźniak pokazał w uśmiéchu wielkie zęby, przeciągnął ręką długie żółtawe faworyty i odpowiedział cicho:

— Dobrze, możemy i tu pogadać.

Usiadł przy stole, gładząc białą ręką konopiaste włosy. Ostre światło wiszących lamp uwydatniło wyraźnie i nadało bardziéj żółtawą barwę szczupłéj, pomarszczonéj twarzy i jasnym włosom, faworytom i wąsom zadymionym od cygar.

— O co idzie?—spytał głosem wolnym, bezdźwięcznym.

— Potrzebuję pieniędzy, zjedzą mnie żydowskie procenta,— mówił szybko, — może pan wie, kto ma lub chce ulokować, daję przecież zupełną pewność, mam ładny wosk i szyby wydajne.

— Hm... hm... Pan wie, że u nas w Drohobyczu wszystko w rękach żydowskich... Od ich opinii dużo, jeśli nie wszystko, zależy... Jakże pan z nimi?

— Ach oni!? Utopiliby mnie w łyżce wody, panie dobrodzieju, zazdroszczą mi psiekrwie...

— To źle,—odezwał się flegmatycznie — oni tu panami, z ich poręki burmistrz, radni, wpływ mają na sąd, starostwo, policyę... Jakże pan z kredytem?

— Kredyt mam, ale drą bez miłosierdzia... Dziś obiecał mi Krausberg tysiąc guldenów, ale co weźmie? — i westchnął głęboko.

— To mądra ryba;—potwierdził notaryusz,—z nim ostrożnie... No, a wosk masz pan?

— Mam trochę, ale szelmy, wyobraź pan sobie, dają mi niemal o trzy reńskie niżéj ceny!

— Hm... Może zły? Nieczysty?

— Ale!... doskonały panie dobrodzieju!

— Było szukać kupców...

— Czyż nie szukałem?

— Więc wysłać samemu koleją...

— Na to trzeba gotówki, muszę miéć większe zapasy, panie dobrodzieju.

Umilkli obydwaj. Pan Bratkowski siedział chmurny, notaryusz zwolna zapalał cygaro i rzekł po chwili:

— Dziś był u mnie Mroziecki...

— Który?

— Ten ze salin stebnickich... On ma kilka tysięcy gotówki i szuka interesu.

— Znam Mrozieckiego — zawołał pan Bratkowski weselszym głosem,—ten mógłby zrobić interes... Ale gdzie go znaleźć?

— Czy zrobi?... nie wiem... Zaczekaj pan, on zwykle późno wyjeżdża do domu, często zachodzi tu na partyjkę...

Po dobréj chwili pan Bratkowski uderzając ręką w stół, mówił z uśmiechem:

— Ej, gdybym tak dostał kilka tysięcy, panie dobrodzieju, dopiéro poszłaby robota, a żydzi wściekaliby się, że od nich nic nie biorę—i zaśmiał się szczerze.

— Nie wiem... nie wiem... a, otóż i on.

Szybko odwrócił się pan Bratkowski i patrzał badawczo na pełną, uśmiéchniętą twarz p. Mrozieckiego, który muskał wąs ręką pulchną, zdobną w pierścionki.

— Dobry wieczór panom,—rzekł witając się,—a może zrobimy małą partyjkę?

— Bardzom rad ze spotkania,—mówił pan Bratkowski, wstając z krzesła, — chciałbym z panem zrobić partyę, ale o grubą stawkę panie dobrodzieju.

— O, ja grubo nie grywam, co innego wy nafciarze, u was pieniędzy, jak lodu.

— Nie zarzekaj się pan,—uśmiéchnął się notaryusz,—kto wié, czy i pan nie zagra... Pan Bratkowski ma do pana interes, na którym można zarobić.

— A to co innego, — odezwał się pan Mroziecki siadając, — hm... a jaki?

— Co tu będziemy gadać na sucho,—zawołał p. Bratkowski, — zejdźmy do handelku, przy płynie gada się płynniéj. Proszę panów na kieliszek wina.

Po krótkich ceregielach obaj się zgodzili i poszli do handlu winnego, mieszczącego się na parterze pod kasynem. Był to pokój ciemnawy, słabo oświetlony wiszącą lampą, z podłogą zabłoconą, z kanapkami wygniecionemi, krytemi ciemną ceratą, które stały przytulone do ścian, a przed niemi stoliki czarne i krzesła wyplatane.

W pokoju było duszno od wyziewów wina, piwa, wódki i towarów kolonialnych, mieszczących się w pobocznym sklepie.

Pan Bratkowski wszedłszy do pokoju, klasnął w dłonie i do chłopaka usługującego zawołał:

— Poproś pana Jabłońskiego i daj świéce.

Tuż zjawił się właściciel sklepu, nizki, gruby szatyn, z pomarszczoném czołem i rzadką, nierówną brodą, z uśmiéchem słodkawym, spytał w ukłonach:

— Proszę, czém mogę służyć? Słucham, proszę....

— Da pan nam węgierskiego, panie dobrodzieju, numer 111, wie pan?

— To wino pana dobrodzieja,—odrzekł kłaniając się nizko.

— No, a przedtém po kieliszku żytniówki i przekąski.

— Proszę, słucham, a jakie? Może kawiorku, śledzika, marynatę,—wszystko na rozkazy, proszę...

— Dawaj pan, byle prędko, — dorzucił pan Bratkowski—bom głodny panie dobrodzieju.

Usadowiwszy się przy jednym stoliku, zagaił rzecz notaryusz.

— Hm... Jak wiadomo panu, pan Bratkowski ma szyby woskowe na Wolance... kredyt jest ciężki u nas, z żydami zadarł, więc szuka kapitalisty i zwraca się do pana.

— Jaki stan szybów?—spytał Mroziecki pana Bratkowskiego, wpatrując się badawczo.

— To widzi pan jest tak: mam osiem szybów w robocie, z tych trzy dają mi już wosk, a pięć przechodzi szuter, dobija się do żył woskowych.

— O cóż panu idzie?

— O pieniądze, bo to panie dobrodzieju trzeba wiedziéć, że do 24 metrów kosztuje robota i materyał każdego szybu przeszło 2,000 złr., a już co niżéj, to tańsza robota, no i wosk jest. Tak potrzebuję kilku tysięcy, aby kończyć robotę, no i nie dać się zjeść żydom.

Sam gospodarz przyniósł wino i z miną uroczystą postawił na stole.

— Rozléj pan.

— Spełnienia życzeń,—wniósł toast notaryusz.

— I po co to było rozpoczynać, aż ośm szybów!—zrobił uwagę pan Mroziecki, oglądając wino pod światło.

— Po co?—obruszył się pan Bratkowski,—ależ panie, tam leżą miliony w ziemi, muszę je wydobyć, bo byłoby mi przyszło z trzech, ot tyle, panie dobrodzieju, aby przeżyć, a potém nowa męka!

— Hm... widzi pan, — zaczął zwolna pan Mroziecki,—trochę grosza mam u siebie, ale jaką ewikcyę daje mi pan w razie zgody?

— Jaką?.. Moje ośm szybów. Zobowiązuję się pod karą dojść do 40 lub 45 metrów; wosk wydobyty bez zgody pana, aż do spłaty kapitału, nie wolno mi sprzedawać samemu, a z trzech szybów mam tygodniowo po 20 centnarów, czyli 350 złr., licząc centnar po 17 złr., 50 cent.

— Wszystko to dobrze, ale w innych szybach może pan niedokopać się wosku i co będzie?

— Jeśli żydzi w około mają wosk w tych liniach, będę i ja miał, a zresztą sam grunt pod zakopy wart co najmniéj 10,000 złr. i dam na nim ewikcyę.

— Za mało...

— Czegoż pan żąda?

— Mogę być wspólnikiem i to na pewnych warunkach... dam 3,000 złr. i to w ratach kwartalnych... wolno mi się cofnąć lub odprzedać moją część... Na miejscu jest mój kontroler...

— Ależ panie! — zawołał rozdraźniony właściciel—ja sam dałem za grunt 5,500 złr., a wykopanie kosztuje mnie blizko 16,000 złr., a pan chce się wkupić za 3,000 florenów!? No, nie jestem waryatem, panie dobrodzieju.

Ponieważ obydwaj interesanci zaczerwienili się i rzucali na siebie złe spojrzenia, wmieszał się notaryusz:

— No, panowie... najpierw skończmy kieliszki... a po wypiciu rzekł:—Nie gorączkujcie się, na zimno, może dojdziemy do ładu.

— Ależ panie notaryuszu, — mówił zirytowany pan Bratkowski,—wydałem 21,500 złr., a ktoś za 3,000, warunkowe w dodatku, chce mieć połowę. Wiem, że tam są krocie, miliony, wolę się zapożyczyć, sprzedać ostatnią koszulę, a dojdę do swego.

— Zwolna, panie Bratkowski, zwolna...

— Ja się nie napraszałem z mojemi pieniędzmi, a nawet nie mam wcale ochoty wchodzić w tak niepewny interes, — przemówił pan Mroziecki z ironią,—proszony, stawiam warunki...

— Ale jakie?! Toż to lichwa!

— Wolna wola przyjąć lub nie, a mówi pan lichwa... idźże pan do żyda.

— Pójdę!—zawołał w pasyi.—Żyd da mi lepsze warunki.

Zadzwonił na usługującego, zapłacił rachunek, i mimo łagodzących słów notaryusza, wyszedł, mrucząc z zaciekłością:

— Szelma lichwiarz!

IV.

Na rynku pustym, w dalekich odstępach przeświecały nikłe lampy naftowe, których światło żółtawe zaledwie oświetlało mały krąg tuż przy lampie. Pan Bratkowski przetarłszy spotniałe okulary, stukając głośno laską szedł w kierunku ulicy Samborskiéj, przy któréj mieszkał. Przechodząc obok kamienicy pana Krausberga, zatrzymał się i zadzwonił.

— Czy jest pan Krausberg w domu? — spytał zaspanego stróża żyda.

— On w domu, ale już śpi — odpowiedział niechętnie, zatrzaskując bramę.

Mimo względnie wczesnéj pory, gdyż na zegarze ratuszowym nie wytrąbiono dziesiątéj godziny, ulica była niemal zupełnie pusta, a światła w domach pogaszone. Dopiero zbliżywszy się do swego mieszkania, zobaczył chwiejne światełko nocnéj lampki w dziecinnym pokoju, a gdy przez mały ogródek kwiatowy podchodził z drugiéj strony domu do drzwi wchodowych, olśniło go jeszcze światło lampy, padające przez okno jadalnego pokoju. Drzwi otworzyła mu żona, mówiąc:

— Nareszcie przyszedłeś, byłam już tak niespokojna!

— Powiedziałem, że zabawię dłużéj, niepotrzebnie czekałaś, — mruknął wchodząc do pokoju.

Żona, wysoka, niemal piękna blondynka, z rysami regularnemi, z wyrazem zmęczenia i niepokoju na twarzy, usiadła na dawném swém miejscu przy stole i zabierając się do przerwanej roboty, spytała z pozornym spokojem:

— Czy załatwiłeś Guciu interes?

— Nie! — odezwał się cierpko, — i zarzekłem się wdawać z łykami panie dobrodzieju...

— Cóż się stało?

— A wyobraź sobie, jakiś Mroziecki ze Stebnika za głupie 3000 żąda spółki, kontroli, ubezpieczeń różnego rodzaju...

— Jeżeli daje pieniądze... — zaczęła żona.

— Daje! Daje! — zawołał głośniéj, — co daje? Trzy tysiące, a żąda zarobku na krocie, powiadam ci, lichwiarz skończony.

— Widać, że ostrożny człowiek...

— Dla ciebie ostrożny, a dla mnie lichwiarz.

Nastało chwilowe milczenie. Pan Bratkowski, rozdrażniony,

chodził wielkiemi krokami po pokoju, wreszcie stanąwszy przed żoną, spytał:

— Nie był kto do mnie?

— Był Krausberg i mówił, że jutro da tysiąc guldenów.

— A! Czemuż nie byłem w domu? Byłbym spał dziś spokojnie — zawołał, siadając na krześle.

— Mój Guciu! — rzekła po chwili z ociąganiem, — czy nie zanadto ryzykujesz? Mieliśmy 10,000 gotówki, włożyłeś wszystko w tę nieszczęsną kopalnię, masz długi i one rosną... znów bierzesz tysiąc i to od Krausberga.

— Więc co? — spytał chmurny.

— Boję się przyszłości... mamy dzieci...

— Ty masz wieczne obawy, a ja wiem panie dobrodzieju, że w téj kopalni są krocie, miliony, byle wytrzymać i przetrzymać.

— Ale jak?

— Zadłużę się, wszystko sprzedam, a kopalni nie puszczę z rąk.

— Tego się obawiam, ciebie trawi gorączka zysku, zmizerniałeś, jesteś rozdrażniony, właziszw coraz większe długi, i co będzie? — mówiła ze szczerym żalem.

— Czyż dla siebie pragnę majątku? — przerwał z odcieniem goryczy, — tylko dla was, dla dzieci. Nie gram, nie piję, nie hulam....

— I co z tego? Pieniądze idą jak woda, długi coraz większe...

— Za to przyszłość świetna — uśmiechnął się z przymusem.

— Kiedy ty nie umiesz się rachować, żyć z ludźmi.... np. ten komisarz dlaczego tak najeżdża, musi być w tém i twoja wina...

— Dajże mi spokój z tym szwabem, coś upatrzył sobie do mnie, panie dobrodzieju....

— Dlaczego nie do innych?

— Zapytaj go sama,—wybuchnął gniewnie.

— No, a te długi?

— Długi?... Porachuj tylko, wydobyłem z kopalni 9000, a jeśli dokończę ośm szybów, a każdy da mi dziennie po pół centnara, mam przy cenie 20 fl., gotówką osiemdziesiąt guldenów dzień w dzień. Spłacę długi i zrobię majątek, panie dobrodzieju.

— To urojenie... nie dopuszczą żydzi do współzawodnictwa... stracisz wszystko....

— Dajże mi spokój z temi przepowiedniami... ty sama rozdrażniasz mnie najbardziéj.

— Mówię prawdę.

— Zatrzymaj ją dla siebie — i zły zaczął znów przechadzkę po pokoju.

— Jest list od Zosi—przemówiła po dłuższéj pauzie.

— Co pisze?

— Zdrowa, stęskniła się za domem i bardzo się cieszy, że to ostatni rok pobytu na pensyi.

— No i ja rad będę bardzo, gdy zostanie u nas, pomoże ci w gospodarstwie, i będzie można z nią pogadać, panie dobrodzieju, nie tak jak z temi dzieciakami.... Kiedyż kończy się kurs?

— Za dwa tygodnie.

— To i dobrze, pojedziesz po nią do Lwowa, panie dobrodzieju, o pieniądze się nie troszcz, znajdą się.

— Ach te nieustanne wydatki — westchnęła żona, — teraz trzeba jéj będzie kupić sukienkę, okrywkę, parasolkę, buciki...

— Cóż robić, kupisz.

— Ale za jakie pieniądze!?

— Wszystko jedno za jakie, jak trzeba, to trzeba.

— Jesteś nieopatrzny, mój Guciu...

— Takim i zginę... Czy nie masz czego w kredensie?

— Przepraszam cię, że zapomniałam, a ty może głodny, — ła i po chwili postawiła przed mężem chleb, szynkę i masło.

— Jutro muszę raniutko wyjechać, aby znaleźć kupca na wosk, bo drohobyccy dają mi zbyt mało, a jutro już piątek...

— Nie zaczekasz na Krausberga?

— Ach prawda!... Wiesz Stasiu, że te nieustanne rozjazdy, uganianie się za pieniędzmi, już mnie znużyły, i gdyby nie ta pewność zrobienia majątku, ubezpieczenia waszéj przyszłości, wyposażenia Zosi, rzuciłbym to wszystko!

— A tak dobrze było nam w Bystrzynku...

— Sama wiesz, że nie mogliśmy się utrzymać...

— Ale mogłeś wziąć dzierżawę, umiesz gospodarować i znasz się na tém, a to wszystko nowe, obce, niechętne.

— Minie i to Stasiu.

— Ty się zabijasz pracą i dzieci cierpią.... Możebyś zajrzał do Tadzia, pod wieczór był jakiś nieswój.

W milczeniu wstał i przeszedł do pokoju dziecinnego. Lampa olejna rzucała chwiejne, mdłe światło na pokój, zapalił świecę i podszedł do łóżeczka starszego, Tadzia. Patrzał badawczo, dotknął dłonią czoła dziecka, uśmiechnął się na widok snu spokojnego. Również i młodszy syn spał cichutko i spokojnie, jak tylko dzieci umieją, po zmęczeniu dziennem.

— Zdrowi obydwaj,— przemówił do żony, — ale ty źle wyglądasz, czy jesteś chora?

— Nie, tylko dręczy mnie niepokój o naszą przyszłość.

— Powtarzam ci, będą krocie, za sam grunt pod zakopy mogę wziąć każdéj chwili bodaj czy nie podwójną cenę — uśmiechnął się z przymusem.

— To bierz, mój Guciu, bierz i uciekajmy z tego piekła.

— Taki znowu głupi nie jestem, panie dobrodzieju, nie myślę drugiemu oddawać gotowego majątku, mam dzieci i muszę je ubezpieczyć.

— Guciu, jeśli mnie kochasz, to sprzedaj i wyjedźmy... To szał tylko, to urojenie, my nigdy tu nie zrobimy majątku, nas czeka ruina.

— A dajże mi raz spokój — zawołał gniewnie, rzucając o stół widelec,—dość mam kłopotów i męki z żydami, chcę chociaż w domu odetchnąć.

Wstał, zapalił świecę i nie patrząc na załzawioną żonę, poszedł do swego pokoju. W nocnéj ciszy wyraźnie słychać było trzask zamykanego zamku u drzwi i niespokojne, nerwowe kroki chodzącego po pokoju.

Żona zgasiwszy lampę, poszła do dziecinnego pokoju, i uklęknąwszy przed obrazem Matki Boskiéj, zawieszonym nad jéj łóżkiem, modliła się długo i żarliwie. Potém nasłuchiwała odgłosu kroków męża, bijąc się z myślami, czy iść do niego, czy zostawić go póki nie minie gniew? Wstała i cicho podeszła ku drzwiom, cofnęła się jednak, bo i cóż innego mogła mu powiedzieć prócz niepokoju swego i troski o przyszłość?

Późno w noc nastąpiła wreszcie senna cisza w domu. Pan Bratkowski miał noc niespokojną i męczącą, wśród majaczeń o krociach i milionach wychylała się ku niemu blada, obdarta, zgłodniała nędza. Znużony temi snami, wstał rano, a oczekując przybycia pana Krausberga, poszedł do ogrodu dość obszernego, rozciągającego się za domem.

Na widok rozkwitłych grusz i jabłoni, zasadzonych grządek ogrodowizną, opanowała go nostalgia za wsią i gospodarstwem. Smutny, rozżalony do siebie i ludzi, tak dalece się zamyślił, że nie posłyszał głosu żony, zapraszającéj go na śniadanie, musiała zbliżyć się i dotknąwszy ramienia, spytała:

— O czém tak Guciu?

Ucałował serdecznie jéj rękę, mówiąc:

— Masz słuszność, niema nic milszego nad wieś... ale dla nas, już zapóźno!

V.

W końcu śniadania przez otwarte okno zobaczył pan Bratkowski żyda, idącego do niego, wstał, wyszedł do sieni, będącéj zarazem przedpokojem, i zobaczył w progu młodego bruneta, ubranego czysto, który uchylając kapelusza, rzekł dość dobrą polszczyzną:

— Mój ojcie, pan Lejzor Krausberg nie mógł zaczekać na pana w Drohobyczu, pojechał raniutko do Borysławia i tam załatwi interes.

— Czemuż nie dał mi znać wcześniéj?

— Ja nie miałem czasu i myślałem, że to wszystko jedno.

— Dyabła tam, — mruknął przez zęby, — a dobrze, zaraz pojadę.

— Ja miałbym jeszcze prośbę do pana...

— Jaką, panie dobrodzieję?

— Mój ojciec, pan Lejzor Krausberg zostaje przez sobotę na Wolance, to jego koléj, ja chciałbym go dzisiaj zobaczyć, i czy pan nie pozwoliłby mi się przysiąść?

— Hm... dlaczego nie? panie dobrodzieju, proszę zaczekać, zaraz każę zaprzęgać.

— To ja pobiegnę do domu przebrać się trochę... Pan dobrodziej zna przecież naszą kamienicę w rynku, ja będę tam czekał.

— A dobrze, tylko zaraz...

— Już idę.

Na pytające spojrzenie żony, rzekł:

— To młody Krausberg, przyszedł z wiadomością, że stary czeka na mnie w Borysławiu. Jadę zaraz.

— Zanim zaprzęgnie, przygotuję ci przekąskę.

— Spiesz się Stasiu, bo mam jeszcze wstąpić po tego młodego?

— Ty?!

— On chce sobie oszczędzić dziesięć centów na furmankę, wezmę go panie dobrodzieju, jechał go sęk.

Pan Lejzor Krausberg czekał na swéj kopalni z gotowemi pieniędzmi na przybycie pana Bratkowskiego, a widząc zdala nadjeżdżający wózek, zeszedł ku drodze.

— No, panie Lejzor — zawołał wesoło przybyły. — przywożę nietylko syna, ale bułki, ryby i inne przysmaczki na szabas.

— Bardzo dziękuję panu.... Ja zaraz przyjdę do kancelaryi pana.

Istotnie wkrótce przyszedł i rozpoczęły się targi o procenta. Po długich omawianiach obniżył pan Krausberg swe żądania do procentu stu guldenów miesięcznie za pożyczony tysiąc.

Pan Bratkowski siedział chmurny przy stole, wziął ołówek i liczył. W razie zaciągnięcia téj pożyczki, miałby do płacenia 400 fl. miesięcznie procentów za wszystkie długi. Zdjął go lęk przed tą wysoką cyfrą, lecz z drugiéj strony naciskała go nietylko konieczność dostania pieniędzy, ale miał to głębokie przeświadczenie, iż do szybów woskodajnych wkrótce przybędą dwa nowe, a z pięciu szybami wytrzyma nawet podwójne ciężary.

I uspokojony, z weselszą miną, podał rękę na zgodę, już miał podpisać weksel, i znów napadły go wątpliwości.

— Panie Lejzor, ale pan mi daje słowo, że w danym razie, gdy nie będę mógł zapłacić w terminie 1100 fl. od dziś za miesiąc, pan mi sprolonguje?

— Dlaczego nie? Niech pan tylko procent zapłaci, ja sprolonguję.

— Daje pan słowo?

— Ja daję — odpowiedział, wyciągając rękę brudną od wosku i nafty.

Obie strony były zadowolone z załatwienia interesu, pan Bratkowski, gdyż miał w kieszeni pieniądze i na razie pozbył się gwałtownego kłopotu, zaś pan Krausberg rad był z posiadania wekslu. Odchodzącego powstrzymał pan Bratkowski:

— Panie Lejzor, kup pan wosk...

— Ile pan chce?

— Wczoraj płacono 17.50, daj pan tę cenę.

— Ja nie mogę, mam kłopot z moim woskiem. A czy to niema kupców?

— Zapewne, zapewne — rzekł tonem zniechęconym pan Bratkowski i pożegnał kupca, który wyszedł z uśmiechem złośliwego tryumfu na cienkich sinawych, wargach i okiem znawcy rozglądał się po gruncie swego sąsiada, obliczał ilość możliwych zakopów i starannie przyglądał się szybom, będącym w robocie.

Na swéj kopalni zwiedzał niemal każdy szyb, wreszcie doszedł do dozorcy Abruma, zawołał go na bok, rzucając pytanie:

— Czy zrobili już?

— Dziś ma jeden z lepiarzy to zrobić.

— Jak zrobi, ja zapłacę.

Zwolna się oddalał, rozmyślając nad sposobem zwrócenia uwa-

gi komisarza na nadwątlone liny, i spotkał się ze wspólnikiem, panem Silbermanem. Zaledwie wczęli rozmowę, gdy od szybu Abruma doleciał ich rosnący krzyk, piski kobiet, gromienie dozorcy! Obaj pospieszyli w kierunku szybu, zanim doszli, krzyk ustał, tylko gwar głosów szumiał, a nad nim przewodził piskliwy głos Abruma, wydającego rozkazy.

— Co się stało Abrum? — spytali niemal jednocześnie.

Abrum, wydawszy ostatnie polecenie, zaszwargotał:

— Co ja z nimi zrobię? Ich trzeba rozdzielić, bo ja nie poradzę.

— Ale kogo? Ale gdzie?

— Tu jest dwóch jamarzy Maksym i Paweł, i źrą się jak psy o jedną dziewczynę, przed chwilą pobili się, ledwie ich rozłączono.

— Co ty Abrum taki nieporadny? — zaśmiał się pan Silberman, — niech ta dziewucha przepadnie i będzie spokój.

— Ty odpraw ją i koniec,— dodał wspólnik.

— Ja o tém myślałem, tylko boję się stracić tych dwóch jamarzy, oni są niczego.

— Ty Abrum osztrafuj ich wszystkich, to będzie najlepiéj — doradził mu pan Silberman — a znajdziesz ładniejszą, tę wypędź precz.

— Ja to zrobię.

Piątek minął spokojnie, tylko tuż przed zachodem słońca wpadł do kancelaryi kopalni Abrum i szepnął zdyszany:

— Panie Lejzor, już gotowe.

— Czy obie liny?

— Obydwie w pierwszym szybie od nas.

Właściciel kopalni troskliwie wyszukał wytarte srebrniaki i z miną wspaniałomyślnego człowieka dał Abramowi oczekującemu, mówiąc:

— Jeśli to kłamstwo, zapłacisz mi podwójnie Abrum, bo ja mam twoją pensyę w ręku.

— Niech i tak będzie, ja wiem, że ten lepiarz to pewny człowiek, jak on powie że zabije, można spać spokojnie.

— To twój interes.

Na drugi dzień pan Krausberg, ubrany odświętnie, w butach świecących przechadzał się po kopalni, pilnując jednakże uważnie, i czynności sąsiada i spoglądając na drogę do Drohobycza. Spostrzegł wreszcie wznoszący się pył nadrożny, posłyszał trąbkę pocztarza i mruknął z błyszczącemi oczyma.

— To komisarz!

Istotnie, wprost na kopalnię pana Bratkowskiego zajechał ko-

misarz, oddając zimny ukłon panu Bratkowskiemu i jego podwładnym.

W milczeniu, z wielkiém poczuciem swéj władzy, szedł komisarz do najbliższego szybu. Krytycznie oglądał młynek, pędzący rurami powietrze do szybu, zwrócił się do dozorcy z rozkazem:

— Robotnik w górę!

Odezwały się trzy dzwonki i zwolna kubeł zbliżał się do wierzchu. Wychodzącego robotnika spytał komisarz:

— Masz tam dosyć powietrza?

— Iii, aby tyle wosku.

— Pytam o powietrze świeże,— zawołał ostro.

— A, coby nie miało być, jest.

— *Dummer Esel*,— mruknął przez zęby.

Oglądał liny uważnie, wreszcie spytał, gdzie odprowadza się woda z jamy?

— Odpływa roweczkiem ku rzece — pośpieszył z objaśnieniem pan Bratkowski, rad, że komisarz nie ma nic do zganienia.

Ten przeszedł do następnego szybu i znów zaczęła się rewizya. Nagle, przy rozwijaniu liny spostrzegł dozorca wiszące strzępy, zbladł i starał się ręką zasłonić.

— Weź rękę! — krzyknął groźnie komisarz, zbliżając się.

Obejrzał dokładnie nacięcie, znalazł i na drugiéj podobne, zwrócił się wtedy z jadowitym uśmiechem do zmieszanego właściciela:

— To takie gospodarstwo pańskie!? Dla pana życie robotnika jest niczém, niech ginie, byle oszczędzać sznura kawałek, ale rząd czuwa i wie kogo należy pilnować... Piękne historye! — śmiał się z ironią.

— Wierz mi pan, że cztery dni temu dałem nowe sznury, mam świadków, to dla mnie rzecz niepojęta...

— Tak, tak, niepojęta, i przepisy policyjno-górnicze także niepojęte, a kiedy była rewizya materyałów?

— Wczoraj — bąknął dozorca.

— Wczoraj!? A nie wiesz, że co ranka musi się odbyć!... No, no, już ja was nauczę porządku.

I po krótkiéj chwili, odetchnąwszy, kazał zwołać dozorców i rzekł:

— Kopalnia pana Bratkowskiego od dziś zamknięta, nikomu pod karą nie wolno w niéj pracować, aż do mego dalszego rozporządzenia.

Skinął ręką, oddalając dozorców, i sam szedł w kierunku oczekującego pocztarza.

Pan Bratkowski zaszedł mu drogę i jął prosić:

— Niechże mnie pan komisarz nie rujnuje, to ktoś złośliwy podciął liny, panie dobrodzieju, przecież to widać. Zrobię wszystko, co pan komisarz każe, zmienię młynki, rury, liny... tylko niechże mi pan nie zamyka kopalni. To moja ruina, zupełna klęska.

— Teraz prośby, — odpowiedział ironicznie, — było pilnować przepisów.

— Będę panie komisarzu sam doglądał, tylko nie zamykaj pan, co ja panu złego zrobiłem, panie dobrodzieju?

— Pan? A te ciągłe skargi na pana do mnie i do Lwowa, to pan ludziom źle robisz i czas to ukrócić.

— Ale gdzie? kiedy? komu? panie dobrodzieju.

— To nie mój interes,— odpowiedział zimno — tylko wiem, że na nikogo nie ma tyle skarg, co na pana.

Pozostałe szyby oglądał raczéj dla formy, gdyż wyrok został już wydany.

Pan Bratkowski blady, oblany potem znów zaczął prosić, i tyle szczerości, bólu i rozpaczy było w jego głosie, że wzruszony komisarz pozwolił na dalsze roboty w jednym szybie, który znalazł w porządku. co do reszty, rozstrzygnie w przyszły wtorek.

Pan Krausberg, dowiedziawszy się o rezultacie kontroli komisarza, uśmiechnął się radośnie i zacierając ręce, mruknął:

— *Güt szabes!*

Uradowany z urzeczywistnienia swych planów, pośpieszył dobrze przed zachodem słońca pieszo do Borysławia, aby pierwszą furmanką pojechać na łono oczekującéj go rodziny.

Wieczorem zaczął się gromadzić tłum robotników przed kancelaryą kopalni, oczekując na zwykły wypłat zarobku tygodniowego. Twarze niemal wszystkie, nie wyłączając kobiet i dziewcząt, były zmizerowane, zanędznione, apatyczne i znękane. U mężczyzn zwłaszcza młodszych przebijał w twarzy jakiś cynizm bezczelnéj rozpusty, pijaństwa i lekceważenia. Wszyscy ubrani ubogo, często obdarci, brudni, z plamami nafty czarnéj, rozmawiali półgłosem tylko chwilami, gdy ktoś głośniéj rzucił gruby żart lub zanucił bezecną piosenkę, szczupłe twarze krzywiły się do uśmiechu, podkreślano i tak już grube słowa i znów zapadała posępna cisza, przerywana półgłośnemi rozmowami poszczególnych grup.

Kasia, ze względu na obecność Maksyma i Pawła, trzymała się gromady dziewcząt, a ci dwaj udając obojętność, śledzili i ją i siebie nawzajem z przenikliwością, którą daje tylko namiętność wielka.

Już zgromadziło się do stu ludzi. Z różnych stron odezwały się pomruki:

— Płacić!

— Już czas!

— Hej, pieniądze!

Gwar żądania wzrastał z każdą chwilą, śmielsi zbliżyli się do drzwi przymkniętych i zastukali.

Z izby wyszedł zwolna w swym watowanym lejbiku pochylony pisarz, Efet Roger, i spojrzawszy obojętnie na tłum stojący, spytał:

— Nu, co takiego? co to za gwałt?

— Płacić!

— Pieniądze! — odpowiedziała gromada.

— Zaraz, zaraz, pan kasyer poszedł rozmienić... przecież setkami, ani dziesiątkami wam nie będzie płacił.

— Już po zachodzie! — zawołano.

— On zaraz przyjdzie — dorzucił pisarz i spokojnie zamknął drzwi za sobą.

Jeszcze nie zabłysły pierwsze gwiazdy, nie zapalano światła, a już karczmarz Icek Seeman z pomocnikiem, z żoną, z wyrostkiem synem uwijał się pomiędzy robotnikami, przypominając długi zaciągnięte, obiecując dziś doskonałą wódkę, świeże pieczywo, muzykę i tańce....

Robotnicy, mimo przyzwyczajenia do zwłoki gospodarki żydowskiej, niecierpliwili się i już z groźbami zaczęli się dobijać do drzwi kancelaryi.

— Co to jest?! – krzyknął pisarz, otworzywszy okno, — czy przyszedł już kasyer? Czekajcie.

— Dawaj pieniądze!

— Rozbijemy drzwi!

— Należy się nam!

— Nasze prawo!

— Co to za głupie gadanie!? Skąd ja wezmę wam pieniędzy bez kasyera? Ja mam trochę u siebie drobnych, mam i spis, ja mogę wam dać połowę zarobku.

— Żydowskie wykręty!

— Wszystko!

— Dawaj pieniądze!

— Nie chcecie połowy, czekajcie sobie na kasyera — zawołał, zamykając okno.

Tymczasem Seeman zaczął przemawiać do spokojniejszych, że

lepiéj wziąć połowę, bo kasyer może przyjść późno, że dziś trudno rozmienić w Borysławiu, że to zysk dla nich, gdyż przepuściliby dziś wszystko, a tak zostanie i na jutro. I tyle dokazał swoją wymową, że znaczna grupa robotników zgodziła się na wypłat połowy zarobku, i tych powiódł pod okno kancelaryi. Zapukał i wołał:

— Panie pisarz! Płać pan połowę.

Po chwili wychylił się pisarz z okna, trzymając w jednéj ręce książkę ze spisem robotników, a w drugiéj cienką świeczkę, którą usłużny Seeman zapalił i nią rozświecał zmrok zapadający. Pisarz czytał głośno:

— Hryć Misiak, wierzchni, za sześć dni trzy guldeny, za trzy spóźnienia się na robotę piętnaście centów, za rozbity kubeł dwadzieścia centów, za kłótnię z dozorcą Uszerem pięć centów... to jemu należy się 2 fl. 60 cent... płaci się połowa 1 fl. 30 cent... no a dług w karczmie?

Seeman spojrzał na swój spis i zawołał:

— Tyś mi winien 1 fl. 40 cent.

— Ta i za co?

— Jakiś ty głupi Hryciu, czy nie jadłeś, nie piłeś, nie spałeś u mnie? Ja mam tak w książce.

— Brechnia!

— Chcesz, czy nie chcesz zabrać jednego guldena dwadzieścia? Ja nie mam czasu na kłótnie, wy się porachujecie.

— O przeklęte żydy, — mruczał robotnik, zabierając należność, podaną mu oknem przez pomocnika pisarza.

I daléj kolejno wywoływał pisarz nazwiska, płacił połowę, zatrzymując drugą na późniejszy rachunek, zawsze z uwzględnieniem długu karczmarza. Im bliżéj końca wypłaty, tém mniéj sporów i kłótni było z robotnikami, spieszyli się gorączkowo do karczmy, zabawy, hulanki.

Po skończonéj wypłacie Seeman i pisarz podali sobie z uśmiechem rękę, szepcząc:

— No, udało się!

Seeman pospieszył do karczmy, przecisnął się przez zgromadzonych w izbie wielkiéj i zrzuciwszy chałat, stanął za szynkwasem, oddzielonym drewnianą baryerą. Spojrzał na mroczną izbę, oświetloną dwoma lampami, przybitemi do drewnianych, niebielonych ścian, na nagromadzony tłum robotników, tak w téj izbie, jak i sąsiedniéj, uśmiechnął się radośnie i wraz z rodziną zaczął szykować wódkę, zaprawianą kwasem siarczanym dla mocy.

Przy drugim stole, zaledwie z gruba sheblowanym, zasiedli stali goście karczmy. W brudném przyćmioném świetle, ich twarze mizerne, wychudłe, nabierały odcieni żółtych, chorobliwych. Pijąc wódkę, zajadali chleb czarny, ciężki, niedopieczony, to z cebulą lub czosnkiem, inni ze słonym serem, a rzadko który wyjął z kieszeni kawałek słoniny lub kiełbasy.

— Héj, héj, miły Boże, już nasz Michał spokojny!—rzekł jeden z nich, wzdychając.

— Cóż robić, zdusiło go w jamie — dorzucił inny.

— Raz matka rodziła, raz trzeba umrzeć—pocieszał stary, stukając o kieliszki sąsiadów.

— Oh i prawdę powiedział — potwierdzili bliżsi.

— Ten tydzień, to jakiś był nauroczony, toż to ludzi kupa u nas zginęła.

Zaczęli się doliczać i zabrakło ośmiu, nie licząc chorych.

— Choć płacą, ale ciężka praca!

— Ba, za lekką nic nie dadzą — zaśmiał się młodszy.

— Źle na wsi, bo źle, ale przecież nie taka mordownia jak tutaj — zawołał wysoki, mocny robotnik, odrzucając włosy z czoła.

— Czemuż Piotrze tu robisz? — zaśmiał się szczupły sąsiad, z twarzą zeszpeconą bliznami:

— Ot pytanie... robię, bo muszę spłacić długi, a nie, to precz mnie wygoni żyd z gruntu.

— Ach te żydy! te żydy,—a słowa te powtórzyli niemal wszyscy to ciszéj, to głośniéj.

— Ano nasza dobra wola robić dla nich — rzekł stary pojednawczo.

— Czorta tam nasza wola; ot bieda, długi, nieszczęście, to i człowiek szuka zarobku.

— I dużo masz — zadrwił inny.

— Bo kradną was.

— Co tu gadanie pomoże, ot wypijmy aby nam zdrowie.

I daléj toczyła się rozmowa podobna, przerywana to większym hałasem sąsiadów, to głośną piosenką, pół tęskną pół dziką, która rozrzewniała obecnych i podniecała do picia. Jaki taki już się zataczał i szukał zwady, na pogodzenie znów pito wódkę, a Seeman uśmiechnięty, wesoły, podwajał i potrajał się, byle wszystkim usłużyć, byle więcej wyszynkować napoju, który zagłusza żal i tęsknotę, dodaje odwagi w trwodze o życie, rozprasza smutek, daje zapomnienie o całéj nędzy i podnieca do wesołości śpiewu, tańca, szału...

W drugiéj izbie rej wodził jamarz Maksym, który zarabiając

dziennie jednego guldena dwadzieścia centów, czuł gotówkę po wypłacie mimo długu w karczmie.

Przed nim stała flaszka wódki, a on kurząc bakun z krótkiéj fajeczki, pykał głośno, spluwał co chwila i traktował kamratów.

— Hej Marku, twoje zdrowie!... Na pohybel złym ludziom! — i wypił kieliszek, nalał i podał towarzyszowi.

— Ano, Maksymie, daj nam Boże pohulać na twém weselu!

Maksym spojrzał wokoło płonącemi oczyma, szukając Kasi i rzuciwszy słowa:

— Daj Boże! Pohulamy, ja ci mówię,—wstał i wysoki, barczysty stanął w progu, szukając kochanki w drugiéj izbie.

W zmiętym kapeluszu na długich czarnych włosach, z łajką w zębach, patrzał badawczo na tłum; wielka, żółtawa twarz, z rzadkim wąsem stawała się coraz dzikszą, chmurniejszą, wreszcie splunął i mruknął:

— Ot, szczezła, ale ja cię znajdę!

Usiadł na dawném miejscu i znów pił. Po dobréj chwili wstał, zarzucił serdak na ramiona i zawołał:

— A nie widział kto z was Pawła?

— Albo co?

— Mam z nim rachunek.

Jeden z młodszych słuchaczy, zesunąwszy kapelusz na bakier, wziął się pod boki i zaśpiewał na nutę kołomejki:

„Idzie Maksym z siekiereczką
Uciekajże Pawełeczku
Idzie drogą i wywija
Uciekajże bo zabija.“

Wokoło rozległy się grube śmiechy, słowa uznania, a jeden z dalszych zawołał głośno:

— Oj nieszczęsnaż jego dola! Pohula on z nim, pohula.

Maksym ani się uśmiechnął na wszystkie słowa, nacisnął kapelusz i szedł ku drzwiom. Zastąpiła mu drogę Ickowa, żądając zapłaty, odepchnął ją silnie, wołając:

— Won, zapłacę wam późniéj.

Skrzywdzona żona spojrzała na karczmarza, który zaszwargotał:

— Daj spokój, on pewny! — i szybko zapisał zaciągnięty dług.

Wolanka roiła się od karczem, był to najłatwiejszy i najpewniejszy zarobek.

Maksym wstępował do każdéj z karczem, tu i owdzie spotykał znajomych, napróżno jednak dopytywał się o Pawła lub Jana, jego przyjaciela, ci bowiem na samym skraju wsi zabawiali się w karczmie przydrożnéj.

Paweł rozmarzony już trunkiem, zdjął kapelusz, odgarnął płowe włosy z czoła i przysuwał się coraz bliżéj do Kasi, siedzącej między nim a Janem.

— Oj Kasiu, gołąbko ty moja, okrutniem zakochany — wzdychał Paweł — już mi i życie niemiłe bez ciebie.

— Gadasz, aby mnie zmanić, ale ja nie taka głupia—zaśmiała, patrząc mu w oczy figlarnie.

— Aj kocham, kocham — zajęczał i zanucił z cicha urywek piosenki:

„Chyba w wodę ja się rzucę
Albo w kamień się obrócę."

— Wasze zdrowie! — zawołał Jan — aby prędzéj weselisko!

Wypili kolejno, a Paweł szeptał:

— Kupię ci korale, jak groch jeden w drugi, a chustkę jedwabną, jak u popadi, tylko mnie kochaj.

— Głupi wierzy, mądry bierze — odpowiedziała — pójdziesz z kopalni, znajdziesz inną, ładniejszą, bogatszą...

— Oj, co to, to nie, bo ja cię miłuję, moja gołąbko, moje serce, i znów zanucił ochrypłym głosem:

„A u téj jasnobrewéj woły, konie krewkie,
A u tamtéj mojéj miłéj, tylko czarne brewki..."

Nie pozostała mu Kasia dłużną i spoglądając z przymileniem, cicho zaśpiewała:

„Oj miesiączku, mój miesiączku nie świeć ty nikomu,
Tylko memu najmilszemu, gdy idzie do domu..."

— Ale kiedy ten dom będzie? i czy będzie?! — zawołała, przerywając piosenkę.

— Mam ja grunt i chatę, tylko zadłużone, zarobię tutaj, pobierzemy się i daléj do domu. Będziesz gospodynią całą gębą, będą krowy, owce i świnie...

— A nie sprzeciwią się twoi?

— Kto śmie mi się sprzeciwiać, kiedy ojca niema! Ja teraz rządzę! A tam u nas w górach paszy w bród, zboże się rodzi, las pod bokiem, to i czego trzeba więcéj? Chrześcianin tam wyżyje, a żyda szukać ze świecą.

— A co ci dziś odciągnęli? — spytał Jan.

— Za tę bójkę z tym wściekłym psem Maksymem wzięli dwadzieścia krajcarów.

— A szczezłby on, przepadł — mruknął Jan, — i ja zapłaciłem dziesięć.

— Bogacicie żydów — zaśmiała się Kasia.

— Czort by ich bogacił — zaklął Paweł. — No Kasiu będziesz ty moja?

— A gdzie korale? gdzie jedwabna chustka?

— Dam do ślubu, tak mi Boże dopomóż.

W karczmie gwar się wzmagał, aż znalazł się jakiś przygodny skrzypek i nastroiwszy instrument, zagrał kołomyjkę.

Skoczyli młodzi do dziewcząt, puścił się i Paweł z Kasią, przytupując na miejscu lub wolno się posuwając, a dziewczęta drobiły kroczkami, to spuszczając oczy, znów patrząc zalotnie, aż wreszcie tancerz w podskokach pochwycił dziewczynę i kręcił się na miejscu aż do zawrotu głowy.

Starsi przytupywali, nucili, racząc się co chwila wódką, któréj sobie nie żałowali i tancerze; nagle wśród zapału otworzyły się drzwi z łoskotem, stanął w nich wysoki Maksym i wrzasnął, przygłuszając wszystkich:

— Mam ciebie sobacze nasienie!

Zanim Paweł się opamiętał, już leżał rzucony na ziemię, a rozjuszony Maksym kopał go nogami. Poskoczył Jan, a uwiesiwszy się na szyi odciągnął od leżącego, wstrząsnął się Maksym, pchnął Jana w pierś, tak, że ten się zatoczył i byłby upadł, gdyby nie poskoczyli inni, którzy go podtrzymali i rozłączyli walczących. W karczmie powstał gwar i krzyk, a już najwięcéj hałasował szynkarz, obawiając się szkody w napitku i flaszkach.

W tym rozgardyaszu Kasia, bojąc się zemsty Maksyma, znikła z karczmy, co spostrzegłszy jamarz, rzuciwszy kilka dosadnych przekleństw, poszedł jéj szukać.

Paweł posadzony na ławie, oparty o ścianę, podtrzymywany przez Jana, blady, z głową skrwawioną, siedział czas jakiś bez ruchu. Wreszcie odetchnął, zmacał zranioną głowę, otworzył oczy i szepnął:

— A gdzie ona?

— Uciekła przed Maksymem — odpowiedział Jan. — A możebyś się napił?

— Daj.

Trunek o tyle go podniecił, że siedział o własnéj sile. Jan wyszukał gdzieś brudną szmatę i obwiązał mu głowę.

Zamroczony upadkiem i trunkiem, wstał z ławy, mówiąc:

— Pójdę ich szukać.

— Zgłupiałeś! — krzyknął Jan. — Ledwie trzymasz się na nogach i chcesz iść.

— A taki pójdę — upierał się.

— Idźże, a jak kark skręcisz, to nie z méj winy, ot biorę dobrych ludzi na świadków.

— Nie dojdzie! Wpadnie gdzieniebądź w jamę albo rów!—przestrzegali.

— Taki pójdę! — mówił Paweł, odsuwając ludzi z drogi.

— No, a za wódkę! ? — zawołał szynkarz.

— Płacę,—i wyjął woreczek skórzany, poszukał i oddał należność.

Jan zły, rozżalony, podparł głowę rękami i nie patrząc na odchodzącego, mruczał gniewny:

— A zgiń, przepadnij, jeśli taka twoja wola, ja się nie ruszę z miejsca.

Jednak gdy drzwi się zamknęły i Paweł nie wracał, zdjął go lęk o towarzysza i przyjaciela, zbliżył się do szynkwasu, kazał dać sobie kieliszek wódki i poszedł za Pawłem. Noc była jasna, miesięczna i bez trudności odnalazł wlokącego się przyjaciela.

Szli zwolna, często odpoczywając. Z licznych karczem przez okna i drzwi dobywały się krzyki pijących, rzępolenie skrzypców, śpiewki zawodzące. Mimo późnéj pory wrzało życie karczemne, bo to dzień płacy robotników, a zarobku szynkarzy. Wstępowali do téj i owéj karczmy, postali chwilę, popatrzyli na ludzi i szukali dalej Kasi i Maksyma. Wreszcie w jednéj z karczem, trzeźwiejszy Jan spostrzegł Maksyma, wskazał go Pawłowi, mówiąc:

— Ot durny, widzisz sam siedzi, a zły jak pies na łańcuchu, pije, a pije.

— Mądra moja Kasia, uciekła i przepadła — mruknął zadowolony Paweł.

— Ja ci to mówiłem, ho, ho, to sprytna dziewczyna!... No, a teraz czas nam spać, jutro trzeba się Bogu pomodlić.

— Ej, Janie, jeszcze czas, a może tam jest ona — rzekł Paweł, wskazując na dalszą karczmę.

— Także ci się uroiło. Toż Maksym obleciał pewnie wszystkie, ona już śpi, chodźmy.

— Jak spać, to spać.

Poszli do jednéj z ustronnych karczem. W ciemnawéj izbie sie-

działo, to pijąc, to drzemiąc, kilku ludzi. Na razie nie poznał gospodarz Pawła z przewiązaną głową i spytał uprzejmie:

— A jakiéj wódki? Mam doskonały arak.

— Iii to my, — rzekł Jan.

— Aha, cóż ty z taką rozbitą głową?... Nu dobrze tobie, szukałeś innéj karczmy i dostałeś po łbie, sprawiedliwie. Jak tylko masz grosz, uciekasz odemnie, a bieda, to przyłazisz.

— Nie psuj sobie gęby — zawołał Jan — my tu na nocleg, jak zwykle.

— Wypijcie choć po kieliszku, będzie się wam lepiéj spało.

— A niech tam, — mruknął Jan, podchodząc do szynkfasu, — tylko mały kieliszek.

Żyd nalał, a gdy wypili, dodał:

— Nu, płaćcie... każdy z was po osiem krejcarów, za wódkę trzy, za nocleg pięć... Co ty Jan taki bogaty, że płacisz za jamarza?

— Czy nie widzisz, że on słaby?

Szynkarz zapaliwszy świéczkę, wyprowadził ich do sieni i przyświecał pnącym się po stromych schodach na strych.

— Za kominem na lewo jest słoma, tam sobie legnijcie, pańskie spanie, ja kazałem dziś dorzucić słomy... Nie idź Janie na prawo... słyszysz?... tam śpią baby i dziewki...

Wygramolili się obydwaj i po krzykach, przekleństwach, przy zapałce, znaleźli miejsce tuż pod krawędzią dachu.

Stopniowo przybywali nowi robotnicy i robotnice, wczęły się hałasy, piski kobiet, głuche uderzenia, padanie ciał, szarpanina i kłótnia.

Karczmarz ze świéczką w ręku, rozgniewany z powodu przerwanego spoczynku, wdrapał się po drabiniastych schodach na strych, służący w letniéj porze za miejsce noclegowe, i z rozwianą brodą począł wymyślać:

— Wy pijaki, rozbójniki, ja was powyrzucam z porządnego domu, co to za gwałt za głupie pięć krajcarów!

Lecz podnieceni robotnicy, nie uznając jego praw nadzoru, zaczęli krzyczéć:

— Won, ty łapserdaku! Precz! To nasze miejsce!

Posypały się pogróżki zrzucenia, zaczęły lecićć kawałki drzewa, gliny, ktoś zdmuchnął świeczkę, a szynkarz złażąc szybko, wołał z pasyą:

— Jutro żadnego z was nie puszczę! Wam spać na dworze, jak psom!

A z góry odpowiadały mu gromkie głosy:

— Milcz psiawiaro

IV.

W połowie czerwca wśród giełdy, zbiérającéj się na rynku drohobyckim niedaleko apteki, zapanował wielki ruch i gorączkowe zaniepokojenie.

Jeden z przedstawicieli giełdy wróciwszy ze Lwowa, przywiózł wiadomości, że wosk ziemny znalazł nowe zastosowanie w przemyśle, że na wystawie wiedeńskiéj można widziéć nowy, bardzo popłatny produkt z wosku. Taka nowina, jeśli się sprawdzi, może sprowadzić zwyżkę ceny wosku, a ci giełdziarze przyzwyczajeni do gorączkowych, loteryjnych zysków i interesów, już drżeli radośnie na myśl o nowém źródle wzbogacenia się szybkiego.

— Ale co mówią? Jaki to produkt? Kto go robi? — posypały się pytania.

— Co ja mogę wiedziéć?—odpowiedział pan Kernstein,—to mi mówił mój znajomy, on jest specyalista, on zna te rzeczy.

— To pewno parafina lepsza — rzekł pan Krausberg. należący w małéj części do fabryki parafiny.

— I ja myślałem i tak mówiłem, ale to inna rzecz!

Nadszedł poważny i bogaty pan Lindeman, a dowiedziawszy się o nowinie, uśmiéchnął się ironicznie, pogładził brodę i rzekł z dumą ojcowską:

— Mój syn, Moritz, on był w szkole realnéj, on zna się na tém i on był w Wiedniu, na wystawie...

— Nu, co on mówi?—spytano gorączkowo.

— Co mówi, ja zaraz powiem... Niemcy zrobili z naszego wosku produkt *extrafein*, on jest całkiem biały, oni go potrzebują, a nazywa się... cerezyna!

— Słyszysz... cerezyna... cerezyna... powtarzano wokoło.

Nazwa produktu nie objaśniała w niczém handlarzy, ale było to zawsze nowe, nieznane słowo, którém można było wojować w targach z innemi kupcami.

Giełda po dość długich i ożywionych rozmowach przyszła do przekonania, że wiadomość o cerezynie jest coś, ale należy czekać, co z tego będzie.

Pan Krausberg słuchał pilnie, notował w pamięci różne zdania i to jedno wyrozumował, że skoro wosk znalazł nowe zastosowanie, on musi pójść w górę.

Zadowolony, uśmiéchnięty do przyszłych zysków, szedł zwolna ku domowi.

Zdziwił się, zobaczywszy w pokoju jadalnym syna Mojżesza siedzącego razem z matką na sofie wygniecionéj, twardéj, pokrytéj wyszarzaną, niegdyś amarantową materyą.

Oboje byli tak zajęci rozmową, że nie spostrzegli jego wejścia, dopiéro zwróciło ich uwagę pytanie:

— Nu, co nowego?

— Dobrze Lejzor, że przyszedłeś, to jest wielki interes—odpowiedziała żona, gestykulując wielkiemi, czerwonemi, spracowanemi rękami.

— Co mi powiecie? — spytał zrzucając chałat i siadając na sofie.

— To jest taki interes,—zaczął syn,—że przyjechał z Wiednia młody Lindeman i przywiózł wielką, bardzo wielką nowinę.

— Jaką?—spytał, udając nieświadomość.

— Niemcy wynaleźli z wosku bardzo ładny, bardzo drogi i bardzo pokupny towar... Tak on chce u nas założyć fabrykę.

Stary żachnął się, spojrzał drwiąco na syna i rzekł:

— Ja nie wierzę młodemu Lindemanowi, on patrzy na mody, na krawatki, na różne głupstwa...

Spochmurniał syn, co widząc matka pospieszyła:

— Ty Lejzor tak nie mów, co tobie to szkodzi?

— On już nie nasz,—odpowiedział z przyciskiem.

— Ojciec jest za surowy, on zachowuje wszystkie przepisy.

— Niech zachowuje, aby tylko on nie był moim synem, ja przekląłbym jego w siódme pokolenie.

— Lejzor, co ty gadasz? No, a nasza Esterka, ona także trzyma się mody.

— Ona? Esterka?... Ona kobiéta, to inny interes, ona musi iść za mężem... I ty byłaś inna, a teraz ty matka i gospodyni w domu.

Po krótkiém milczeniu odezwał się syn:

— Ojcze, co to ma do interesu, czy kto się ubiéra tak lub inaczéj, interes to grunt, my możemy z nim pójść do spółki, albo téż nie wchodzić, ale interesu nie puszcza się z rąk, tak mnie uczył mój ojciec.

Uśmiéchnął się stary rad z pochlebnych słów i rzekł łagodniéj:

— Ty Mojżesz, powiedz mi, ja posłucham.

— Lindeman mówi, że wosk pójdzie w górę.

— Niech jego słowa będą prawdą... co daléj?

— Niemcy będą kupowali wosk i zarobią na nim sto procent i wyżéj, oni już budują fabryki na nasz wosk.

— Aby tylko dobrze płacili i kupowali...

— Nam trzeba założyć taką fabrykę...

— Komu?—spytał drwiąco.

— Nu, ojcu, mnie, Lindemanowi i innym; po co wypuszczać interes?

— Ty Mojżesz wiesz, ja nie lubię rzucać interesu, ja go zawsze szukam, ale co to jest? ja nie wiem.

— Ja nie umiem ojcu tak powiedzieć, jak Lindeman; ja pójdę po niego...

— Co mi po nim?

— Lejzor, ty posłuchaj Lindemana, co tobie to szkodzi?

— Sura, ja ciebie ten raz posłucham.

Zerwał się młody Krausberg i szybko wybiegł z pokoju.

— Lejzor, on chce mieć swój interes.

— On ma jeszcze czas, niech się uczy i patrzy.

— Lejzor, jego można już ożenić.

— Ja szukam żony dla niego.

— On jest mądry i sprytny, Lejzor; on prawdziwy twój syn.

— Ja wiem o tém.

Dzieci w przyległym pokoju zaczęły płakać, wstała żona i szybko weszła do dziecinnego pokoju. W chwili, gdy wracała, wchodził młody Lindeman, brunet, ubrany w kraciaste spodnie, żółtą kamizelkę i zielony krawat z błyszczącą szpilką. Po zwykłych formułkach przywitania obsiedli wszyscy stół a przybyły objaśniał.

— Ja byłem na wystawie wiedeńskiéj i zobaczyłem tam nasz wosk, parafinę, benzynę, smołę woskową...

— To można i u nas widzieć—zadrwił pan Krausberg.

— Ja opowiadam, że oni znają interes... ale oprócz tego ja zobaczyłem coś nowego z wielkim napisem: cerezyna. Tak ja myślę co to jest? Pytam, chodzę, aż mi powiedzieli, aby przeczytać artykuł w ich gazecie: *Das Bergwesen*. Ja przeczytałem.

— No i co?—spytał stary zainteresowany.

— Tam stało, że cerezyna, to nowy, to wielki, to nadzwyczajny towar, i już płacą za centnar sto guldenów!

— To dobra i ładna cena.

— Ona będzie większa, — zapalał się gość.—Niemcy na gwałt budują fabryki i dla nich będzie cały zysk, a dla nas nic nie zostanie.

— Niech tylko kupują wosk, my już zarobimy.

— Ale nie ich procent.

— To gadanie. My teraz mamy 62 procent czystych na wosku, a jak on pójdzie w górę, będziemy mieć więcéj, a co oni mają? jaki procent? Ile wosku odchodzi?

— W ich piśmie wydrukowano, że dziś mają z wosku 48 procent cerezyny, a będą mieć więcéj.

— To jaki to interes?

— Za centnar wosku oni wezmą 50 guldenów w cerezynie, a fabrykacya nie kosztuje ich wiele.

— A ile?

— Ja nie wiem.

Po chwili milczenia odezwał się stary:

— Z tego gadania ja widzę, że my mało wiemy, nam trzeba czekać... Niech zaczynają Niemcy, zobaczymy, czy to jest interes.

— Szkoda czasu, — mruknął syn.

— Wy młodzi, wy możecie czekać.

Po wyjściu Lindemana, zbliżył się do ojca Mojżesz i rzekł z pewną nieśmiałością:

— Ja prosiłbym, żeby mi ojciec dał taką część, jak bratu ze Słobody Rungurskiéj, ja chcę pracować...

— Przyjdzie czas, to ja tobie dam — odpowiedział z powagą zimną. — Teraz idźmy spać.

W małżeńskiéj sypialni zaczęła żona namawiać na oddanie części Mojżeszowi.

— Ty Suro daj spokój... On za młody, za głupi, on zaraz leci do ognia niech on czeka... Ja mam większy kłopot...

— Jaki ty masz kłopot, Lejzor?

— Ja nie wiem, jak pójdzie z Bratkowskim; on ma ładny wosk, to i kupców będzie dużo na jego grunt.

— Lejzor, jak ty zechcesz, ten grunt będzie nasz.

— To mało chcieć, trzeba robić — westchnął mąż.

Po chwili żona, podnosząc głowę w czepku kolorowym z poduszki, spytała:

— Lejzor, ile ty masz?

— Co ja mam, ja mam mało.

— Nu, powiedz żonie, ile ty siebie rachujesz.

— Ja nie wiem, ale książki mówią, że mam trochę, może trzydzieści, może więcéj tysięcy.

— Lejzor, to my bogaci.

— Nie Suro, my biedni, nam dużo brakuje...

— A ile nam brakuje?

— Cały milion!... Słyszysz Suro, cały milion!

(D. c. n.) *Artur Gruszecki.*

Święty Stanisław a święty Piotr *).

(Nie-bajki o walce św. Stanisława z św. Piotrem, o Władysławie księciu-zakonniku, o „księżycu“ z wyłupionemi oczyma i o opacie-wojewodzie, co struł królewicza).

„Czas wszystko wyjaśnia“.
Lelewel. Pol. dziej. XVIII. 209.

Tragiczny skon biskupa krakowskiego, Stanisława, jest jedném z najciekawszych, najbardziéj zagadkowych zjawisk w naszych dziejach. Śród spokojnie przewijających się, szarych fal naszéj przeszłości — ta katastrofa ma dziwnie jaskrawe barwy, uderza widza swemi burzliwemi liniami — co prawda tak powikłanemi, że rozeznać się na nich trudno. Dwie najpotężniejsze postacie w społeczeństwie, król i biskup, walczą w czasach „Canossy”, kiedy cały zachód drży w posadach od zaciekłych zapasów cesarza i papieża. W Polsce biskup i król — obaj giną, jeden pada trupem, drugi kona na wygnaniu, syn króla ginie otruty... Wypadek tchnący całym powabem tragedyi, nic też dziwnego, że zwabił dwa najtęższe swego czasu pióra, Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Nad całym tym wypadkiem leży jakaś czarna zasłona, zasłona do dziś—niezupełnie odgarnięta. Najtęższe głowy historyków naszych siliły się przebić tę zasłonę i okazać światu „nagą prawdę”,

*) Rozprawka ta powstała ubocznie przy pracy nad „Rozwojem kultu św. Stanisława“.

po każdéj próbie widzowie powtarzali:—nie jasne, ciemne *non liquet*. Przyznaję, że i ja z obawą zbliżyłem się do tego „Sfinksa” historycznego, który tylu już wywiódł w pole.

Sprawa św. Stanisława to istotnie „sfinksowa” zagadka. Taka sprzeczność sądów panuje w naszém dziejopisarstwie o téj postaci, że istotnie może doprowadzić do zrozpaczenia wogóle o krytyce historycznéj. Daje się nawet słyszéć już „pomruk”, co prawda niewyraźny: nie ruszać tego tematu, bo nigdy się do „pra-słów” téj kwestyi nie dojdzie. Oto jedni zwą go „zdrajcą”, drudzy świętym bez winy; jedni każą mu bronić rozkazów Rzymu, drudzy przeciwnie przeciw nim walczyć; jedni każą mu bronić chrześciańskich zasad małżeństwa, drudzy właśnie opiérać się regułom celibatu i je przekraczać; jedni sympatyzować z wolnością i swobodą przeciw tyranii, drudzy być „anarchistą”—a wszystko to na rusztowaniach hypotez, przedsłanek i t. p., które jedno tylko chyba mogą wykazać, jak ukryta tendencya paczyć może nieraz naukowe badania, wykrzywiać choćby nawet zasadnicze założenia samego autora, gdy np. historycy, którzy w swych dziełach wynoszą z zasady władzę monarchiczną, uwielbiają jednak biskupa krakowskiego za jego „zachodni” opór przeciw „bizantyjskiéj” przemocy, gdy chwalcy polskiéj wolności, robią mu zarzut anarchii.

Pisarzów, którzy poświęcili naszemu tematowi specyalną pracę, jest legion. Nie licząc dawnych, Kieleckiego, Długosza, Skargi, w samym w. XIX piszą o tém: Lelewel, Maciejowski, Mieczkowski, M. Dzieduszycki, Komarnicki, Świeżawski, Skorski, Kalinka, Stefczyk, Angerstein, Gumplowicz... Szereg tych zapaśników na pióra szczególnie zagęścił się, odkąd Czacki uznał słuszność przezwiska „zdrajca”, jakie nań rzucił pierwszy kronikarz polski, Gall. Obruszyło takie przypuszczenie wszechnicę krakowską. Gdy w r. 1824 wydał Bandke właśnie ową kronikę Galla, postanowiono tamę położyć przypuszczeniom niedowiarków. Wydział teologiczny wszechnicy krakowskiéj rozpisał konkurs na ten temat. Zdobył palmę i zyskał nagrodę kanonik Pękalski, który w swéj rozprawie [1]) starał się naukowo udowodnić, że cud wskrzeszenia Piotra z Piotrowina przez św. Stanisława mógł miéć miejsce, sam tekst zaś Galla uznał za podrobiony.

Ile się późniéj wylało inkaustu! Dziś znowu idzie w harc przed-

---

[1]) „De Petri militis per s. Stanislaum episcopum cracoviensem disputatio historico-critica, quam ad summos in sacra Theologia honores rite capescendos publice defendet Fr. Petrus Pękalski. Cracoviae 1826.

wcześnie zmarły historyk, Gumplowicz [1]), przywodząc dowody, że św. Stanisław był nietylko „zdrajcą" króla polskiego, ale i papieża, że nawet występował przeciw papieskim rozkazom co do celibatu. Autor wiele rzucił nowych pomysłów, ale trzeba przyznać, że dla ich uzasadnienia nie wyzyskał wszystkich źródeł tak, że jego uogólnienia zdają się na pierwszy rzut oka awanturniczemi przypuszczeniami.

Ciekawa rzecz, że Gumplowicz, który w najświeższych rozprawach „*Zur Geschichte Polens, Insbruck 1898*" rzucił tyle światła na istniejący swego czasu w Polsce obrządek słowiański, nie zastosował prawie zupełnie tego poglądu w swéj pracy o biskupie Stanisławie. Powód leży bodaj w jednéj omyłce Gumplowicza. Autor zamiast uznać, że obrządek słowiański miał siedzibę li tylko w Małopolsce, w odróżnieniu od Wielkopolski — sądzi, że panował w całéj Polsce. Ten błąd [2]) przeszkodził mu wpaść na te szczęśliwe domysły kontrastu Krakowa do Gniezna, jakie pozwoliły mi ostatecznie rozświetlić całą dotąd zagadkową „zdradę" św. Stanisława.

Aby zrozumieć i odczuć środowisko współczesne katastrofie, czytelnik musi się wyzbyć wszelkich pojęć dzisiejszego wieku, a przenieść się przemocą w świat wyobrażeń tak odległych czasów. Wszak czasy Bolesława Śmiałego to zamierzchłe dzieje, Polska ledwo od 100 lat jest chrześciańską, a dopiéro co przed 50 laty rewolucya pogańska zdmuchnęła wszystkie niemal twierdze kościoła polskiego.

A jaki to kościół? Ma on przedewszystkiém jeden olbrzymiéj wagi i doniosłości rys znamienny dla owoczesnéj cywilizacyi europejskiéj. Oto do czasów wstąpienia Bolesława Śmiałego na tron, rozłamu między zachodnim a wschodnim kościołem nie było. W zaraniu dopiéro jego rządów (1057) dokonywał się za Cellaryusza (1054) rozbrat między wschodnią a zachodnią słowiańszczyzną, równolegle z rozdziałem między Carogrodem a Rzymem.

Następnie jeszcze jedna wstępna uwaga dla czytelnika chcącego odczuć nastrój ówczesnych czasów, ówczesną atmosferę średniowieczną. Duch średniowiecza, to duch legend, przenośni, cudów.

---

[1]) Bolesław Śmiały i biskup Stanisław. Kwartalnik hist., r. 1898, str. 515.

[2]) Wywody Gumplowicza co do panowania obrządku słowiańskiego w klasztorach wielkopolskich (*zur Geschichte Polens* str. 141, 146, 161, 208) zupełnie nie są przekonywające. Pomysłów o słowiańskości obrządku w Wielkopolsce nie można, zdaniem mojem, budować na greckiem brzmieniu imion jakichś biskupów, których Długoszowi się podobało osadzić w Poznaniu na przekór istniejącym tam innym biskupom, jak Unger (str. 214—216).

Styl owych czasów, to zbiór samych alegorycznych porównań, paraboli, obrazów o rozszalałéj wyobraźni, jakich tyle w spuściźnie zostawił nam Wincenty Kadłubek. Z pod tych obsłonek dopiéro trzeba dziś skrzętnie wydobywać ziarno właściwe, w mistycznych znakach i wyrazach umiéć dopatrzyć się właściwych myśli. A teraz w bród.

Ziemia krakowska w odległych, zamierzchłych czasach związana była z Czechami. Około r. 999 dopiéro oderwali ją Piastowie od Czech. Odpadła znowu do Czech po śmierci Mieszka II, póki jéj poprzednik Bolesława Śmiałego, Kazimierz I, nie odzyskał napowrót.

Tendencye czeskie, nic dziwnego, musiały być niemałe w ziemi krakowskiéj. Ziemię tę jednak spajał z Czechami nietylko zaborczy miecz. Znajdował on tu podkłady duchowe, szczątki związków dawnych duchowych, pociągających jéj mieszkańców ku Wełtawie i Morawie.

Prof. Abraham w swéj pracy „Organizacya kościoła polskiego" mimo wszystkich zastrzeżeń uznał, że w Polsce początkowo istniał obrządek słowiański św. Metodego obok łacińskiego [1]). Nie zauważono jednak, że wskazówki o tém odnoszą się do saméj Małopolski, a przedewszystkiém ziemi krakowskiéj.

Działalność Cyryla i Metodego najłatwiéj mogła objąć najbliższą krainę polską, a więc krakowską, jak na to zresztą wskazuje legenda Metodego o nawróceniu „księcia na Wiślech" (M. P. I. 107). Modlitwa dawnych brewiarzów kościoła polskiego do Cyryla i Metodego „*nostros apostolos et patronos*" prawdopodobnie była właściwością krakowskiéj katedry, kiedy ją po raz pierwszy odnajduje i drukuje biskup krakowski, kardynał Radziwiłł (r. 1596 *Cracoviae*). Faktem uznanym jest, że Prochorus († 986) i Proculphus († 995), pierwsi biskupi w Krakowie, byli biskupami obrządku słowiańskiego z imionami używanemi w Grecyi. Kościół św. Salvatora starodawny, mający odpowiadać słowiańskiemu wezwaniu św. Spasa, znajduje się w Krakowie. Wreszcie najbardziéj znamienne wezwanie kościołków imienia św. Klemensa, które właśnie znamionuje obrządek Cyryla, znalazcy relikwii tego świętego—odnosi się téż tylko do Małopolski.

---

1) W Polsce był istotnie ten obrządek. Wskazują na to słowa Galla „*Latinorum et Slavorum quotquot estis incolae*", reminiscencye w rękopisie dyaka z Dubkowa (M. P. I. 90) o apostolstwie Cyryla i Metodego w Lęchicy, jako też w żywocie Mojżesza Węgrzyna (M. P. IV. 810). Bezwarunkowo roztrzygającém, jak sam Abraham uznal, jest list księżnéj Matyldy do Mieszka II. (M. P. 323).

Wreszcie nie inny kościół tylko krakowski znamionują pewne odmienne zwyczaje rytualne. Wzmianka kroniki wielkopolskiéj, kryjącéj w sobie drobne lecz cenne, gdzieindziéj nieznane wiadomości, że aż po czasy Władysława Hermanna, więc jeszcze za Bolesława Śmiałego, *non soli canonici, sed clerus episcopum dioecesis Cracoviensis eligebat*—wskazuje na wschodnią modłę krakowskiego kleru, wyjątkową w całéj Polsce. Czy tego rodzaju wybór biskupa nie zostawiał katedrze swobody przechowywania tradycyi słowiańskich, chroniąc ją przed samowładzą księcia polskiego? Położenie wreszcie ziemi krakowskiéj, osłoniętéj karpatami od Węgrów, co zburzyli kościół wielkomorawski, oddalonéj od Niemiec — pozwalało pielęgnować tu szczątki Metodowéj misyi, gdzieindziéj zupełnie zrujnowanéj.

W téj ziemi krakowskiéj najznamienitszą warownią tego obrządku słowiańskiego był Tyniec. Jak klasztor sazawski w Czechach, tak klasztor tyniecki był podwaliną słowiańskiego obrządku w Polsce. Pierwsi opaci tego klasztoru noszą czysto-wschodnie nazwy: Aron, Anchoras [1]). „Być może — powiada Małecki [2]) — że istniał w Tyńcu przed restauracyą Kazimierza I od czasów Bolesława Chrobrego, a może i znacznie jeszcze dawniéj, odcień reguły benedyktyńskiéj słowiańskiego obrządku, t. j. głagolici".

W Czechach, które jak zaznaczyliśmy, w tak blizkim politycznym zostawały związku z Krakowem, istniał słowiański obrządek. Tak w sazawskim klasztorze ś. Prokopa, założonym przez ks. Udalryka w roku 1032, pielęgnowano go jeszcze w XI w. Jak Udalryk, tak i syn jego Brzetysław sprzyjali temu rytuałowi. Brzetysław był nawet krzewicielem tego obrządku (jego memoryał z r. 1028, charakterystyczne pieniążki z napisem „św. Klemens"). Wreszcie na początku r. 1079 Wratysław książę czeski podnosi znowu ten sam sztandar Metodowego obrządku słowiańskiego. Wystosowuje prośbę do Grzegorza VII o zezwolenie liturgii słowiańskiéj. Ten rok 1079, rok w którym papież odpowiada odmownie na te starania księcia czeskiego jest dla nas znamienny.

Zwracam uwagę, że rok ten jest rokiem zabicia św. Stanisława biskupa krakowskiego przez księcia polskiego, właśnie rywalizującego z księciem czeskim Wratysławem. Biskup Stanisław został nazwany przez współczesnych „zdrajcą". Czy ten biskup nie godził się na

---

[1]) (M. P. V, 603). Jeszcze przed zniesieniem tego klasztoru — mówi Gumplowicz *(zur Gesch. Polens)*—według opisu ksiąg tynieckich znajdowało się obok łacińskich też „6 ksiąg prastarego pisma".

[2]) „Klasztory i zakony w Polsce". Przew. nauk. 1875. 501.

dążności duchowieństwa czeskiego? Czy on, biskup téj stolicy krakowskiéj, która tak związana była z obrządkiem słowiańskim, nie był ich poplecznikiem? Wszak on znał dobrze biskupa praskiego Jaromira, brata księcia czeskiego. Ten bowiem biskup Jaromir, starający się teraz zgodnie wraz z bratem o obrządek słowiański, kilka lat (1061 — 1067) bawił nie gdzieindziej, tylko właśnie w tym Krakowie. Wszak Dubravius w swojéj „*Historia Bohemica*" (Bazylea 1575) na podstawie jakichś dziś nam nieznanych źródeł zaznacza, że ten Wratysław z żoną swą Swatawą wstawiali się za św. Stanisławem u Bolesława Śmiałego. Wszak duchowieństwo krakowskie splatało węzłami przyjaźni i to z Pragą, że od czasu Arona, biskupa krakowskiego, w najściślejszych było stosunkach z Leodyum, gdzie również kształcił się kler praski (np. kronikarz Kuźma) śród atmosfery— wrogiéj dążnościom papieża Grzegorza VII.

Dla rozjaśnienia położenia rzucimy wzrok na Ruś, biorącą teraz dopiéro rozbrat z Rzymem.

Abraham, pisząc w najnowszéj swéj pracy o obrządku słowiańskim i zaprzeczając wpływom ruskim na kościół polski, zaznacza jednak: „Nie ulega wątpliwości, że Kijów ówczesny musiał na Polskę silnie oddziaływać, gdyż na zachodzie w pobliżu tak świetnego ogniska cywilizacyi nigdzie nie było, a oddziaływanie to wzmacniały nadto ciągłe stosunki polityczne i handlowe z Rusią i częste małżeństwa między członkami domów panujących obu tych krajów zawierane. Wpływy rusko-bizantyjskie uwydatniły się wtedy i w stroju i w architekturze a nawet i w tłoku menniczym, mogły więc oddziałać równie i na kościół polski".

Pytam, kiedy wpływ Kijowa mógł bardziéj odbić się na polskim kościele i społeczeństwie, jak nie za Bolesława Smiałego, syna księżniczki ruskiéj, który raz w raz wpada do Kijowa i osadza tam „swego" Izasława, ożenionego z siostrą swego ojca? W tym Kijowie Izasław i jego zwolennicy stanowią polskie stronnictwo, lecz duchowieństwo ruskie, a głównie zakonne burzy się przeciw Bolesławowi Śmiałemu, przeciw Polakom. Igumen Antoni jest w zatargu z Izasławem, tym „łacinnikiem", co chodził do papieża Grzegorza VII, a spór dochodzi do takich rozmiarów, że musi Antoni ustąpić do Czernihowa, do brata Izasława, Świętosława (M. P. I. str. 742). Niebawem znowu Izasław toczy spór z czerńcami, np. z Nikonem (M. P. IV. 816). Czuć całą nienawiść do Polaków u duchowieństwa, słowiańskiego, kijowskiego: współcześnie czerńcom dyabeł przedstawia się jako Polak w stroju łacinnika (M. P. I. 739).

Czy ta nienawiść między „słowianami“ a „łacinnikami“ zupełnie przeszła bez wpływu na spór między biskupem krakowskim „słowiańskim“ a królem Bolesławem, jak wiadomo, tak ściśle związanym z papieżem Grzegorzem VII? Czy Polska równocześnie nie dostała się pod atak słowiański ze strony Czech, krzątających się około obrządku słowiańskiego, i ze strony burzących się mieszkańców Kijowa, gdzie zaczynają równocześnie Polaków łacinników mordować na leżach—jak Nestor zaznacza—zapewne nie bez zachęty czerńców? Czy to wzburzenie nie polega nawet na porozumieniu? Czy to nie „zdrada“ uknuta od Kijowa do Pragi? Czy krakowski biskup nie był w to wmięszany? On, przezwany „zdrajcą“?

Faktem jest, że Grzegorz VII zostający w związku z Bolesławem Śmiałym, któremu miał nawet przesłać koronę—odpowiedział na początku r. 1079 na prośby Wratysława czeskiego o obrządek słowiański najkategoryczniejszą i najsurowszą odmową [1]).

W tym samym roku Bolesław Śmiały wobec buntu „słowiańskiego“ w Kijowie ucieka, wraca do kraju, gdzie pada krakowski biskup z jego ręki czy rozkazu. Za co? „Zdrajca“. Czy ta katastrofa to nie odzew rozłamu dokonywującego się w Europie między łacińskim a greckim kościołem, wobec którego papież z całą stanowczością musiał wystąpić przeciw zakusom czeskim, przeciw słowiańskiemu obrządkowi? Po upadku Bolesława Śmiałego — rzecz znamienna—Kraków zagarniają Czesi, a Ruś Czerwoną z Przemyślem Rusini...

Czeski kronikarz Kuźma [2]), przesiąknięty współczesnemi dążnościami kleru, przedstawia w pięknéj alegoryi św. Stanisława—jako

---

[1]) „Quia vero nobilitas tua postulavit, quo secundum Sclavonicam linguam apud vos divinum celebrari annueremus officium, scias, nos huic petitoni tuae nequaquam posse favere. Ex hoc nempe saepe volventibus liquet non immerito sacram scripturam omnipotenti Deo placuisse quibusdam locis esse occultam, ne si ad liquidum cunctis pateret, forte vilesceret et subjaceret despectui aut prave intellectu a mediocribus in errorem induceret. Neque enim ad excusationem juvat, quod quidam religiosi viri hoc, quod simpliciter populus quaerit, patienter tulerunt, seu incorrectum dimiserunt, cum primitiva ecclesia multa dissimulaverit, quae a sanctis patribus, postmodum firmata christianitate et religione crescente, subtili examinatione correcta sunt. Unde ne fiat, quod a vestris *imprudenter* exposcitur, auctoritate *b. Petri* inhibemus, teque ad honorem omnipotentis Dei huic *vanae temeritati viribus totis* resistere praecipimus“. (Mansi. Conciliorum Collectio t. XX 296).

[2]) Pierwszy Stefczyk („Upadek Bolesława Śmiałego“. Ateneum 1885) wpadł na domysł, że treść alegoryi u Kuźmy (Ks. II § 34) odnosi się do św. Stanisława. Zgadzam się na to zdanie Stefczyka wbrew Gumplowiczowi, który sądzi,

najbliższego sojusznika kleru praskiego. Biskup krakowski, według niego, jakby uznając Pragę za posiadaczkę relikwii św. Wojciecha i Radzyma, słowem za ognisko czcicieli św. Wojciecha, dąży do Pragi; biskupowi okazuje się św. Radzym, brat św. Wojciecha, biskup bierze udział w staraniach duchowieństwa praskiego o kanonizacyę św. Radzyma, niesie dary na jego grób... Widoczne tu solidaryzowanie się biskupa krakowskiego z klerem praskim i jego kultem, z klerem, który jak wskazaliśmy krząta się około podniesienia obrządku słowiańskiego.

Ten obrządek słowiański, w Czechach rosnący, to miecz Damoklesa nad głową Bolesława Śmiałego. Czechy rywalizujące z Polską [1]) w chwili, kiedy książe polski wdział na swe skronie koronę, zawsze tym kultem słowiańskim protestują, dowodząc, że one mają ten wszechsłowiański obrządek w swych rękach, że one, nie Polska, są naczelnymi panami Słowiańszczyzny zachodniéj. Tak postępuje każdy książe czeski—gdy tylko książe polski spróbował się ukoronować, tak Udalryk, tak Brzetysław wobec korony Chrobrego i Mieszka II, tak teraz Wratysław wobec koronacyi Śmiałego r. 1076.

Czy w saméj Polsce, położenéj śród dwóch centr słowiańskich, Pragi i Kijowa, a szczególnie w ziemi krakowskiéj, pośród tych dwóch ognisk na drodze leżącéj, nie było żywiołów czułych na te dążności? Czy duchowieństwo Pragi i Krakowa mogło nie wpłynąć na biskupa? Z następującéj represyi dokonanéj przez Bolesława wracającego od bram wzburzonego Kijowa pozostał mojém zdaniem szczątek dawnych wieści w żywocie św. Mojżesza Węgrzyna, pisanym w XIII w. W żywocie tym są wspominki o królu Bolesławie (podanie miesza Chrobrego z Śmiałym), który „wzniecił prześladowanie wielkie na „czernorysców"—(mnichów) i wygnał wszystkich z kraju swego" [2]).

że tą postacią alegoryczną jest jakiś Czech. Domysł Stefczyka nabiera wszelkiego prawdopodobieństwa, jeśli się wyrozumie alegoryczne przenośnie. Zwracam uwagę, że ów człowiek „srebrną nicią mierzy członki swego ciała"—rzecz jasna, że tu mowa o św. Stanisławie, którego spotkała i rozsławiła kara wymierzona mu przez Bolesława Śmiałego: na rozerwanie członków (truncatio membrorum" Gall).

[1]) Dzieje téj rywalicyi przedstawione w cytowanéj rozprawie Stefczyka.

[2]) Następnie niefortunnie przykleja (jak sam się do tego przyznaje „przyłączyłem do tego" M. P. IV 816) żywociarz ustęp z latopisca o ruchu ludowym po Mieszku II. Za Bolesława Chrobrego niema nigdzie wiadomości o buncie i nieszczęściach, jakie na ziemię polską spadły—może się to odnosić do faktów zaszłych po śmierci dopiero syna jego, Mieszka II. Jeżeli tedy mowa o „Bolesławie", to odnieść to trzeba do Śmiałego (Por. Lewicki. Mieszko II. Dod. I.)

Czy to „wygnanie czarnorysców“ i ucieczka ich z Polski na Ruś nie jest reminiscencyą z czasów represyi Bolesława Śmiałego? Pobyt duchownych ruskich w Polsce nie powinien nas tak dziwić. Cellaryuszowy rozłam kościelny wszak to dopiero nowość. Wszak na dworze „Bolesława“ bawi według legendy całe lata czerniec Mojżesz z góry Athos (M. P. I. IV. 815). Często goszczono w kraju sąsiednim. Nie tylko, że Bolesław Śmiały bawiał z swą drużyną w Kijowie, ale i książęta ruscy bywali w Polsce (Izasław). Tak ks. Włodzimierz Monomach, późniejszy wielki kniaź, opowiada z czasów Bolesława Śmiałego „posłał mię tedy Świętosław do Polski, chodziłem za Głogów do czeskiego lasa, chodziłem w kraju ich cztery miesiące [1]).

Za Boleslawa Śmiałego groza idąca od współzawodniczących Czech, groza obrządku słowiańskiego zmusiła króla polskiego do stanowczego kroku, do represyi. To stłumienie, zgniecenie w Małopolsce pociągnęło za sobą nie jedną śmierć biskupa. Wskazują na to słowa Wincentego (Kadłubka) o oskarżaniu przez niektórych biskupa Stanisława „że z jego powodu tyle głów na śmierć wydano. I Gall mówi o cieleśnie ukaranych „chrześcianach“, a nie jednym „chrześcianinie“ [2]).

Represya ta to owoc rozłamu kościelnego na południu dokonanego. Po tej katastrofie rozdział między Rusią a łacińską Polską widoczny. Bolesław Śmiały ostatnim był z Piastów, co szczerbił miecz na złotych bramach Kijowa [3]).

Takie oświetlenie zatargu Stanisławowskiego tłómaczy nam, dlaczego nie wojewoda lub „comes“ krakowski odgrywa tu tak ważną rolę, ale właśnie „biskup“. Biskup mógł z królem wojować i straszyć „rytuałem“.

Do tego czasu same przypuszczenia. Obecnie jeszcze jedno wytłómaczenie, dlaczego nie tylko „biskup” grał w tym wypadku zdrady główną rolę, ale dlaczego biskup „krakowski”. Ku temu posłuży stosownie wyjaśniona alegorya o wskrzeszeniu Piotra przez św. Stanisława. Na wstępie kilka dat historycznych.

---

[1]) Nauka Monomacha M. P. I.

[2]) „hoc dicere licet, quod non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare“. W tym podziale Galla chrześcian na dwa obozy można się dopatrzeć obrządkowej różnicy, Gall uznawał, że i duchowieństwo Stanisławowe wyznawało Chrystusa, tylko w innym obrządku

[3]) Stąd już metropolita kijowski Niceŕor (1104—1119) wszystkich Polaków uważa za łacinników, stąd Mateusz biskup krakowski w liście do św. Bernarda (1150) tak pogardiiwie wyraża się o ruskim słowiańskim obrządku (M. P. II. str. 16).

Według najnowszych studyów Abrahama zupełnie rzeczą wiarogodną jest, że „od śmierci Mieszka II aż po mniéj więcéj r. 1075—6 metropolia gnieźnieńska wcale nie istniała". Końcowa data 1075 jest datą listu Grzegorza VII do Śmiałego, w którym papież wyraźnie zaznacza, że niema w Polsce metropolii i w celu właśnie utworzenia metropolitalnego punktu wysyła *(legatos ad vos direximus)* legatów do Polski. Utworzenie samodzielnéj metropolii w Gnieźnie szło niezawodnie ręka w rękę z polityczną samodzielnością państwa polskiego, gdy właśnie na samym końcu roku 1076 na Boże Narodzenie [1]) Śmiały odbywa koronacyę przy tak wielkiéj ilości biskupów (w liczbie 15), że już na téj podstawie przypuszczano, że w ich liczbie byli i zagraniczni biskupi, legaci papiescy i t. p. Sama ilość biskupów wskazuje, że równocześnie przy tym samym akcie koronacyjnym utworzono i metropolię gnieźnieńską. Wiadomém jest, że za Bolesława Śmiałego w Gnieźnie wybudowano nową katedrę, co według małopolskiego rocznika stało się r. 1076 (M. P. III 147), wiadomém jest tak samo, że właśnie około tego czasu wyświęcili legaci papiescy na pierwszego metropolitę gnieźnieńskiego arcybiskupa Bogumiła. Słowem odbył się wtedy w Gnieźnie zjazd metropolitalno-koronacyjny, na którym resztę biskupów uzupełniali niezawodnie biskupi sascy (między nimi i magdeburski), przyjacielscy sojusznicy Bolesława Śmiałego, przeciw cesarzowi zbuntowani. [2])

Ależ utworzenie metropolii w Gnieźnie było zupełnie nie na rękę biskupstwu krakowskiemu. Było to obaleniem całego jego znaczenia, jakie dotychczas posiadało, było wprost podważeniem jego stanowiska. Za Kazimierza I bowiem nikt inny tylko Aron, opat tyniecki, został metropolitą całéj Polski z siedzibą w Krakowie. Gniezno wówczas nie miało znaczenia żadnego, pozbawione było relikwii ś. Wojciecha, uniesionych przez Brzetysława I, leżało w rui-

---

[1]) Annales Lamberti.

[2]) Polska mogła mieć wówczas kilku ledwo biskupów por. Abraham *l. c.* i słowa listu papieskiego „*adeo pauci sunt episcopi*". Fakt, że liczbę 15 podaje rocznik saski, popiera przypuszczenie co do miestnictwa saskich biskupów. Bolesław Śmiały wbrew systemowi księcia czeskiego, trzymającego z cesarzem przeciw Sasom, był w najściślejszych stosunkach z biskupami i książętami saskimi. Posiłkował ich w walce. Czyżby Bolesław nie wyzyskał przyjaźni swej z magdeburskim arcybiskupem ku reorganizacyi samodzielności kościoła polskiego?. Tak też sądzi i Abraham. To tłómaczy, dlaczego na wieść o tej koronacyi robiono w Niemczech wyrzuty niektórym książętom „*sibi invicem succensebant, quod potentiam opesque barbarorum in tantum aluissent, ut... dux Polenorum in ignominiam regni Teutonici nomen regiumque diodema impudens affectasset*"... (*Lamb. Ann.*).

nach, jedynym metropolitą był Aron; punkt środkowy polskiego kościoła leżał w Krakowie [1]). Dopiero Śmiały, walczący z Czechami, grabieżcami relikwii św. Wojciecha, odbudowuje na nowo metropolię w Gnieźnie. Dla wyrozumienia, z jakiém uczuciem przyjął te usiłowania Śmiałego kler krakowski, posłuchajmy katalogu biskupów krakowskich, który tak się wyraża o następcy Arona, biskupie Sulisławie.

„...Neglexit petere insignia archiepiscopatus, videlicet *pallium b. Petri* et crucem ab eoque tempore cessavit archiepiscopatus in Cracovia, unde et dignum est, ut hic Zula, ex Cracoviensi pontificum cathalogo eliminaretur, postquam tantum ecclesiae fulgorem et honorem sua segnicie et incuria amisit et obfuscavit... Dignum portentum, quod ecclesiae, cuius decorem neglexerat, sepultura merito carere debuit, nisi eum ea virtus sclevaret quod in vita sua b. Stanislai merita et mores perpendens eundem accersitum in ecclesia sua fecit et instituit canonicum" [2]).

Co za niechęć, co za rozżalenie do biskupa Sulisława wieje z tych słów, powtarzanych jeszcze długo w licznych późniejszych pismach kleru krakowskiego. Nie dać go pogrzebać, nie zapisywać do katalogu! Snadź była to sprawa nie małéj wagi. Zakończenie tego ustępu żałosnego zdaje się wskazywać, że św. Stanisław odwrotne zajmował stanowisko, że nie należał do tych uległych Śmiałemu biskupów, jak Sulisław, że bronił arcybiskupstwa krakowskiego, starał się odzyskać to, co tamten zaniedbał.

Nie byłże to jeden z bodźców do zatargu z Bolesławem? Właśnie między rokiem 1076, tj. datą koronacyi Śmiałego i ustanowienia metropolii gnieźnieńskiéj, a śmiercią biskupa Stanisława r. 1079 upływa trzy lata, a właśnie ów alegoryczny św. Stanisław w kronice Kuźmy „był w mieście Krakowie trzymany w podziemném więzieniu z jedném okienkiem u góry, którędy mu zrzadka wodę i chléb podawano". Czy to więzienie nie za opór przeciw ustanowieniu metropolii polskiéj w Gnieźnie, czy to nie kara może nawet za zgodą urządzających tę metropolię legatów papieskich, a działanie ich zapewne nie było różne od postępowania legata Guala, który w 25 lat potém złożył z godności następcę biskupa Stanisława, biskupa krakowskiego Czesława [3]).

---

[1]) Abraham str. 131.

[2]) M. P. III. 343.

[3]) Dług. Op. I.

Bezwzględność Śmiałego zrozumieć można tém bardziéj, że równocześnie w Czechach prawdopodobnie gotowano się do podobnéj, obszernéj akcyi wyniesienia praskiéj katedry. Współcześnie Wratysław prosi stolicę papieską o wysłanie legatów, czego mu jednak Grzegorz VII, związany ze Śmiałym, odmawia. Praski kler przeciw utworzonéj teraz nowéj metropolitalnéj katedrze Gnieźnieńskiéj wystawia na czoło kult św. Wojciecha. Jego popioły nie są w Gnieźnie, są w Pradze! Znana jest późniéjsza waśń Gniezna i Pragi o to, kto dzierży właściwe ciało świętego, których dziś jest dwa. W téj kłótni św. Stanisław zajmuje stanowisko nie duchowieństwa polskiego, ale czeskiego. Kuźma każe swemu alegorycznemu św. Stanisławowi umknąć z więzienia z Krakowa (w czasie wyprawy Śmiałego na Ruś?) i uczcić relikwie św. Wojciecha i jego brata Radzyma, byłych metropolitów gnieźnieńskich w Pradze,—nie w Gnieźnie. Czy to nie symbol realnego zdarzenia—mianowicie oddania całéj dyecezyi krakowskiéj pod protektorat biskupstwa praskiego, tak że Śmiały wracając z Kijowa musiał je zdobywać, odzyskiwać? Wszak w związku z tém stałby falsyfikat biskupstwa praskiego z r. 1086, wktórym—jak wiadomo—używając właśnie osoby św. Wojciecha za pretekst, zmyślono świadectwo na włączenie dyecezyi krakowskiéj do biskupstwa praskiego [1]). Takie roszczenia musiały mieć jakiś realny podkład i precedens, a tém mogło być poddanie biskupstwa krakowskiego pod praskie, przez Stanisława dokonane.

To była „zdrada" kościoła polskiego, swego metropolity. Tak wnioskując, rozumiemy, dlaczego zwie go Gall „zdrajcą", dlaczego przedewszystkiém zgadzają się na to wyrażenie ci, którym Gall kronikę swą poświęca, a więc arcybiskup gnieźnieński Marcin, biorący czynny udział w pisaniu téj kroniki, daléj wszyscy biskupi polscy.

W owych czasach, kiedy papież, stelmachów syn, mocował się z największym potentatem świata, cesarzem, i zwalił go do nóg swych pod Canossą, świat europejski rozpadł się na dwa wrogie obozy, na papieski i cesarski. Hasłem dzielącém te dwa obozy było imię św. Piotra,—zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że podwaliną całéj powagi papiestwa była tradycya pasterstwa św. Piotra w Rzymie. W każdym zakątku Europy widać było stronników i sprzymierzeńców św. Piotra, tj. stolicy Piotrowéj. Tuż w sąsiednich Polsce Niem-

[1]) Lewicki. Wratysław II czeski królem polskim. 1876.

czech społeczeństwo podzieliło się w ten sam sposób. Sasi trzymają z papieżem, buntują się przeciw cesarzowi, to téż w bitwie z nim toczonéj hasłem ich nie jest inne imię, tylko „św. Piotr" [1]). Cała księga Brunona „De bello Saxonico" wskazuje, jakto wówczas wyraz „św. Piotr" był ulubionym symbolem i hasłem Sasów, sprzymierzeńców stolicy Piotrowéj, sprzymierzeńców tak samo naszego Bolesława Śmiałego, Sasów, co się zwą „b. Petri fideles".

Wszystkie dotąd przedstawione dane składają się na dowód, że nasz król „Śmiały“ był sprzymierzeńcem „św. Piotra“. Wszystkie zarazem okoliczności każą się domyślać, że św. Stanisław, jak tylu zresztą współczesnych biskupów za granicą, był wrogiem „św. Piotra“.

Związki z Wratysławem czeskim, sprzymierzeńcem cesarza, przeciwnikiem papieża, stosunki krakowskiego biskupstwa z Leodyum, owianém antigregoryańskiemi tendencyami, słowiański obrządek, który Grzegorz VII tak stanowczo potępił—wszystko to nasuwa koniecznie myśl o nieprzychylném stanowisku św. Stanisława wobec stolicy Piotrowéj.

Co więcéj! Wszak teraz właśnie ten sam następca św. Piotra ustanawia na oczywistą szkodę biskupstwa krakowskiego nową metropolię w Gnieźnie. I znowu w następującym sporze między arcybiskupstwem krakowskiém a gnieźnieńskiém—wypływa na wierzch to mistyczne imię „św Piotr“. Oto słyszymy, że katedra gnieźnieńska, któréj patronem do tego czasu był św. Wojciech, otrzymuje teraz—nowo zbudowana—wezwanie św. Piotra. Relikwii św. Wojciecha brakło przy restauracyi katedry przez Śmiałego, unieśli je zawistni Czesi, niemi się teraz pysznili, dowodząc, że oni mają w ręku to palladium świętości słowiańskiéj. Więc Bolesław Śmiały, oparty przeciw Czechom na Grzegorzu VII, na opoce Piotrowéj—wnosi katedrę pod wezwaniem św. Piotra Czy się to podobać mogło biskupowi krakowskiemu, mistyczny św. Stanisław w kronice Kuźmy na przekór temu podróżuje do Pragi ku grobom św. Wojciecha...

Przeciwieństwo św. Stanisława wobec św. Piotra uwidoczniło się jeszcze w zachowaniu się biskupa krakowskiego wobec korony polskiéj, którą przesłał Śmiałemu następca św. Piotra. Jakeśmy to wykazali, i datą i samą istotą swą powstanie niezawisłego kościoła polskiego metropolitalnego w Gnieźnie schodzi się zupełnie i splata w jedno z koronacyą Bolesława Śmiałego na Króla. Stanisław bi-

---

[1]) „suum salutavit socium dicens: „Sancte Petre!“, quod nomen Saxones pro *symbolo* tenebant omnes in ore“. Bruno: „De bello Saxonico“, r. 1078 § 97.

skup, przeciwnik metropolii gnieźnieńskiéj, musiał być przeciwnikiem i koronacyi Śmiałego. Ta koronacya była nieznośną dla cesarza, dla księcia czeskiego, dla możnowładctwa polskiego, więc i dla biskupa Stanisława.

W kronice Galla można się dopatrzyć wskazówek, że koronacya była jednym z powodów następnéj katastrofy. Kronikarz wskazuje, że Bolesławowi „nie dawał spokoju pewien nadmiar ambicyi czy próżności“, że był uniesiony taką dumą, że nie chciał się całować ani z kniaziem wielkim kijowskim, ani królem węgierskim; nawet w tym ostatnim wypadku piętnuje Gall wyraźnie jego zgubną dumę (pestifera superbia), która nie pozwoliła jemu, choć wygnańcowi, ugiąć się przed królem węgierskim—jemu—rozumie się „koronowanemu królowi“. Zupełnie zrozumiałe to w ustach Galla, historyografa Krzywoustego, który zrzekł się pretensyi do korony. Współcześni rocznikarze niemieccy wyraźnie tłómaczą co znaczy ta pycha „in superbiam... elatus... regiam dignitatem sibi usurpavit“. Wincenty (Kadłubek) zaznacza, że obalił Śmiałego „wiatr pychy“— ale równocześnie jeszcze za tegoż Wincentego słychać było zarzuty przeciw biskupowi Stanisławowi, że za jego sprawą „zaprzysiężono królowi zagładę (quod *regis* coniuratum est excidium)...

Nieprzyjazne stanowisko biskupa krakowskiego wobec metropolii i koronacyi gnieźnieńskiéj musiało się objawić przedewszystkiém oporem przeciw ciężarom, jakie te nowe zaszczyty, zyskane przez Polskę, nakładały na ludność. Wiadomo, że stolica papieska koron darmo nie dawała, za to płacono „świętopietrze“. Stronnik św. Piotra, musiał składać się nań i go wspierać [1]). Zupełnie trafnie w najświeższéj pracy Abraham zaznacza, że właściwie świętopietrze zaczęto z Polski słać do Rzymu wskutek koronacyi Bolesława Śmiałego. Od jego czasów stał się regularnym podatkiem składanym przez ludność całą. Właśnie w tym czasie papieże nakładają ten obowiązek płacenia świętopietrza na panujących. Tak r. 1062—1063 wzywa stolica apostolska króla duńskiego do płacenia trybutu. Grzegorz VII chciał nawet Francyę zmusić do świętopietrza. Grzegorz VII nadając właśnie współcześnie z naszą koronacyą r. 1076 koronę księciu kroackiemu Zwonimirowi, zobowiązuje go do płacenia trybutu na rzecz św. Piotra. Właśnie w liście z r. 1075 Grzegorza VII do Śmiałego przed samą jego koronacyą pi-

---

[1]) Skarżyli się na to nawet Sasi, sprzymierzeńcy papieża „fideles b. Petri“, W r. 1079, „apostolici legati... pecuniam quantam poterant more Romano conquirere... secum detulerunt“. Bruno. De bello Saxonico § 116.

sze o „oblacyi“ na rzecz św. Piotra. „In hac autem cognoscimus, quod eccelentia vestra *b. Petrum* apostolorum principem sinceris affectibus diligit et ad reverentiam eius ardenti spiritu dilatur, quoniam gratuita devotione vestris eum *oblationibus* honorantes, *debitorem* vobis fieri desiderastis“ (M. P. I. 367). Jak na dłoni, że Bolesław przesłał świętopietrze i chce nadal (*debitor*) przesyłać. Za co? Za koronę i metropolię, użyczone Polsce przez papieskich legatów, za których pobytu wszedł w życie pobór świętopietrza. Samo przez się nasuwa się przypuszczenie, że biskup krakowski oparł się poborowi téj daniny, tego, jak mówiono późniéj w Polsce [1]) — „Swentego Petra“. Wszak ten pobór, to dań dla papieża za wytworzenie metropolii w nienawistném Gnieźnie. Miałaż dyecezya krakowska płacić „Piotrowy denar“ za to jeszcze, że ją pozbawiano najwyższych zaszczytów na rzecz Gniezna? Płacić za stratę, za swą ruinę?

Jednym z najważniejszych powodów zatargu między Śmiałym a biskupem Stanisławem późniejsza legenda uważa spór o „sumę pieniężną“, otrzymaną za „Piotrowin“. Że ten zatarg był jednym z najważniejszych dowodzi rocznik kapitulny, który rozwodzi się obszernie nad tym sporem. Ale tradycya późniéjsza w czasie kanonizacyi świętego nie mogła znieść, aby święty był wrogiem „św. Piotra“ i papieża, aby zabraniał stolicy apostolskiéj danin w kraju. Przedzierzgnięto ten fakt w cud. Piotrowin—to wieś—oczywista „dziedzica“... Piotra, od którego kupił ją św. Stanisław... Czy to „pia fraus“ jednostek w czasie starania o kanonizacyę, czy zmiana samego społeczeństwa wyrażona w folklorystycznem przeistoczeniu faktów? Faktem jest, że wieś Piotrowin nie należała przed r. 1311 do katedry krakowskiéj [2]), że według wszelkich danych posiadłości indywidualnych rycerskich, które by kościół mógł kupić—wówczas w Polsce nie było, że już pominę całą nienaturalność zdarzenia (wskrzeszenie zmarłego i t. p.) Z pod muślinów téj tak pięknéj legendy przeziera nic innego tylko spór o denar Piotrowy, o pieniądz... [3])

Piękna to legenda. Jest ona obroną świętego przeciw zarzutom w czasie kanonizacyi, rzucanym na niego. Aby oczyścić mę-

---

[1]) Kod. W. IV № 2054,

[2]) Kod. Katedr. Krak. t. I № 117.

[3]) Pierwszy Czacki zaprzeczył wiarogodności tego cudu (Nota do Hist. Naruszewicza). Ślady pewnych roszczeń Rzymu do biskupstwa krakowskiego zostały w bałamutnéj wzmiance rocznika świętokrzyskiego. Po zabójstwie św. Stanisława — pisze rocznik—stolica apostolska uwolniła dopiero kraj od interdyktu (rzuconego na kler krakowski?) „conditione interiecta tamen, quod omnes collationes regis in dioecesi Cracoviensi vacarent curiae Romanae“ (M. P. III. 67.)

czennika od zarzutów, że on walczył przeciw tym relikwiom św. Piotra, które miały być podwaliną polskiéj metropolii i katedry gnieźnieńskiéj, pod wezwaniem św. Piotra wystawionéj, od téj winy, za którą król skazał św. Stanisława na męczeństwo, legenda każe się mu bronić. Wbrew oskarżeniom króla i „nibyto prawych następców" św. Piotra (tanquam legitimi successores Petri) papieża i arcybiskupów gnieźnieńskich—on idzie ku tym relikwiom, idzie do kościoła św. Piotra „ad ecclesiam Piotraviensem"—wskrzesza je, aby dały świadectwo co do owéj „sumy" pieniędzy. Wbrew oskarżeniom króla i rzekomych następców św. Piotra dowodzi św. Stanisław, że nie arcybiskupi gnieźnieńscy—(„fratres Petri vel amici propinquiores tanquam defuncti Petri legitimi successores"—to tanquam zupełnie zrozumiałe w ustach kleru krakowskiego—współzawodniczącego z wielkopolskim)—ale on otrzymał swego czasu całą metropolię polską („haereditatem") za Arona, biskupa krakowskiego... Rzecz znamienna, że czas, w którym toczy się ta sprawa, ten proces przed królem, i w czasie którego „rycerz" Piotr już zmarły leży w grobie, a jego spadkobiorcy się o wieś upominają—według legendy wynosi trzy lata — pokrywa się zatém najzupełniéj czasem, jaki podaje inna legenda Kuźmy czeskiego o trzyletniém więzieniu św. Stanisława, to jest od koronacyjno-metropolitalnego zjazdu do odkrycia jego zdrady z Czechami i śmierci.—Po tych trzech latach rozgniewany powracający z Kijowa Bolesław skończył ten spór, gniew ten był na rękę arcybiskupom gnieźnieńskim, to téż legenda wskazuje, że po wyczekiwaniu trzechletniém „quousque ira regis evcandesceret fervidius.. captato oportuno tempore"—rzekomi następcy św. Piotra zaatakowali św. Stanisława przed królem...

Ow sąd króla nad tą sprawą wpił się w wyobraźnię kleru krakowskiego, sąd ten nie był łagodny, niejedna głowa spadła. Lecz święty w niebieskim zaświecie dostał świadectwo od św. Piotra, że ten apostół swego czasu powierzył metropolię Krakowowi nie Gnieznu za taksę świętopietrza, którą dano za Kazimierza I i Arona...

Że cały cud wskrzeszenia „rycerza" Piotra jest tylko przenośnią symbolistyczną, wskazuje zdanie legendy „Qualiter autem villa praedicta (a metropola) a iurisdictione ecclesiae (Cracovienss) sit alienata, non est temporis instantis *parabola*". Słowo „parabola" przypomina parabole ewangeliczne—wskazując, że ten ewangeliczny „rycerz" Piotr miał o tyle chyba z mieczem do czynienia, o ile o tém mogło by coś powiedzieć ucho Malchusa... Słowem była to przenośnia, którą tak umieli władać ówcześni kaznodzieje—Dominikanie, parabola w danym wypadku nawet konieczna, bo tłumom nie można

było wyraźnie mówić o sporze św. Stanisława z „św. Piotrem", jeśli się chciało jego kult rozszerzać.

Że wreszcie w całéj téj przenośni chodzi o metropolię, wskazuje zaraz w téj legendzie następujące usprawiedliwienie: niech się nikt nie dziwi, że po trzech latach wskrzeszono Piotra „rycerza", bo „gesta sanctorum" przedstawiają podobny cud przez św. Piotra apostoła" dokonany. Św. Piotr naznaczył swego ucznia św. Materna biskupem na „metropolii" trewirskiéj i wysłał go tam z Rzymu wraz z Marcyalem współuczniem. Po 30 dniach podróży umarł św. Maternus. Pogrzebawszy go, wrócił Marcyali do Rzymu, donosząc św. Piotrowi o śmierci św. Materna. Ale św. Piotr dał Marcyalowi laskę, każąc mu wrócić, grób roztworzyć, dotknąć zwłoki laską i w imieniu św. Piotra wskrzesić. Tak się stało.

Na tém tle zrozumieć można, dlaczego to w żywocie (większym) św. Stanisława załączono — niby zupełnie bez związku—z życiem św. Stanisława—dokument papieski, ustanawiający w Krakowie za czasów Kazimierza I metropolię w Kijowie, z zaakcentowaniem jéj wszechpolskości „*omnes omnium* episcopatuum parrochias: quae in toto regnos unt Polonico, ut archiepiscopali more (Aron) *universis* praesideat". Mniejsza o to, czy ten dokument był prawdziwy, czy podrobiony, prawdopodobnie tradycya krakowska przechowywała dawniejsze dowody i tytuły dla usprawiedliwienia oporu św. Stanisława przeciw św. Piotrowi „gnieźnieńskiemu" [1]). Nie tylko „palliusz" św. Piotra, który swego czasu dostał biskup krakowski, Aron, ale inne jeszcze dowody mogły zupełnie samego biskupa Stanisława przekonywać, że św. Piotr „krakowski" jest wyższy i starszy od „gnieźnieńskiego"...

Wszak Tyniec, „podwalina" obrządku słowiańskiego w biskupstwie krakowskiém i jednoznaczny z biskupstwem krakowskiém, całą swą dumę i zwierzchnictwo nad klasztorami całéj Polski utwierdzał właśnie na swém wezwaniu św. Piotra. To tynieckie „archiabbatium" miało wezwanie „S. Petri et Pauli", wezwanie charakterystyczne dla najstarszych morawsko-słowiańskich kościołów (jak w Bernie, w Ołomuńcu), zakładanych przez ś. Metodego [2]). Więc to był tytuł starszy, w imię którego mógł walczyć św. Stanisław, bo jego kościół Metodowy, „słowiański", pierwéj dostał klucze „św. Pio-

---

[1]) Por. Gall ks. I § 11 „suo (za Chrobrego) tempore Polonia *duos metropoltanos* cum suis suffraganeis continebat".

[2]) Gromnicki. SS. Cyryl i Metody. Rozpr. Ak. hist. fil. XI. 176, 107, uw. uw.

tra" aniżeli „łaciński", gnieźnieński. Brzask chrześciaństwa tu pierwéj zawidnił, niż tam na północy... Zapasy dwóch arcybiskupstw odgrzebujących najdawniejsze swe tytuły prawne, rozciął sam król, więżąc, a następnie karząc rozćwiertowaniem tego, który był zarazem wrogiem jego papieskiéj korony [1]).

Lud do czasów Galla jeszcze przechował w pamięci jakieś niewyraźne wspomnienia sporu o św. Piotra. Zostało jedno, świadczące, że chodziło tu o pieniądze, o świętopietrze. Gall zachował nam obrazek, jak Bolesław Szczodry właśnie w tym Krakowie, w którym gnębił kler swojski—obładowywał pieniędzmi zagranicznego (extraneus-legatus) duchownego takiemi worami pieniędzy, że aż ten się uginał. Tło tego obrazka — gdzie w sąsiedniéj komorze służalcy książęcy biczują zwykle kogoś (verberare) — drżenie, z jakiém obcy duchowny zbliża się do króla (clericus tremefactus), wobec którego nie można nawet głośniéj westchnąć, — wszystko to odpowiada zupełnie czasom ucisku klasztoru swojskiego, w czasie owego 3-rocznego więzienia biskupa Stanisława. Szyderstwo z wzdychania tego zagranicznego księdza „łacińskiego" do skarbów królewskich — odpowiada usposobieniu kleru krakowskiego. Wincenty (Kadłubek), piszący w duchu krakowskiego duchowieństwa, każe temu obcemu księdzu paść i umrzéć pod ciężarem tych worów królewskich, piętnując jego zachłanność; tak samo gromi go autor żywotu św. Stanisława. Wyrażali oni opinię duchowieństwa krakowskiego, co nie mogło zapomniéć, że Bolesław był „Szczodrym" — posyłał „denary" ale do Rzymu...

Z dziejów tego sporu biskupa i króla dochodzi do nas jakaś zagadkowa wieść, przechowana w późniejszych kronikach, że katastrofa obracała się około kwestyi żon, że Bolesław Śmiały nie pozwalał mężom obcować z żonami.

Co do téj kwestyi odsyłam czytelników do przytoczonéj rozprawki Gumplowicza. Według niego był to opór kleru krakowskiego przeciw celibatowi; zupełnie trafne przypuszczenie. W czasie pobytu legatów papieskich w Polsce usiłowano zapewne zaprowadzić celibat, na największy opór natrafiono zapewne u słowiańskie-

---

[1]) Że w danym wypadku chodziło też o koronę, zaznacza sam autor większego żywota św. Stanisława, gdy zaraz po śmierci Bolesława Śmiałego dodaje, że przez to zabójstwo św. Stanisława Polska straciła koronę „corona Poloniae tandem prorsus cecidit".—Katedra krakowska w przeciwieństwie do gnieźnieńskiej ś. Piotra była pod wezwaniem św. Salvatora (św. Spasa). Zwracam tedy uwagę na słowa Wincentego Kadłubka o cudach nad ciałem św. Stanisława jako o „*salvatoris* magnalia".

go kleru krakowskiego. Bolesław Śmiały wobec buntu słowiańskiego duchowieństwa w Kijowie, w Krakowie popadał w przeciwieństwo i w imię sojuszu swego z kościołem łacińskim, w imię haseł Grzegorza VII wzywających do celibatu, które tyle wrzawy i oporu wywołały u niemieckiego żonatego kleru, wystąpił jak najbezwzględniéj przeciw żeniaczce duchowieństwa, jako najważniejszemu znamieniu słowiańskiego kościoła. Podanie mówi, że przykładać kazał szczenięta do piersi tych żon, „księżych".

Lecz Bolesław Śmiały zbyt szybko chciał pchać społeczeństwo za zachodem. Małżeństwo u kleru polskiego było wówczas tak pospolite, tak uznane (por. Abraham str. 240—1), że to niezawodnie przyspieszyło upadek i wygnanie Bolesława.

Że jednak przedewszystkiém słowiańskie biskupstwo krakowskie trzymało się uparcie żeniaczki i głównie występowało przeciw celibatowi, o tém świadczy w 25 lat potém przeprowadzona reorganizacya kościoła polskiego przez legata Gualo (1105), przy pomocy Bolesława Krzywoustego [1]). Legat ten zmuszony jest wyrzucić z biskupstwa krakowskiego — dotychczasowego biskupa Czesława. Aby całe położenie zrozumiéć, trzeba przedstawić przed oczy dwa fakty: pierwsze, że w miejsce Czesława ustanowiony, nowy biskup „łaciński", Balduinus, zostaje „*Denarii St. Petri in regno Poloniae camerae Apostolicae collector*" [2]), po drugie, zauważyć, że ten zdegradowany biskup Czesław snadź należał do téj saméj kategoryi biskupów, co jego poprzednik na stolicy krakowskiéj, biskup Stanisław, kiedy pisarz kodeksu heidelberskiego kroniki Galla, który wyrzucił z niéj ustępy o zdradzie biskupa Stanisława—równocześnie wymiótł i ustępy o degradacyi biskupa Czesława [3]).

To nam téż tłómaczy, dlaczego współczesny téj reorganizacyi Gall, który wyraźnie w swéj kronice potępia małżeństwo duchownych [4]), tak niechętnie wyraża się o biskupie Stanisławie, podczas gdy jeszcze za czasów Wincentego (Kadłubka) nazywano Śmiałego „non sacrilegus, sed sacerrimus sacrilegorum ultor" [5]).

---

[1]) Reorganizacya polegała między innemi na oddzieleniu od biskupstwa krakowskiego — słowiańskich Benedyktynów tynieckich (Kod. tyniec.). Przez co uniemożliwiono wpływ tychże na wybór biskupa, dokonywany dotąd przez cały kler.

[2]) Dług. Op. I. 390.

[3]) „Gall — Anonim" Kętrzyński. 1898, str. 34 (73).

[4]) M. P. I. str. 449.

[5]) Zwracam uwagę na Kadłubkowe przezwisko św. Stanisława „scortator", matkę Zbigniewa też zwie „scortus".

Duchowieństwo po reorganizacyi r. 1105 wraz z Gallem wcale nie sympatyzuje z postacią biskupa Stanisława. Nawet krakowskie duchowieństwo nie różni się pod tym względem od innych [1]).

Tak zrozumiane stanowisko św. Stanisława, tendencyom Rzymu niemiłe, dopiero tłómaczy tę zakamieniałość kuryi papieskiéj na starania o kanonizacyę biskupa Stanisława. Grzegorz VII milczeniem pokrywa zabójstwo biskupa krakowskiego, nie obstaje za nim, w jego listach ani jednéj wzmianki o tém, najmniejszéj nagany dla Śmiałego. Kronikarz papieży, Marcin Polak, nader węzłowato wyraża się o całém zdarzeniu, kardynałowie zawzięcie opierają się téj kanonizacyi, szczególniéj kardynał Raynald (późniejszy papież Aleksander IV) do tego stopnia, że Innocenty IV wymagał jeszcze cudów nowych.

Tak zrozumiane stanowisko św. Stanisława tłómaczy nam dopiero, dlaczego następnie zwycięskie na całéj linii łacińskie duchowieństwo wycięło odpowiednie, kompromitujące miejsca w kronice Kuźmy [2]), przeistaczało odpowiednie miejsca w kronice Galla, dlaczego następnie brakuje listów Grzegorza VII, odnoszących się do Polski [3]).

Tak zrozumiane stanowisko św. Stanisława tłómaczy nam, dlaczego dopiero po latach 170, po tylu staraniach zgodziła się stolica Piotrowa nareszcie na kanonizacyę—podczas, gdy takiego Tomasza Becketa, zamordowanego w Anglii kanonizowano natychmiast...

Był współcześnie inny człowiek — równie kanonizowany, z którym biskup krakowski zapewne nieraz się stykał—zajmujący jednak stanowisko biegunowo przeciwne — do Stanisławowego, św. Władysław, król węgierski, najwierniejszy wychowanek i faworyt Bolesława Śmiałego, spolszczały na jego dworze, osadzony przezeń na tronie węgierskim, najgościnniéj przyjmujący wypędzonego z Polski króla polskiego, właśnie, po zabójstwie Stanisława, popier jący po śmierci Szczodrego całą siłą jego syna Mieszka, zdobywający dla niego ten sam Kraków — z ręki Czechów, sprzymierzeńców biskupa Stanisława...

[1]) Między biskupami, którym poświęca Gall kronikę, znajduje się i Maur, biskup krakowski. Rocznik kapitulny krakowski, który właśnie wspomina o degradacyi biskupa Czesława przez legata, ani jednem słówkiem nie wspomina ni o istnieniu, ni o zabójstwie Stanisława.

[2]) Por. Gumplowicz, l. c. 521.

[3]) Por. Skorski, Gallus i Kadłubek o św. Stanisławie. Tygodnik Wielkopolski r. 1873.

Brak miejsca nie pozwala nam szerzéj objaśniać dalszych losów Bolesława Śmiałego, nie pozwala nam charakteryzować wybuchu niezadowolenia ludowego, jakie zatliło po téj katastrofie biskupa Stanisława. Zaznaczę tylko, że wzburzenie „smardów" [1]) przeciw arystokracyi „słowiańskiéj" w Polsce miało miejsce, jak to przeczuł genialny Lelewel w swéj rozprawie „Bolesława Śmiałego upadek", wskazując na przedział między dwoma warstwami — robiąc chyba tylko pomyłkę w nazwach tych klas („kmiecie"). U Galla wybitnie wyłania się cała miłość ludu do Bolesława, a szczególnie do przedwcześnie zgasłego syna jego, Mieszka. Lud łączył się z Bolesławami przeciw arystokracyi, która, jak to wykazał Gumplowicz, związała ściśle swe interesy z obrządkiem słowiańskim [2]).

Muszę jednak przytoczyć kilka następujących faktów, z których retrospektywnie osądzić będzie można, czy nasze poprzednie założenia mają podstawę i w przyszłości. Chcę mówić o „księciu—księdzu", jego synie „księżycu" i „opacie—wojewodzie".

Mścicielami biskupa Stanisława, przeciwnikami Śmiałego okazują się po katastrofie wojewoda Sieciech i brat Bolesława Śmiałego, Władysław Hermann. Jak niżéj wykażę, byli to typowi przedstawiciele tych dążności słowiańskich, jakie znamionowały biskupa krakowskiego.

Zdaniem mojém, Władysław Hermann, jak niejeden z młodszych synów w rodzie Piastów, oddany był do stanu duchownego, podobnie jak współcześnie w Czechach brat księcia, Jaromir. Stan duchowny nie przeszkadzał zresztą zostać danemu księciu potém jedynym władcą państwa. Owszém rozpowszechniony w Polsce obrządek słowiański zupełnie godził się na to, aby „książe" (ksiądz) był „księdzem". Obrządek słowiański cierpiał na urzędach pomniejszych tego rodzaju „incompatibilia", jak to zobaczymy na „opacie-wojewodzie", Sieciechu. Zresztą potwierdza to przypuszczenie najdosłowniéj „Rocznik Krasińskich", który pod r. 1040 donosi „Vladislaus, filius regis Tynciencis in episcopum suscipitur". Co więcéj, częste późniejsze pomięszania imion między Władysławem a Kazimierzem

---

[1]) Peisker contra Lippert. Charakterystykę i wyjaśnienie uwarstwowienia ówczesnego w Polsce na podstawach ekonomicznych znajdzie szerzéj czytelnik w gotowym już do druku pierwszym tomie „Życia narodu polskiego" przez W. Sobieskiego i S. Zakrzewskiego.

[2]) Gumplowicz. Zur Geschichte Polens 189—190. Zwracam uwagę na imiona „Klemens", powtarzające się śród arystokracyi ówczesnéj krakowskiéj, świadczące o reminiscencyach Metodowych.

wskazują, że późniéj niejedno zdarzenie, którego bohaterem był „syn-mnich" (Hermann), przeniesiono na „ojca-mnicha" (restauratora) i ich razem pomieszano.

Wbrew — zresztą tak ponętnym — przypuszczeniom Wojciechowskiego, przedstawionym w jego pracy „O Kazimierzu Mnichu", zaznaczam wprost, że wszystko, co pisano do tego czasu o Kazimierzu—jako „mnichu"—jest bajką. Najmniejszéj o tém niema współczesnéj wzmianki. Całe podanie o jego mnichostwie odnosi się zdaniem mojém do Władysława Hermanna. Późniéj dopiero w XIII wieku [1]) przeniesiono to z syna na ojca. Faktem jest, jak sam Wojciechowski przyznaje (lc. str. 4), że jedyna wzmianka Benedyktyńska zagraniczna o tym wypadku we „Visitatio in Alemania de tempore domini Roberti abbatis" z r. 1418 na podstawie relacyi polskiego Benedyktyna z Tyńca nazywa tego księcia-mnicha nie Kazimierzem, ale wyraźnie synem Kazimierza [2]). Wyrażenia „żywotu św. Stanisława", odpisane z staréj kroniki, donoszące, że on „książe-mnich" „in jure quoque divino comprobatur studuisse, quia vir litteratus et in rebus divinis illuminatus perhibetur fuisse", najlepiéj mogą odnosić się do Władysława Hermanna, który, jak to czytaliśmy w „Roczniku Krasińskich", oddany został na biskupa, a nie do Kazimierza I, o którego rycerskich słychać zawodach. „Iste Stanislaus—uwaga żywociarza św. Stanisława — praedicti Kasimiri fuit *contemporaneus*, ille in Alemannia, iste in Polonia litterarum apicem apprehendisse dinoscitur" najdokładniéj odnosi się do Władysława Hermanna, który był istotnie biskupa Stanisława „contemporaneus" Tak samo wszystko, co dotąd pisano o starszym bracie Kazimierza Mnicha, Bolesławie, jest bajką, polega na mylnéj przestawce, a odnosi się do Bolesława Śmiałego, brata starszego Władysława-Zakonnika. Ta postać Bolesława, która nigdy nie istniała, powstała dopiero pod piórem autora kroniki wielkopolskiéj. Najlepszém świadectwem, że postać w kronice wielkopolskiéj odnosi się do naszego Bolesława Śmiałego, są wyrazy téjże kroniki „Boleslaus autem propter saevitiam et immunitatem scelerum, quam exercebat, diademate regio insignitus vitam male terminavit, nec in numero regum et principum Poloniae, propter suam nequitiam, reperitur". Istotnie

---

[1]) Znaleziono to opowiadanie w czasie kanonizacyi św. Stanisława w starej jakiejś kronice „Chronica"—zapewnie „tynieckiej", którą zniszczono dla ustępów o ś. Stanisławie.

[2]) Daje imię mu „Boleslaus". Jak często „Vladislaus" wówczas mieszano z imieniem „Boleslaus", patrz Mon. Pol. III. str. 63 uw. 1, por. też 62, uw. 1.

autor długo się musiał namozolić nad szukaniem tego nieistniejącego króla w szeregu władców polskich. W ten to sposób jeden „Król-Duch", całkiem bezcielesny, panował przez długie wieki i nawet dziś jeszcze nie zrzekł się obywatelstwa, kiedy dostał się na karty zresztą tak cennéj „Genealogii Piastów" Balcera, zyskując jeszcze nawet w dodatku daty śmierci i urodzenia...

Czy Władysław Zakonnik mógł być, jak legenda mówi, w Kolonii. Stosunki mógł mieć przez babkę, Ryksę, i ojca, Kazimierza. Arcybiskupem bowiem w Kolonii i metropolitą był w tych latach (1036—1056) nie kto inny, tylko brat Ryksy, matki Kazimierza I, a babki Władysława Zakonnika, biskup Hermann. Temu to Hermannowi, arcybiskupowi kolońskiemu zawdzięczał kościół polski, a specyalnie katedra krakowska właśnie swą niezawisłość metropolitalną. Albowiem Kazimierz I, korzystając z tak dostojnego krewniaka, wysłał opata tynieckiego, Arona, po sakrę na metropolitę krakowskiego, aby wyzwolić w ten sposób ubocznie kościół polski z pod wpływu Magdeburga [1]).

W téż tropy nasuwa się myśl, że imię tego Hermanna, któremu Polska zawdzięczała swą samoistność kościelną, nadane zostało synowi przez Kazimierza I, jako drugie obok dawnego Władysława; to drugie imię Hermann mógł dostać Władysław Zakonnik wtedy, kiedy został duchownym — może nawet z zamiarami dalszemi naczelnego stanowiska nad tym kościołem polskim. Imię to tak powszechne w okręgu kolońskim mógł dostać Władysław Zakonnik właśnie w czasie studyów w Kolonii lub co prędzéj w sąsiedniém Leodyum, odbywanych pod opieką owego Hermanna, arcybiskupa kolońskiego, i babki Ryksy.

Bardzo możliwe, że Władysław Hermann studyował tam, gdzie się kształcił i Kuźma, historyk czeski, jest to w Leodyum. Tamtejszy bowiem nauczyciel kleryków, Franko (wspomniany około r. 1047), któremu Kuźma, jako swemu profesorowi, późniéj także wdzięczne w swéj kronice skréślił wspomnienie, może jest tym samym Frankiem, o którym wspomina potém Gall, jako o nadwornym biskupie Władysława Hermanna. Przypuszczenie, że Władysław Zakonnik zabrał do Polski swego nauczyciela, zupełnie odpowiada późniejszemu po-

---

[1]) Sądzę, że odtąd biskupi krakowscy podlegali może metropolii kolońskiéj. Imię Lambert tak często używane u biskupów krakowskich—jest imieniem patrona leodyjskiego klasztoru, należącego do Kolonii, a kształcącego kleryków. Porównaj dwukrotne poselstwo następcy biskupa Stanisława, Lamberta, do kolońskiego biskupa (M. P. I. 372, list tegoż).

daniu, że ów „książe-mnich" — przywołał „fratres ex conventu de Leodio" [1]). Ten Franko—według Galla, poradził Władysławowi Zakonnikowi wysłać owo słynne poselstwo do św. Idziego w S. Gill de Boucherie, poselstwo, które mogło być identyczne z współczesném poselstwem, wysłaném właśnie z leodyjskiego okręgu (z klasztoru św. Huberta), przejętego wówczas taką czcią ku św. Idziemu [2]). Rzecz téż zupełnie zrozumiała, że Kuźma, uczeń Franka, pamiętał i zapisał w swéj kronice o téj poradzie Franka i poselstwie Władysława Zakonnika do prowansalskiego klasztoru.

Tak samo cała legenda o pobycie w Kluniaku daleko lepiéj wiąże się z postacią Władysława Zakonnika, jak Kazimierza I; tak samo obowiązek, nałożony za dyspensę od ślubów celibatu, wystawienia klasztoru przypada — jak sam Wojciechowski przyznaje—lepiéj na Władysława Hermanna, fundatora Tyńca, jak na Kazimierza I, tak samo obowiązek płacenia za tę dyspensę corocznego „świętopietrza" i t. p.

Tak samo kiedy zwolennicy obrządku słowiańskiego zwalili Bolesława Śmiałego, to nie Kazimierza, ale Władysława witano „słowiańską" pieśnią, zapisaną jeszcze u Bielskiego, z zamienném słowem „hospodyn".

„A witajże, witaj, miły hospodynie..."

Bo téż Władysław Zakonnik całém swém dotychczasowém stanowiskiem musiał skarbić sobie sympatye i ożywiać nadzieje stronnictwa „słowiańskiego"—on wychowanek Leodyum i Kolonii, z któremi krakowski kler tyle miał stosunków.

Jak każdy wówczas ksiądz, czy w Polsce czy w Niemczech, miał Władysław Zakonnik żonę. Dopiero za Bolesława Śmiałego zaczął się budzić ruch przeciw takim żonom „księżym", za celibatem. Gregoryański ruch nie godził się na małżeństwa księży — to téż w oczach jego stronników żona Władysława Zakonnika była „concubiną". Zbigniew (ur. r. 1073—4) był synem téj „księżéj" żony Hermanna. Stąd téż gregoryańsko usposobiony Gall zwie matkę Zbigniewa „concubiną", a jego nielegalnym synem. Druga żona Władysława Zakonnika, królewna czeska, taką samą byłaby w pojęciu gregoryańskiém „concubiną", gdyby nie uzyskano z Rzymu dyspensy

---

[1]) Kron. polska. M. P. III. 621.

[2]) Przypuszczenie o współczesności i związku tych dwóch poselstw wyraził już Gumplowicz, lc. 128.

od ślubów celibatu [1]). Zbigniew był „księżycem", gdy syn z drugiéj, Bolesław Krzywousty, to wybłagany od stolicy papieskiéj i Boga syn. To wyjaśnia, dlaczego Gall porównywa Władysława Zakonnika z arcykapłanem Zacharyaszem, co wybłagał sobie syna, Jana Chrzciciela.

Na zbliżenie do Rzymu i prośbę o dyspensę wskazuje fakt, że za radą właśnie owego Franka postanowiono zbliżyć się do gregoryańsko-kluniackiego klasztoru w S. Gill de Boucherie z prośbą o błogosławieństwo dla stadła (w r. 1085), o czém z taką lubością rozwodzi się „łaciński" biograf Krzywoustego. Za dyspensę Rzym niezawodnie zyskał na nowo teraz od samego Władysława Zakonnika zobowiązanie się do płacenia świętopietrza, co przeniesiono późniéj na Kazimierza I.

Wskutek téj dyspensy czuć zwrot w Polsce ku Rzymowi na wszystkich liniach. Zwrot ten stał się całkiem widoczny na dworze Władysława Zakonnika około r. 1086. Na tę reakcyę ku stolicy Piotrowéj wskazuje tegoż roku powrót Mieszka, syna Śmiałego, wraz z pomocą „łacińskiego" Władysława węgierskiego i równoczesne zdobycie na Czechach Krakowa—zapewne w porozumieniu z Władysławem Zakonnikiem. O tém samém świadczy przyjęcie w tym samym roku przez księcia czeskiego wrogiego dla Polski tytułu króla polskiego i wydanie owego dokumentu podrobionego, przyłączającego dyecezyę krakowską do Czech—a wszystko to za zgodą *anty papy* Klemensa [2]).

Zwrot ten Władysława Zakonnika ku gregoryańskiemu kierunkowi zaniepokoił słowiański kler krakowski. W chwili, gdy potomek Bolesława Śmiałego, młody Mieszko, pojmował w małżeństwo

---

[1]) Naturalnie, że kler łaciński odtąd synów tylko téj ostatniej uważał za prawych potomków Krzywoustego. Dobitnie podkreśla Gall, że ona w przeciwieństwie do poprzedniej „concubiny" jest legitima coniux, stąd tego „księciamnicha" porównywa Gall do patryarchy Abrahama, co miał legalnego i nielegalnego syna. Gall używa dlatego tak delikatnych tylko porównań, bo sam jest przeciwnikiem żeniaczki, jako Gregoryanin, a przytém jednak panegirystą Krzywoustego. W takim razie—rzucałoby na tego księcia „łacińskiego" plamę uznanie go za syna księdza, kompromitowałoby jego działalność, prowadzoną w duchu goegoryańskich zasad. Nie godzę się zupełnie na wywody Gumplowicza, że jądro sprawy leży w tém, że pierwsza concubina była poganką. Dowody są błahe. Sam autor uznaje, że do r. 1197 zawierano śluby w Polsce po za kościołem.

[2]) Lewicki. Wratysław II czeski królem polskim. 1876.

księżniczkę ruską, i zdawało się, że czasy „łacinnika” Śmiałego wracają—w tym samym roku kler krakowski urządza kontrdemonstracyę „słowiańską”. Śród największéj uroczystości (cum debita reverentia) przenoszą ciało biskupa Stanisława ze Skałki na katedrę krakowską. Zatarg się zaostrzał. Następnego roku „Piotrowy” Mieszko, syn Śmiałego, młodzieniec pełen nadziei, ginie otruty...

Ta trucizna wskazuje, jak gwałtowna zawiść i stronniczość dzieliła wtedy nasze społeczeństwo na dwa obozy; cała namiętność walki bezwzględnéj wieje z późniéj jeszcze powtarzanych najgrubszych przezwisk i oszczerstw, jakie miotano tak na Bolesława Śmiałego, jak i na biskupa Stanisława [1]).

Kto otruł Piastowica? Nie wiadomo.

Wszakże była jedna potężna osobistość w Polsce, na którą padały nawet podejrzenia, że zamierza wytracić wszystkich Piastów. To Sieciech, nieugięta głowa czysto „słowiańskich” dążeń w odróżnieniu od Władysława Zakonnika, który się chwiał i przystosowywał. Ród Sieciecha jest tak ściśle związany z obrządkiem słowiańskim, jak ród Wrzchowców w Czechach, przedewszystkiém zaś jest przywiązany do klasztoru tynieckiego, tego znicza obrządku słowiańskiego w ziemi krakowskiéj. Dowodem tych ścisłych związków Tyńca z rodem Sieciecha, rodem Starżów, jest jak wiadomo ów okrzyk „Starża! Starża”, jaki ludność tyniecka na gwałt wydawała w następnych jeszcze stuleciach [2]). Ród Sieciecha uważa za swą własność, za swą fundacyę klasztor tyniecki. Sieciech jest jego opatem.

Już Gumplowicz rzucił kilka myśli co do Sieciecha, jako zwolennika i propagatora słowiańskiego obrządku [3]), wskazując, że on buduje klasztory Benedyktynów s ł o w i a ń s k i c h w różnych punktach Polski. Do tych uwag z méj strony dodaję przypuszczenie, że sam Sieciech był wprost opatem tego słowiańskiego klasztoru tynieckiego, rządząc wszystkiemi klasztorami Benedyktyńskiemi w Polsce, w czem mu jego wojewodziński urząd zupełnie nie przeszkadzał. Oto w katalogu opatów tynieckich [4]) wymieniono ich szereg: Aron, Anchoras, Berninius „Scescus”. To ostatnie imię nie oznacza nic innego, tylko „Sieciech”. Daty rządów tego opata r. 1083 — 1095 odpowiadają czasowi rządów Sieciechowskich w Polsce. W zupeł-

---

[1]) Por. „Vita s. Stanislai“ i przezwiska biskupa Stanisława przytaczane przez Wincentego (Kadłubka).

[2]) Smolka. „Gniazdo Tęczyńskich“.

[3]) *Zur Gesch. Polens.* 24—25.

[4]) Szczygielskiego. M. P. t. V. str. 603.

nym związku z tém stoi owa gorąca po nad wszystkich pamięć, jaką zachował kalendarz katedry krakowskiéj [1]) identyfikującéj się początkowo z klasztorem Benedyktynów tynieckich. Kalendarz każe nad wszystkich o nim pamiętać klerowi, bo nad każdym miesiącem zapisano cząstkę owego wiersza zagadkowego na cześć opata-wojewody Sieciecha „Dominus Yathen sive Sechen divina gerens bonus extat gratuito celi, Fert aurea dona fideli.” [2]) Najlepszym dowodem, że to jest zapiska pochodząca z czasów obrządku słowiańskiego—są zabłąkane snadź, a przepisane z dawnego kalendarza, dziś niezrozumiałe nagłówki miesięcy, jak nazwa stycznia „prosinech”, co w języku starosławiańskim oznacza nazwę miesiąca stycznia.

Data katalogowa wstąpienia Sieciecha na opactwo zupełnie zrozumiała (r. 1083). W r. 1083, przy pomocy Wratysława czeskiego, odbudowano i wzmocniono obrządek słowiański — w tym roku Wratysław żeni Władysława Zakonnika z swą córką, królewną Judytą [3]). Nic więc dziwnego, że ognisko słowiańskiego obrządku, Tyniec odżył na nowo. Właśnie ta czeska królewna odegrała pierwszorzędną rolę w uposażeniu dobrami klasztoru Tynieckiego, oddając mu sioła zgniecionych „smardów”. Dano podwaliny klasztorowi, którego opat mógł się zwać *„abbas centum villarum”*. Naczelnikiem tego klasztoru i całéj słowiańskiéj organizacyi zakonnéj został Sieciech. Ten wielki pan *„magnus”*, *„dominus”*, opat-wojewoda — kierował całą słowiańską nawą w Polsce, trząsł jak Richelieu całą Polską— nabierając takiéj sławy i znaczenia, że jego osoba niezawodnie posłużyła za aktora do późniejszéj legendy o Tynieckim Walterze Wdałym i Helgundzie, co zgniótł Wisława... Ten Sieciech był tym mścicielem biskupa słowiańskiego Stanisława, pogromcą Śmiałego— ztąd łatwo zrozumiéć owo gorące wspomnienie, jakie Sieciechowi zachowało duchowieństwo krakowskie, czczące pamięć tego biskupa.

Obalił Sieciecha—rzecz znamienna—znowu nie kto inny—tylko arcybiskup gnieźnieński, wróg krakowskich dążności. W r. 1097 odbudowano na nowo spaloną katedrę w Gnieźnie, a Marcin, arcybiskup gnieźnieński, przy spotkaniu się wojsk Zbigniewa i Krzywoustego z wojskiem Władysława Zakonnika, przeprowadza układ pod Żarnowcem i pod Płockiem, mocą którego Sieciech zostaje wy-

---

[1]) M. P. II. 905.

[2]) Balzer. Genealogia.

[3]) Patrz Dodatek na końcu.

dalony r. 1098. Data ta jest datą ruiny obrządku słowiańskiego w Polsce. W miejsce słowiańskiego Sieciecha ustanowiono opata o niemieckiém imieniu Gilberta. Upadek Sieciecha i jego rodu słowiańskiego dokonywa się równocześnie prawie z wypędzeniem r. 1096 z Czech rodu Wrzchowców, słynnego w Czechach, jako podwaliny obrządku słowiańskiego. Wraz z upadkiem charakteru słowiańskiego w Tyńcu — w Czechach równocześnie z upadkiem Wrzchowców, wypędza książe czeski Brzetysław II słowiańskich mnichów z ich gniazda, z klasztoru w Sazawie. Oba zjawiska są recyprokalne.

W Polsce olbrzymiał młody Bolesław Krzywousty, który bezwzględnością, wyłupując oczy swemu bratu „księżycowi" Zbigniewowi, zdusił obrządek słowiański i zapewnił tryumf marzeniom swego stryja, „Śmiałego" imiennika. Tylko korona nie dosięgła jego skroni...

Tych kilka przedstawionych „wynalazków" historycznych— pochlebiam sobie—zmieni pod niejednym względem pogląd na czasy Piastowskie. Różnica charakteru, dzieląca dwie stolice arcybiskupie, tłómaczyć nam nawet może w następstwie, dla czego ów „Piotrowy" bojownik, Henryk Ketlicz, nie powstał w Krakowie, który był przecież środkowém ogniskiem całego ruchu możnowładczego, ale właśnie w „Piotrowém" Gnieźnie... Pominę inne wnioski, ale chciałbym zwrócić uwagę jeszcze na jedno [1]). Oto w dokonywującym się następnie w Polsce przełomie na niekorzyść obrządku słowiańskiego widzę powód łatwego odpadnięcia „Lachów" (tak ich nazywa Nestor) Ruś Czerwoną zamieszkujących i połączenia się ich z Rusią kijowską; widzę wytłómaczenie, dlaczego właśnie od czasów Śmiałego ten kraj odpada, dlaczego w tym kraju sympatyę ludności zyskują słowiańscy kniaziowie kijowscy, którzy nawet marzą o zdobyciu Wiślicy, nawet całéj ziemi lackiéj. Na téj podstawie możemy dopiéro zrozumiéć i odczuć całą głębię, całą wagę katastrofy, jaka się dokonała w czasie zatargu Stanisławo-Bolesławowego.

A teraz sąd. Trudno wydać wyrok, gdzie wina. Kto z tych tytanów Wschodu i Zachodu, Słowiaństwa i Rzymu — lepiéj tryumf w przyszłości przewidział?

Biskup Stanisław działał tak, jak interes jego biskupstwa wymagał. Odrębności narodowe wówczas nie były tak wyrobione, aby

---

[1]) Porównaj Gumplowicz: *Zur Geschichte Polens* 189—190.

na rozgraniczu między społeczeństwami słowiańskiemi nie powstały dążności niepewne, nie wiedzące dokąd się zwrócić, np. na Morawach, w ziemi krakowskiéj. Ustawicznie z tych „ukrain" uchodzą do rywala swego pana, czy Piasta, czy Przemyślidy, niezadowoleni „zdrajcy". Wszak właśnie współcześnie w Polsce pomaga Bolesławowi Śmiałemu w walce z Czechami i w zabiciu biskupa Stanisława nikt inny, tylko Msta rycerz czeski, który zdradził księcia czeskiego i umknął do Bolesława [1]).

Zresztą biskup Stanisław przedstawia typ warstwy nowéj, świeżéj, wybijającéj się, pierwszéj, co się wyróżniczkowała z ogólnéj masy społeczeństwa, — arystokracyi. Pierwszy pada na wyłomie, za nim już idzie cały szereg możnowładców, Sieciechów, Magnusów, Piotrów, Włastów... Wdzierają się już zwycięzko przez wyłom zrobiony przez swego pierwszego bohatéra, którego czcili wraz z całą następną polską arystokracyą za hart ducha i odwagę, z jaką wystąpił przeciw strasznemu, polskiemu samowładcy, opartemu o lud. Warstwa nowa przy pierwszym kroku popełnia „zdradę", łączy się z zagranicą przeciw swemu królowi—rzecz zwykła u każdéj młodéj warstwy, która w swym kraju jeszcze praw sobie nie zdobyła i w tym celu szuka za granicą pomocy...

Ale jeśli—powiedzmy parafrazując Galla — uniewinniamy Stanisława — oddajmy co należy tak potężnéj postaci, jakim był Bolesław Śmiały.

Wszak on pada w chwili, gdy buduje Królestwo Polskie, kiedy buduje niezawisłość kościoła polskiego od zagranicy, on właściwy i ostateczny „restaurator"! Wszak on wznosi na nowo cały gmach Chrobrego! On na nowo zyskuje koronę i... za to doczekał się tego, że właśnie ten, który mu w tém przeszkadzał, został patronem korony polskiej, podczas gdy na niego samego od tego społeczeństwa, dla którego wystarał się o królewskie stanowisko, od tego kościoła polskiego, dla którego wystarał się o niezawisłość metropolitalną— spadło tyle obelg, tyle przezwisk, posądzeń o takie wstrętne grzechy, że chyba jaka bestya apokaliptyczna by mu dorównała — i to wszystko przez tyle wieków! Historya „trybunał sprawiedliwości" przez tyle wieków tyle mu krzywd zadawała, póki nie dał się słyszeć potężny głos Lelewela, dowodzący, że „wiadomości zażartą namiętnością napojone, trwożliwe lub rozmyślne przemilczania, tajemnicą powlekane opowiadania, teksta źródeł podejrzane lub narusza-

[1]) l. c. 167.

ne sprawiły, że nic nędzniéj i opaczniéj w nowszych pisarzach dziejów nie było wystawione, jak panowanie Bolesława Śmiałego".

„Śmiały" król zginął na wygnaniu,—to prawda, złamał się, ale społeczeństwo nasze poszło za zachodem „łacińskim", „prymas" gnieźnieński stanął na czele kościoła: drogowskaz, postawiony przez tego króla—przeżył twórcę, całe wieki budowały według jego myśli. Polska została „zachodnią" i po wiekach miała w swych granicach i Kijów. Po upadku Bolesława, żaden książe nie zamarzył o koronie aż do czasów Łokietka, ale jego tradycya królewska tlała nawet w podaniu późniejszych czcicieli Stanisława o wyczekujących na kogoś na zamku krakowskim insigniach koronnych.

Słychać głos: Nie powinno się zdzierać zasłony z ludzi świętych, których przez tyle wieków czciły pokolenia. Może to wszystko prawda, ale lepiéj o tém milczéć „*pro publico bono*".—Zachodzi tu ta sama kwestya, o jaką dziś dudni i walczy Paryż. Czy naga prawda, czy racya stanu. Ha! Rzućmy nawet w kąt „naukę dla nauki", ale zwróćmy przynajmniéj uwagę, że w naszym wypadku nie chodzi tu o człowieka obcéj „rasy"—lecz o zniesławionego króla naszego, polskiego, co wprawdzie nie żyje na „Czarciéj" wyspie, dawno zmarł, czy téż śpi w Tatrach, — ale za to był to król wielki, który pchał naród ku zachodowi, król „śmiały", który robił dla niego wielkie wysiłki, król „dumny", który kazał narodowi sięgać myślą daleko i wysoko, król godny narodu, którego do dziś Niemcy zwą „*das stolze Volk*".

Prawda, że narody muszą miéć swych promiennych bohatérów, że nawet, gdy ich brak, to ich sobie muszą wymysléć, przypisać im zalety takie, jakich nigdy nie mieli, prawda, że — jak mówi Słowacki:

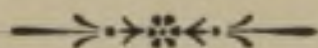
jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
świetniejsze serca wylatują przodem:
umrą—ich duchy lecą przed narodem,
ich wrzask, ich imię, ich lament—to hasła...

ale prawda téż, że przodownicy tego klucza żórawi zmieniają się, że zmęczeni ustępują nowym i tak po kolei. Nowe bogi wstępują w miejsce starych, dziś innym stawiają pomniki. Inny dziś świat, tak różny, taką przepaścią oddzielony od tamtych czasów, że przedstawione w téj rozprawce trzy postacie biskupa—wroga Rzymu i celibatu, księdza-księcia w czarnym habicie benedyktyńskim i opata wojewody trującego królewicza zdają się nam być jakiemiś nie-

pojętemi paradoksami, jakiemiś cudotworami z tysiąca i jednéj nocy.

Pisałem w marcu.

Wacław Sobieski.



Dodatek od redakcyi do strony 75.

Ogłaszając w „Ateneum” rozprawę pana Sobieskiego, nie dodawaliśmy z naszéj strony żadnych zastrzeżeń, przy najbardziéj nawet hypotetycznych pomysłach autora. Co do imienia Sieciecha, znajdującego się jakoby w „Kalendarzu” katedry krakowskiéj, zrobić musimy wyjątek, dodając sprostowanie faktyczne. Wyraz „Sechen” nie oznacza Sieciecha, lecz jest nazwą miesiąca, w danym razie— lutego. „Zagadkowemu” wierszowi obcą była myśl uczczenia „opata-wojewody” i brzmi on cokolwiek inaczéj:

Altitonans. Dominus. diuina. gerens. bonus. extat. gratuito. celi. Fert. aurea. dona. fideli.
Prosinech. Yachen Unnor.
sive
Sechen.

Wyrazy pierwszego wiersza — to niby godła miesięcy, w drugim wierszu są nazwy słowiańskie trzech pierwszych miesięcy. Ponieważ zaś niema konieczności uważania ich za czeskie dzisiejsze, nie potrzebujemy więc mniemać, że pisarz kalendarza przesunął nazwy słowiańskie o jeden miesiąc późniéj; wprawdzie Czesi nasz grudzień nazywają dziś *prosincem*, ale u Słoweńców *Proszeniec*, *Prosenac* znaczy właśnie styczeń, jak powyżéj w „Kalendarzu”; luty u Chorwatów zwie się *Sieczan.* Co do nazwy *Unor*, ta dziś u Czechów jest nazwą lutego, dawniéj atoli mogła oznaczać marzec, *unor*, niby umor, umarzający.

St. Ł.



Zaniedbane dziedzictwo duchów.

„Listy Juljusza Słowackiego“ z autografów poety wydał po raz pierwszy Leopold Meyet, tomów dwa („Listy do matki“), Lwów, 1899, w „Bibliotece księgarni polskiej“, tomy XXVI i XXVII.

Za skromnie o sobie trzymał twórca Anhellego,—albo téż, jeżeli w dumnéj téj naturze skromność nawet przykrywała tylko pychę niebotyczną,—za słabo wierzył w przyrodzoną zdolność swego społeczeństwa i czasów następnych, — skoro w poetyckim testamencie, skréślonym niedługo przed śmiercią, żalił się i utyskiwał, że opuszcza ziemię bez dziedzica dla swéj lutni, że imię jego jako błyskawica i dźwięk pusty przejdzie w pokolenia i że po nim zostanie tylko ta „siła fatalna”, co mu żywemu na nic, — ale dopiéro po jego śmierci gnieść nas będzie, niewidzialna, aż „zjadaczów chleba”, jakimi jesteśmy, „w aniołów przerobi”... Wieszczba spełniła się wprawdzie, lecz nie zupełnie. Bo choćby nam dowiedziono, żeśmy chléb swój zjedli do ostatniéj okruszyny, to wszakże anielstwa podziśdzień nie czujemy jakoś w sobie, ani dokoła siebie... Za to, na brak dziedziców lutni Słowackiego nie możemy się uskarżać. Pójść za Mickiewiczem, za „Panem Tadeuszem”, za „Konradem Wallenrodem”,—pójść za Krasińskim, za „Irydionem”, za „Nieboską komedyą”—na to nie starczyło nam odwagi pełnéj, szczeréj, równie zresztą jak i na dorównanie tęczowym barwom, „Balladyny” lub „Lilli Wenedy”; ale krainę „Arabów”, „Mnichów”, „Bieleckich”, „Beniowskich”, „Kordyanów”, wraz z przyległościami rozmaitych „Chmur”, „Wspo-

mnień", „Rozłączeń", „Stokrotek", „Godzin myśli", „Przekleństw",— szczególnie przekleństw, zwiedziliśmy i przetrząsnęliśmy wszechstronnie, do głębi. Z Ujejskim dawniéj, z Asnykiem późniéj, z Konopnicką, Gomulickim, Kasprowiczem, Langem dzisiaj, daleko za sobą zostawiliśmy nawet „Szwajcaryę", „Rzym", „Ojca zadżumionych", nawet wiersz do autora „Trzech psalmów",—oczywiście wszystko to jedynie pod względem wytwornéj formy i wykwintu artystycznego, zaprawionego na najcelniejszych wzorach swoich i obcych, a przesnutego dowcipem subtelnym, ironią lekką, melancholią powiewną, przedewszystkiém zaś tą zadumą tęskną, w siebie zapatrzoną, w sobie saméj rozmiłowaną, któréj nikt nam zazdrościć nie może, bo nikt nam dotąd dorównać w niéj nie zdołał. Słowacki skrupulatnie w tym punkcie dotrzymał słowa przyjaciołom, których przed zgonem zawezwał, by pogrzeb jego i „własną biédę" zapili... „Jeżeli—powiadał—będę duchem, to się im pokażę, — jeżeli oni duchami nie będą, nie przyjdę"... W pół wieku po nim, na jego stypie, nie zabrakło nawet tych, co z „modernistami" i Przybyszewskim na czele — już nie z promiennéj, podobłocznéj i mleczno-gwiaździstéj formy pism Słowackiego, lecz z zamętnéj i posępnéj ich treści, ze snów, przeczuć, widzeń i urojeń, wznieśli sobie kościół, umieściwszy w nim dziesięcioro przykazań przeciw wszelkim regułom w sztuce. przeciw wszelkiemu skrępowaniu norm pięknoznawczych. Więc i mistrz zjawić się wśród nich nie zaniedbał; księżycowo jasny duch największego w czasach nowożytnych lunatyka poezyi niezawodnie stawił się w tak dobraném i uzupełnioném kole, a jego smętne, zagrobowe oblicze dość nawet wyraźnie zdaje się oto wychylać ku nam z po za cienkiéj, wiotkiéj zasłony jego „Listów do matki". Nie lękajmy się spojrzéć w te źrenice surowe, zasępione, skierowane w zaświat, podziśdzień roziskrzone, podziśdzień płomienne, choć nikogo już dziś nie trwożące, nikomu nie groźne... Znamy tego ducha—z imienia przynajmniéj—od lat kilkudziesięciu, oswoiliśmy się z nim, wiemy zkąd rodem, co z sobą przyniósł...

Utarło się mniemanie, że poetycka twórczość Słowackiego ucierpiała na zetknięciu się z towiańszczyzną, równie jak i twórczość wielkiego jego „Pierwszego"—Mickiewicza,—że mistycyzm i mesyanizm były dlań na stanowisku artysty złowrogie i zgubne od samego początku, to jest od połowy czerwca 1842 r., kiedy umysł jego całkowicie się pogrążył w dumania nad wewnętrzną naprawą i udoskonaleniem człowieka. Krytycy i historycy literatury powtarzają to nam głównie na podstawie rozbioru „Księdza Marka" i „Snu srebrnego Salomei", —

wątłych z osnowy,—i w porównaniu do poprzedniéj twórczości, nadzwyczaj ubogich w wykonaniu. „Dwa te dzieła—powiada Spasowicz—napisane zostały z taką poniewierką formy, że podobne są nietyle do dzieł sztuki, ile raczéj do majaczeń wyobraźni, w któréj się plączą rozmaite mary senne—koliszczyzny, konfederatów, żywcem palonych hajdamaków, tortury, gwałty, wszelkiego rodzaju męki... Słowacki przestał opracowywać swe utwory, przestał zastanawiać się nad tém, zkąd myśli płyną i dokąd dążą; puszczał je w świat pod taką postacią, w jakiéj się mu pod pióro nawijały”... Charakterystyka, bezwątpienia, trafna; jednakże przeciw przeważającemu w niéj naciskowi na towianizm, jako na powód sprawczy, oświadczają się niektóre okoliczności faktyczne, bynajmniéj nie pośledniéj wagi. Najpierw „Ksiądz Marek” — powstał w okresie peprzedzającym wpływ towiańszczyzny, idzie przed datą zaciągnięcia się poety pod chorągiew „duchów wybranych i walczących”. Toż samo powiedzieć wypadnie może i o „Śnie srebrnym Salomei”, — wbrew zdaniu takich powag, jak Małecki. W liście Słowackiego do matki z d. 24 maja 1835 r. czytamy: „Jedna z heroin mojéj nowéj tragedyi nazywa się Sallomeą, piszę ją zupełnie dla siebie i ztąd więcéj może będzie naturalności i b a r d z i é j r o z w i a n e z a r y s y”. W liście znowu z d. 16 lutego 1841 r., Słowacki, zapewniając matkę, że w jego sercu zajmuje pierwsze miejsce, nadmienia: „najpiękniejszéj z c ó r e k m o i c h dam imię twoje chrzestne” (Salomei) — „to jedno dać mogę: dźwięk, głos, echo naszemu smutkowi”. Prof. Małecki i za nim Méyet (II, 138) utrzymują, że mowa tu o „Horsztyńskim”,—utworze, w którym j e d n a z pierwszorzędnych postaci nosi imię Salomei. Ale i na to zwróćmy uwagę, że Słowacki zawsze, wszędzie, stale dziećmi swojemi—synami i córkomi—nazywa utwory całe, osobnemi tytułami oznaczone, nie zaś pojedyńcze ich części lub oddzielne postaci (jak Salomea w „Horsztyńskim”). Atoli są i względy poważniejsze: oto w saméj pełni mistycyzmu i „służby Bożéj” według rytuału Towiańskiego powstał i rozwinął się „Król-Duch”,—utwór z pewnością niepośledni, pod pewnym względem górujący nad całym poetyckim dorobkiem Słowackiego, wyróżniający się zarówno pomysłowością daleko sięgającą, jak i obrobieniem kunsztownem,—utwór w którym zobrazowane widma dalekiéj, przeddziejowéj przeszłości, ujęte w lśniące, strojne i sforne ósemki, pędzić zdają się w przyszłość na sposób owych hufców fantastycznych, spieszących „tam gdzie boje, gdzie się trzaskają serca i przyłbice, — a z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje, uchodzą”. Zapewne, w metaforze téj historyozoficznéj, przedziwnie, napowietrznie odtwarzającéj naj-

pierwszą, najdawniejszą genezę społeczeństwa ludzkiego, o oświetleniu na pół boskiém, na pół zwierzęcém,—wzniosłém i dzikiém zarazem—zasadnicza teza postępu i rozwoju przez podbój i gwałt nie jest ze stanowiska etyki nowoczesnéj ponętną; z punktu wszakże czasów przedhistorycznych, kiedy „prawo siły" panowało i rządziło z bezwzględnością dogmatu religijnego, — niepodobna uczynić jéj dzisiaj najmniejszego zarzutu. A że w kompozycyi „Króla-Ducha", tak samo jak w układzie „Księdza Marka", lub w „Śnie srebrnym", rzeczywiście spostrzegać się daje pewna chwiejność zarysów, pewne „rozwianie" całości na pojedyńcze dźwięki i głosy,—na „echa dla siebie",—to przecież wątpliwém jest bardzo, czy można winę składać na „doktrynę przybłędną", zwłaszcza wobec pewności, że umyślne i dobrowolne owo przyćmienie się poety-artysty przed poetą-człowiekiem nie czekało bynajmniéj, ani w pobudkach swoich ani w objawie, na przyjście Towiańskiego... Pod tym względem „Listy do matki"—jako prawdziwe, rzetelne zeznanie duszy szczeréj przed najwyrozumialszym z trybunałów, — składają cenne i pouczające świadectwo na dobro „nowéj nauki",—nowéj za dni Słowackiego i „zmodernizowanéj" za dni naszych.

Kilkanaście lat życia na obczyźnie wcześnie wyżłobiło w umyśle poety bezmierną ową próżnię, która wobec bezmiaru pragnień i zachwytów młodocianego wieku nieodzownie dopominała się o swe zapełnienie — również jakąś bezmiernością nieokréśloną, nieułowioną, nadzwyczajną, „potężną jak śmierć lub zmartwychwstanie". Wiadomo z „Godziny myśli", po tyle razy przytaczanéj przez żywotopisców, na czém się zasadzał, z czego się składał pierwotny, przyrodzony, żeby nie powiedziéć wrodzony motor poetyckiego w Słowackim natchnienia — czyli, wyrażając się własnemi jego słowy,—jaki to „w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy, przedwcześnie zapalony, trawił młode jego życie"... Czarnookie owo dziecko „miało dumę wielkiego człowieka, przeczuciem nakarmioną; w oczach mu przyszłość stanęła daleka,—świetna okrzykiem ludzi"... Łaknął sławy,—i serce mu „jak kryształ w setne poryło się skazy". Żądza „wielkości", „sławy", „okrzyków" sięgających w daleką przyszłość,—zkądże to rodem? i co oznacza?—Kto jak Słowacki mniema, kto przypuszcza i w dzieciństwie jeszcze w modłach do Boga zapewnia, że cały swój wiek trudu i bodaj poniewierki poświęci dla otrzymania od ludzi, gdy umrze, wieńca chwały nieśmiertelnéj, ten przyznaje się przez to samo do wiary i pewności, iż zdobędzie i zapewni współbraciom coś takiego, za co słusznie i zasłużenie wielbić go będą zawsze, wiekuiście. Wódz

wielki, gdy bitwy wygrywa, odsłania przed wygrywającymi z nim razem ponętne widoki łupu, panowania i hulaszczego kosztem innych bytu. Wynalazca sukienek ogniotrwałych, normujących wibracyę płomyków gazowych, może być pewnym, że oprócz tantiemy imię jego, gdy zechce, wypisane zostanie na każdym takim kaftaniku latarnianym. Astronom, odkrywający nową planetę, rozszerza zakres umysłowego poglądu na świat w ten sam sposób, w jaki okulista doborem szkieł wyświetla fizyczny widnokrąg krótkowidzów, lub muzyk kształci i doskonali wrażliwość ucha na rozmaite odcienia harmonii dźwięków... Lecz poeta, — co on ludziom ofiarować lub obiecać może? z jakiego tytułu rości on prawo do ich uznania i wdzięczności, — przytém do wdzięczności „nieśmiertelnéj"?— Słowacki bardzo wcześnie, bodaj czy nie w 16-m roku życia, — a najściśléj i stanowczo zdał sobie sprawę z tego pytania. Poeta— ..ma przed sobą krainę duchów do zdobycia"...

Interes — jak widzimy — wątpliwy. Wartość „krainy" zależy od tego, co rozumiemy przez wyrazy: duch, „duchy". Może to być najpospolitsze fantasmagoryczne odbicie naszéj jaźni, wałęsającéj się po wszechobłokach marzycielstwa, lecz może téż być głęboko odczute, lub przeczute odzwierciedlenie rzeczywistości przyszłéj— dalekiéj, świetnéj i świętéj, a upragnionéj przez teraźniejszość tak żywo, iż synteza owego przeczucia i owego pragnienia, zwana ideałem, droższą stać się może dla ludzkości nad wszelkie odkryte i nieodkryte kopalnie złota, poważniejszą od najbardziéj rozgłośnych i trwałych podbojów, donioślejszą i doskonalszą niż jakikolwiek i kiedykolwiek zrobiony wynalazek naukowy, — gdyż, odsłaniając przed nami „obiecaną ziemię" tęsknot, pożądań i nadziei wiecznych, wskazuje i skraca do niéj gościniec, gromadzi odpowiednie dla jéj zdobycia narzędzia, przyspiesza kroki naszego ku niéj pochodu i sercom bojowników za nią dodaje męztwa i otuchy. Zadanie wielkie—ale i szkopuły nie małe. Niebezpieczeństwo najrealniéj nawet pojętego zagadnienia zasadza się tu na tém, że wieszczba, sięgająca, ku zbyt odległéj mecie, przestaje być zrozumiałą dla współczesnych, współczucia ich nie budzi, wróżba zaś zanadto nachylona ku poziomowi rzeczywistości aktualnéj, współczesnéj, łatwo może być przeskoczoną i wyprzedzoną przez potok aspiracyi bieżących, powszednich. Ztąd dla wieszcza i wróżbity podwójny szereg obaw i udręczeń, znanych od niepamiętnych czasów pod mianem nieporozumienia poety ze światem. Gdy wiek swój nieco daléj za sobą zostawisz, rozminiesz się z nieśmiertelnością dzisiejszą, którą jest popularność; gdy sam nieco z tyłu pozostaniesz za wiekiem, zawiedzie

cię popularność jutrzejsza, którą jest nieśmiertelność. I w mękach téj alternatywy częściéj powali cię niesmak, zniechęcenie, niewiara, niż podniesie i opromieni chwała. „Listy” Słowackiego—to nieustający odgłos wewnętrznéj téj rozterki, wewnętrznego tego bólu, który tak jaskrawo trysnął w pamiętnéj jego improwizacyi: „bo się kruszyło we mnie serce smętne, że ja nikogo nie mam ze szlachetnych i próżno słowa wyrzucam namiętne, pełne łez i krwi i błyskawic świetnych—na serca, które zawsze dla mnie wstrętne”... Zaprawdę—gdyby komu chodziło o głębsze studya nad szczególnym ustrojem umysłowości poetów, ukazującym im wszechświat zawsze z takiéj strony, która wymaga przeróbki lub naprawy — dośćby było zanalizować pierwsze zaraz poufne zwierzenie się Słowackiego, żeby w niém odkryć wszystkie zasadnicze pierwiastki niezadowolenia „twórcy” ze „stworzenia”—podmiotowości czynnéj z przedmiotowości biernéj. Zdrów, przystojny, wykształcony, młody, liczący zaledwie 22-gą wiosnę życia, posiadający już zapewnienie Niemcewicza, iż się stać powinien chlubą piśmiennictwa ojczystego (z powodu odczytanych w Ursynowie kilku scen z „Mindowe”), marzyciel nasz opuszcza strony ojczyste, udając się na Zachód, ku ogniskom oświaty, sztuki, cywilizacyi. Dopóki lotem ptaka przebiega Niemcy i Anglię, nie drażnią go one jeszcze, nie nudzą. Ale oto zatrzymuje się nieco dłużéj w Paryżu. Po kilku tygodniach już go oburza i dławi ta „nowa Sodoma”, na którą niebawem w wierszu siarczystym, spuści „deszcz płomieni” i obarczy gromami wroga, trwogą zniszczenia, krzykiem rozpaczy. Do matki pisze w d. 20 października 1831 r.: „Z Francuzami nie żyję, mam do nich jakąś nieprzezwyciężoną odrazę,—taka nieszczerość i tak wiele gadają. Samotny prawie przepędzam dzień cały”. Ogląda rzeczy, ludzi, obyczaje, krajobrazy świeże, nieznane, niewidziane przedtém; wyznaje, że podróż bardzo wiele daje wyobrażeń,—ale „szkoda tylko, że wszystko ukazuje mniéj pięknem, niż było w imaginacyi”... Zostają tym sposobem (dodaje) dwa obrazy: jeden „oczami wymalowany”, brzydszy, drugi w wyobraźni „dawniéj utworzony”, piękniejszy; „kiedyś utworzy się trzeci, najpiękniejszy, z imaginacyi i z sennego przypomnienia”... Dawniéj, uciskała go i gniotła ciasnota, cisza i jałowość domowego otoczenia; obecnie, gniewa, nuży, niecierpliwi wrzawa i gorączkowa ruchliwość ludów obcych. „Potrzeba mi spokojności—zapewnia w tymże liście—i nieraz sobie myślę, że nawet w Krzemieńcu mógłbym mieszkać szczęśliwy”... We trzy miesiące późniéj (24 stycznia 1832 r.)—i tego mu za mało, i to mu już wydaje

się za błahe. „Straciłem nawet nadzieję być szczęśliwym i przysięgam ci, mamo, że nigdy nawet o żadném szczęściu, o żadnéj przyszłości nie myślę”... Czegoż chce, o co się ubiega? — o sławę, tylko o sławę, — zawsze o „nieśmiertelną sławę po śmierci”...

W czém-że ją upostaciuje? na czém zawiesi?

Potoczne, faktyczne objektywne przędziwo życia chyżo usuwa się z rąk wieszcza w wartkim pościgu za ideałem, który również szybko mknie po przestworzach współczesności, mieniących się jak obłok, płonących lub rozwiewających się jak pajęczyna. W ciągu niespełna lat dziesięciu, a więc po wydaniu trzech tomików „Poezyi” (1832—33), po pobycie nad jeziorem Genewskiém, wśród cicho szemrzących jodeł i świerków, z widokiem na Mont-blanc, „który na horyzoncie wznosi się lekko jak chmurka”, po odegraniu kiku ról „wesołego chłopca”, po napisaniu „Kordyana”, po wzniesieniu się na skrzydłach czaru i miłości aż tam, „kędy świeżych gór błyszczą korony, gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony, gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali”, po zwiedzeniu Włoch i Rzymu, co wsród pustyni „już się wali”, po odbyciu podróży na Wschód, w któréj Grecya zaćmiewa Włochy, Egipt zaciera Grecyę, a Jerozolima zatapia wszystko razem, jak „we śnie dziecka, które się zmęczy łzami”, wreszcie po powrocie na ląd staréj Europy, najpierw pod Apeniny, do Florencyi, któréj „raj materyalny“ zabójczym jest dla władz umysłowych, następnie zaś znowuż nad Sekwanę, do tego wrzaskliwego, odurzającego, płytkiego Paryża, który tę tylko ma zaletę, iż w nim książki swobodnie drukować można, — już ziemski cykl wrażeń żywota był dla Słowackiego całkowicie dopełniony i zamknięty. Wprawdzie, jeszcze z Genewy, po otrzymaniu przykréj wiadomości od kochanki lat młodocianych, Ludwisi Śniadeckiéj, poeta pisał do matki, zrozpaczony prawie: „już mi się i sławy nie chce”, a w czas jakiś potém (27 października 1833 r.), z powodu „przekleństwa” losu, który na jego drodze stawia tylko „zabawki” i „lalki”, dodawał: „w moich uczuciach niema nic wielkiego, oprócz téj jakiéjś nieskończonéj niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami”.... Obecnie, po latach niespełna dziesięciu—zmysły nic już zgoła nie widziały i widzieć nie miały ochoty... Sypią się odtąd bez przerwy aforyzmy w rodzaju następujących: „Wszystko jest brzękiem i czczością, dla któréj nie warto było się rodzić i smutnieć“ (październik, 1839). „Trzeba się całkiem w świat umysłowy rzucić i w nim zostać” (listopad, 1839). „Świat ten, do którego się niegdyś wyrywałem, nie dopisał, nie zaspokoił; żadne moje uczucie nie wyrosło, — strudzony,

chcę wrócić do ciebie — i nie mogę" (12 kwietnia, 1840). „Należę do najsmutniejszéj garstki ludzi, bez nadziei i bez żadnych prawie wstrząśnień serdecznych" (1841). Instynkt samozachowawczości, tęsknota serca, popędy krwi, upominały się jeszcze niekiedy o swoje prawa, — ale i one rwały się teraz do jakiéjś tylko pustki gwarnéj; oszołomiającéj, bezcelowéj. „Lubiłbym polować, chodzić po lasach, mieć jakie grono młodych panienek znajomych, grać im na fortepianie, uczyć po włosku, zakochać się w któréj, — lecz to wszystko jest dla mnie, jakby las zaczarowany, którego nigdzie znaleźć nie można... Nuda miejskiego życia wywiera wpływ zgubny... Są dnie, których niczém zająć nie można... Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim, ale są reakcye okropne... Wtenczas, ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie po ludnych ulicach nie jest lekarstwem... — a nabywanie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do spiżarni, zawalonéj spleśniałemi wiktuałami" (II, 126). Widoczną jest rzeczą, że istnienie zewnętrzne wyszafowało dla Słowackiego cały zasób wód swych świeżych, czystego powietrza i słonecznego ciepła. Lubo w węższych granicach i sercem raczéj nie zaś umysłem, autor „Poematu o piekle" (1839) skończyły ową wszechświatową wędrówkę, którą w kilkadziesiąt lat po nim powtórzy najgodniejszy z jego kontynuatorów i wielbicieli, w przepysznych strofach swojejego „Sfinksa": „Szukałem prawdy, — strawiłem wiek cały na dochodzeniu tajemnych praw bytu... Myśli me w ogrom gwiazdzisty leciały... — i powróciły bezsilne na ziemię... Do wnętrza przeto ziemskiéj szedłem bryły...—do ognistego wreszciem dotarł globu, który na moje pytania bez końca znów mnie odesłał na odległe słońca... Wreszcie przede mną cały świat widomy na nieuchwytne rozprzągł się atomy, na mgłę bez kształtów, rozmiarów i treści, w któréj prócz ruchu nic się już nie mieści... I świat materyi zagasł jako tęcza, co drganiom światła trwanie swe zawdzięcza"...

Zgasł świat materyi — teraz z konieczności nadeszła koléj na zapalenie — świateł ducha. Przeskok to nieodzowny, antyteza nieunikniona, nie ominie on poety... Przesuńmy dalszych parę kartek jego „Listów do matki". Paryż 10 listopada 1841 r.: „Wszystko to było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich". 2 sierpnia 1842 r.: „Otoczył mnie krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy, zdaje się, że błogosławieństwo Boże jest nademną... Wszystko to podobne jest do snu i marzenia i wytłómaczoném być nie może... Świat glansowanych rękawiczek zniknął z oczu moich, — mnie trzeba dziś być wewnętrznie człowiekiem, ile można doskonałym i dobrym". 18 stycznia 1843 r.: „To nie sen ża-

den, ani guślarstwo, ani magnetyzm, ale proste obudzenie Boskości w sercach... abyśmy się zmienili w sobie, stworzyli Duchem i cierpieniem wewnętrzném to, czego nam potrzeba, — cel wznioślej pojęty, niż wszystkie dotąd cele... Myślicież wy, że to pół śpiąc, pół bawiąc się, można być wielkim człowiekiem w oczach Boga?" 18 marca: „Zdrów jestem, pełen mocy Ducha, pełen młodości; często w uczuciach czuję nawet tę woń, która mię dzieckiem owiewała; to są zyski nowego stanu duszy i nowéj służby Bożéj, którą odbywam w duchu, strat zaś jeszcze żadnych nie poniosłem, a ofiary które z ducha dałem, uradowały mię tylko i podniosły". 28 listopada: „Znów mi jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy, a mam tę chwilę, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie, chcąc podług słów św. Pawła wyjść z tego więzienia, spłaciwszy ostatni szeląg z siebie... A tém spłaceniem jest tylko czyn, nie zaś prosta i wewnętrzna świętość, - świętość pusta, podobna do świętości człowieka w cierniowéj koronie, zbitego mocno pletniami, oczekującego spokojnie nagrody niebieskiéj... Za co nagroda? gdzie ten duch zostawił ślad swój przejścia? co naprawił? kto jego tchnieniem odetchnął i uczuł się lżejszym, czynniejszym? kto, zapalony przezeń, pogardził wszelakim fałszem, wszelką ociężałością ciała, egoizmem ducha?.." 16 kwietnia 1844 r.: „Pisać do ciebie, droga matko, jest to teraz dla mnie rzeczą wielkiéj wagi, chciałbym bowiem w każdym liście dać ci uczuć głąb' myśli moich, a na to potrzebaby nam rozmowy długiéj i długiéj, potrzebaby abyś ty uczuła ciepło moje ludzkie i razem spokojność anielską ducha, miłość wielką, która się we mnie rozwinęła, tę wiarę nareszcie, która mi odkryła wszystkie tajemnice, — wszystkie, mówię ci, bo już dla mnie zasłona grobu uchylona jest zupełnie... Ja, prosty człowiek, odzyskałem nawet ten czar, który miłością ludzi uderza... Budzę się teraz rano i wraz rozweselony jestem wnętrznie i już na cały dzień taki zostaję, gotów każdego, co się przybliży, oblać jasnością ducha i rozradować go, aż się do harmonii ze mną ułoży. Zdobywcą jestem duchowym... i ty myślisz, że mi się długo opierać będziesz, że wkrótce nie porwę cię mimowolnie samym tylko szumem i wiatrem lotu lecących ze mną aniołów"..

Wypłynęliśmy na pełne morze mistycyzmu. Choćby krytyce udało się dowieść, że artysta Słowacki stracił nieco na tém „wstrząśnieniu", to przecież z listów jego widzimy najwyraźniéj, że człowiek wygrał, że się czuł szczęśliwym, zachwyconym, odmłodzo-

nym. A czy to rzecz drobna? Niezapominajmy przytém, że nastrój trwał lat kilka, do saméj niemal śmierci, i że dotknięty „chorobą" bardzo jasno i dokładnie zdawał sobie sprawę ze swego stanu. Na razie odstrychnął się od niego nieco prawowierny zawsze autor „Nieboskiéj Komedyi", za to choć nie na długo pogodził się z nim twórca „Dziadów" i „Pana Tadeusza"; drwiła z niego gawiedź nasza paryska, ale czcili go, kochali urokowi jego odrodzenia ulegli ludzie, tak górnie, szlachetnie a trzeźwo myślący, jak Szczęsny Feliński, jak Józef Mianowski, którzy w dziejach naszéj umysłowości zostawili przecież po sobie niezatarte dobroczynne obcowania tego ślady. Zatrwożonéj i wymówkami obarczającéj go matce Słowacki bardzo stanowczo odpowiedział 12 maja 1844 r.: „Gdybym ja musiał po kładce jakiéj wązkiéj iść nad falą ognistą pożaru, a tyś ciągle zdaleka wołała: ach, upadniesz, ach już upadasz! — powiedz, czy nie odjęłabyś mi téj przytomności, która potrzebna jest człowiekowi?... Cóż zrobię na uspokojenie twoje? Gdyby to były dawne czasy, powiedziałbym ci, że kazałem sobie zrobić zbroję u pierwszego płatnerza i w téj będę chodził w wieczór i rano; ale teraz, droga moja, czując się zupełnie pod ręką Boga, nie wiem, czém ciebie mam uspokoić, jeżeli nie Bogiem. W imię więc Jego proszę cię, uspokój się"... A 12 sierpnia tegoż roku: „Droga moja, cierpliwą bądź, o cierpliwość proszę cię najmocniéj, prawie ze łzami rozpaczy, bo niema większéj tortury, jak czuć się ciągle napędzanym wtenczas, kiedy człowiek ostatnich sił dobywa, a ludzie ciągle krzyczą: i cóż?... i nic?.. a kiedy?.. — Odpowiedź na to jest w Ewangelii: słabe ciało, ale duch wiele może"...

Gdyby biografowie i komentatorowie Słowackiego choć do połowy cieńsze foliały poświęcali dociekaniom, gdzie, kiedy i ile razy Jul. Słowacki kochał się w jednéj jakiéjś panience po anielsku, w drugiéj po donżuańsku; gdyby mniéj erudycyi, kosztów i zachodów łożyli na czcze, śmieszne, niedorzeczne zestawiania ćwierć-strofek „Lambra" lub „Beniowskiego" z półoktawami Byrona; gdyby smaku krwawych poziomek „Balladyny" nie próbowali określić z pomocą różanych kolców Szekspira, — oszczędziliby piśmiennictwu polskiemu wielu bolesnych i przykrych zawodów, nie wczorajszych już tylko, lecz zawodów na dziś i na jutro. Pozostałoby im może trochę czasu i atłasu na wniknięcie w powody dziwnego owego zjawiska, że tak oczywisty „obłęd", potępiony zarówno przez kościół jak i przez „zdrowy rozsądek filozoficzny", — że ów — mówimy — zniesławiony i pogardzony towianizm nie tylko w swoim czasie ogarnął i pochłonął grono serc najgorętszych, umysłów najwspanialszych, ale szeroko

i bujnie się rozkrzewił na glebie litaratury tegoczesnéj, w swém potomstwie prawowitém i najbliższém: w młodéj Skandynawii, w ewangelizmie Dostojewskiego, Tołstoja i Sołowjewa, w niezliczonych odmianach impresyonizmu i dekadentyzmu niemieckiego, belgijskiego, francuskiego, amerykańskiego i t. d. Nie trudno było przed sześćdziesięciu laty do „szpitala" odesłać dwóch, lub trzech genialnych wieszczów, skoszonych przez „zarazę", tuż zaraz po wydaniu ostatnich plonów poprzedniéj działalności: ale niepodobna zasadzić dziś do Bedlam pół-Europy artystycznéj, naukowéj, literackiéj. W tém coś jest. To koniecznie wymaga analizy szczegółowéj, kompetentnéj. Dla czegóż milczy dziś o tém krytyka polska, któréj berło, po Mochnackich, Grabowskich, Tyszyńskich, Kaszewskich, Spasowiczach, Nehringach, dostało się za dni naszych w spadku rozmaitym młodym kuzynkom naszych firm wydawniczych, lub starym patentowanym roporterom naszych oficyn redaktorskich?

Przedwczesne to zapewne pytanie, jak na dzień pięćdziesięcioletniego żałobnego jubileuszu wieszcza, który zanim opuścił ziemię, nie miał serca „zamkniętego na kluczyk od spiżarni", a odchodząc ze świata, nie odchodził z „nauką bez mądrości", „z kłębkiem różnych wiedz i opinii bez przeczucia nawet nowéj epoki", — niby „książka z książek rosnąca"... Marzył o nieznanych, nieprzetartych ścieżkach poznania, na których się rodzą „wielkie zagadki" i „wielkie cele żywota". Miewał wtedy, „dnie", w których na „świętéj spowiedzi" przed matką powiadał: „W ciągłém jestem upojeniu, w ciągłéj niby harmonii z całém stworzeniem, drzewa mi się tłómaczą z tajemnic swoich, jagody usprawiedliwiają ze swoich własności, kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują, a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewne nie prędko inni ludzie posłyszą"... Sądził wtedy, był tego pewnym, że i dla niego znajdzie się kącik w tym „Westminsterze polskim", gdzie za naszéj pamięci spoczęły zwłoki jego antagonisty Mickiewicza... Czy się pomylił? — Na odpowiedź przyszłości śmierć zasłonę swą zarzuciła wpierw, nim z poetyckiego oblicza Słowackiego spadła owa „maska" zamroczysta, jakoby z mgieł utkana, którą śpiewak „Lilli Wenedy" wyśnił akurat w przeddzień swojego zapadnięcia na towianizm (16 maja 1842 r.): „Zdawało mi się żeśmy się spotkali, z Ludwiką Śniadecką) u stóp wielkich, olbrzymich wschodow, w przysionku jakiegoś pałacu Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niéj i spojrzawszy na twarz, zmienioną już niestety, założyłem ręce i chciałem do niéj mó-

wić. Ale zaledwie pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z serca płacz gwałtowny i padłem na wschody, jak Dante przed Franceską. Wtenczas ona, stojąc nade mną z litością, ręką zdjęła ze swéj twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła, — i piękniejsza niż dawniéj, przez kilka chwil patrzała na mnie. Potém zaczęła iść po wschodach zwolna... i słyszałem echo jéj chodu coraz wyżéj niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym zdjęła z twarzy odmianę całą lat i smutków, był zadziwiającéj piękności"...

Gestu tego czyliż nie odgadniemy nigdy?—z téj mętnéj, ciemnéj sadzawki urojeń i przywidzeń gminnych, „kolumnami duchów" parującéj ku chmurnie zadumanym niebiosom ideału, czyliż nigdy nie wydobędziemy onéj „siły, która jest... ale jeszcze przez wiarę dopiero się rodzi"?... i czy w ten sposób, na dalszą niepamięć, na dalszy odłóg skażemy początkowania Mickiewiczów, Słowackich, Libeltów, Cieszkowskich?...

Zagadnienia powyższe — surowe, poważne, dla wszystkich ludów słowiańskich doniosłe, znajdą, być może, pełniejszy, uwydatniający materyał w dalszéj korespondencyi Słowackiego,—w jego listach do Krasińskiego, Ujejskiego, Mianowskiego i t. d. Obecnie, na podstawie poufnych pogadanek poety z matką, raz tylko jeszcze zaznaczyć wypada, na zamknięcie przedmiotu ściśle biograficznego, że towianizm w ciągu lat kilku, doszczętnie bez śladu wyplenił z młodéj téj jeszcze duszy cały ów chwast filuteryi czy téż galanteryi salonowéj, do któréj, przed laty, Juljusz Słowacki tak otwarcie się przyznawał matce. „Niepodobna ci opisywać—zawiadamiał np. z Florencyi w d. 24 kwietnia 1838 r.—wszystkich rozmów o niebieskich migdałach (z księżną Survilliers); wstydzę się ci opisywać szarlataneryi, któréj używam czasem, abym jéj nieznacznie pokazał dar twój—to jest moje pańsko-eleganckie wychowanie. Czasem szkic ruiny w Egipcie, pokazany zgrabnie, przekonywa ją fałszywie, że gdybym chciał, tobym był malarzem; czasem znów, jakaś fantazya Szopena, zgrabnie ucięta w trudniéjszem miejscu"—chowa pod skórę wołową „moje uszy oślątka"... Zupełnie, bezwzględnie inny to już obecnie był człowiek. Spójrzmy na ostatni, przedzgonny rok jego życia.

W początkach r. 1848, przed samym wybuchem 24 lutego, siedział sobie Słowacki w Paryżu, w swém ciepłém, słoneczném mieszkaniu na piątem piętrze przy ulicy Ponthieu 30, które od r. 1844 zajmował stale, zdobiąc je pamiątkami przesyłanemi od matki, rodziny, kilku rzadkich przyjaciół. Z ludźmi obcować przestał prawie zupełnie, na odgłosy wrącéj dokoła rzeczywistości niechętnie

skłaniał ucho, zrażony był do świata i może nawet trochę do samego siebie po niefortunném skrzyżowaniu poetyckiéj broni z Krasińskim na niwie proroctw politycznych, którym rok 1846 kłam zadał. Liczył wtedy zaledwie zaczęty trzydziesty dziewiąty rok życia, a już się miał za starego, za weterana, uwolnionego od ziemskich służb ludziom, od ponęt lub sideł, jakie na niebiańskie nasze natchnienia zastawiają duchy cielesne, w materyę uwikłane... Wyłącznie oddany był Bogu, snom, marzeniom. Marzył poeta raz bardzo górnie, na zakres wszechświatowy, to znowu zniżał skrzydła do lotów bardziéj poziomych, sielankowo-skromnych. Obecnie, żaląc się tylko jeszcze przed matką, że go naprowadza i popycha na drogi realnego i trzeźwego uświadomienia wymagań czasu, pisze do niéj 22 stycznia 1848 r. „Więc ty mniemasz, że ludzie będą zawsze tacy, jak dziś, nic nie wiedzący, skąd przyszli i co robią na ziemi? Więc myślisz, że zebranie pewnéj liczby talentów i pewnéj ilości ludzkiego szacunku jest wszystkiém, do czego syn twój może dążyć na ziemi? A jeśli on ma od Boga to, o czém jeszcze świat nie wie? Jeśli on przyszedł umyślnie na świat, aby powiedział i uczynił to, czego inni ludzie jeszcze nie powiedzieli i nie uczynili, — powiedz, czy ty go sądzić możesz?“... Ale oto w powietrzu czuć już blizkość czasów i zdarzeń, z któremi zetknięcie się bliższe każe złożyć z siebie „wyświęconą swoją naturę“ i zniżając lot skrzydeł — pragnąć już odtąd jedynie cichego, odosobnionego kątka w chacie ojczystéj, zagrzebanéj kędyś na uboczu i od wielkich prądów wieku odgrodzonéj, w któréj „z jednego garnka jedząc wszyscy porcyę krupniku i zapiwszy ją szklanką podpiwku“,—zawezwałoby się na schyłku dnia pastucha do rozmowy, przypuściłoby się do udziału psa pastuszego i słodko tym sposobem przepędziłoby się wieczór przy ogniu... Daleka to jednak meta, —dalsza w ówczesnych konstelacyach politycznych, niźli powszechne przebudowanie dusz ludzkich i takie ich podniesienie, „aby duch prawdy i miłości wywiódł wszystkich na jedną wysokość i spodobnił sobie różne skarykaturowane ludzi natury“... Tymczasem, w połowie lutego 1848 r. Słowacki oddycha wyłącznie tylko żądzą czémrychlejszego ujrzenia ubóstwianéj matki. „Wiosna się zbliża—pisze.—Spodziewam się, że w kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Nie życzyłbym ci jechać wcześniéj, bo wiatry marcowe ostre są, a dżdże chłodne i niezdrowe... Wszystko odkładam do widzenia się z tobą, droga moja, i sam ufam, że mi to lato sił doda, bo mówię ci, żem smutny, a ta zima bardzo mi złą była“...

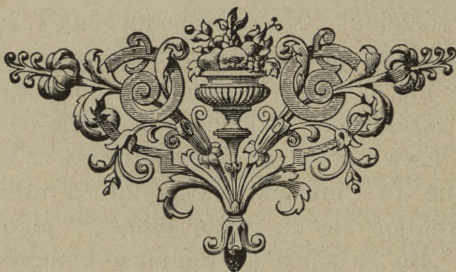
We dwa niespełna tygodnie potém już nad Sekwaną huczał orkan rewolucyjny. Co o nim sądził poeta na razie, domyśléć się tego nie byłoby rzeczą trudną na podstawie jego notatek pamiętnikowych z owéj doby; w listach wszakże zaledwie drobne, przebrane, przeodziane o tém napomknienia dostrzedz się dają. Obawa, niepewność stosunków paraliżowały wszelkie szczere, poufne wyznanie. W cztery dni po wybuchu rewolucyi paryskiéj poeta donosi tylko rodzinie, że żyje... „Niech się Pan Bóg wami opiekuje,—pod jego strażą jestem, wszystko się tu uspokoiło“...

Chociaż go nadchodząca zima przeraża, choć kaszle już krwią płucną, choć ostatniém wytężeniem wyobraźni i woli leci ku leczniczym i odżywczym tchnieniom przyszłéj wiosny,—nie traci odwagi, skupia się na siłach i jak może blizkich sobie pokrzepia, rad im nie skąpi. Rodzeństwu, utyskującemu na okropny stan anarchii i rozpasania gminu po wsiach, nie szczędzi nawet przestróg, karci je, strofuje. „Gdyby mi Bóg dał—pisze w grudniu 1848 r. — myśléć tylko o swoim i moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy, starałbym się dom mój zamienić w dostatnią prostego człowieka siedzibę”... Rozwija poeta daléj system gospodarstwa parobczanego, zastąpić przeznaczonego system pańszczyzniany, i upomina, ażeby nie łudzono się widokami powrotu do starych, dobrych czasów: „królowanie szlachty—powiada—jest jedną z rajskich róż, które Ewa polska na wieki utraciła”... Czy słusznie? czy godziwie? — I na to Słowacki występuje z affirmatywą nader energiczną, powołując się na „małą miłość”, jako sobie szlachta u ludu zyskała... „Bo świadczę się Bogiem—kończy—iż ten, co miał w ręku los ludzi, mógł był miéć i serca tych ludzi... na zawsze”. Piękniéj jeszcze, wzniośléj rozwija ten temat w liście z dnia 22 stycznia 1849 r., na parę miesięcy przed zgonem. „Przemiany świateł poprzedzają przemianę dusz—i w tém jest cała tajemnica przyszłości... W dzień wilii czułem wasz smutek... Teraz widzę, jakoście rozesłali po chatach jadło i siedzicie samotni, oczekując, czyli się nie nawrócą ku nam serca ludzi... O nie, nie nawrócą się te duchy, z urąganiem lać będą w brzuchy mleko makowe, nasycone miodem, lecz duchem Chrystusa nie otchnięte... Nie, nie przynęcić ludzi prosem, — trzeba na to czegoś mocniejszego w naszéj naturze”...

W wątłém starganém ciele wielki duch wieszcza szybko dogorywał. W d. 4 marca 1849 r., twórca „Anhellego” pisał do swoich: „Żyję jak kawał drzewa, nie puszczając myśli mojéj w żadne obszary, abym ciała nie mordował,—abym doczekał odetchnąć waszém

rzeźwém, podlipowém powietrzem"... Nie doczekał się. Zgasł w d. 3 kwietnia na ręku Szczęsnego Felińskiego. Konając, wzrok smętny zwracał ku pamiątkom matczynym nad łożem i do otaczających zdawał się chcieć przemówić słowami niedoścignionego w mistrzowstwie formy i bogactwie pomysłowości poetyckiego swego testamentu: „Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą i biédne serce moje spalą w aloesie, w garnek zbiorą popioły i matce oddadzą,—ona łzami obleje tego, kto przyniesie"...

Kaź. Włostowski.



Artysta, publiczność i krytyka.*)

Z puntu widzenia sztuki społeczeństwo dzieli się na trzy grupy artystów, publiczność i krytykę.

Artyści tworzą dzieła sztuki, publiczność kształci na nich swój smak estetyczny, a krytyka jest łącznikiem między dziełami artystów a publicznością i przewodnikiem po świątyni sztuki, w labiryntach której niewtajemniczonemu łatwo zabłądzić.

Te trzy elementy wzajemnie się wspierają i dopełniają.

Jeśliby znikli artyści, sztuka by razem z nimi umarła, a społeczeństwo wykreślić by musiało P i ę k n o ze swego słownika.

Z odsunięciem artystów od społeczeństwa, z postawieniem nieprzebytej przegrody między temi dwoma elementami, zniknęłaby najpiękniejsza pobudka w tworzeniu, pobudka apostolstwa w sztuce, wskazania piękna tym, którzy go nie widzą, sprawienia rozkoszy tym, którzy to piękno odczuwają i łakną go, jak ożywczego zdroju wśród szarzyzny codziennego życia.

Pozostałaby tylko jedyna pobudka, zwana wewnętrzną potrzebą tworzenia.

Lecz mówić i przekonywać, kiedy nikt nie słucha, tworzyć

---

*) Podług własnego odczytu w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie d. 19 III. 1899 r.

dzieła sztuki, gdy niema komu na nie patrzyć,—czyż to nie jest odebraniem potężnéj zachęty w twórczości?

Puvis de Chavannes twierdził, że malarz wtedy tylko powinien malować, kiedy za pomocą swego dzieła ma coś do powiedzenia ogółowi. Poeta, malarz, rzeźbiarz i muzyk, każdy w innéj formie wypowiada to, co czuje i myśli, ale wypowiadając, pragnie, żeby jego myśli i uczucia przeniknęły serca i umysły innych: całych tłumów...

Jakżeż więc można pojąć rolę artysty, którego dzieł nikt niema oglądać?

Wprawdzie wielu jest artystów i to nie najmniejszych, którzy głoszą, że, jeśli tworzą, to dla siebie, dla własnéj satysfakcyi, ale trzebaby to raczéj sobie tłómaczyć, jako okrzyk goryczy i zwątpienia o tych tłumach, które zawsze zdają się błądzić i zostawiać sąd sprawiedliwy dopiero potomności.

Jak widzimy: artyści, publiczność i krytyka stanowią trójcę nierozdzielną, która powinna utworzyć harmonijną całość, mającą za jedyny cel piękno, a za jedyny rezultat co raz wyższy i wyższy poziom poczucia estetycznego w społeczeństwie, a przez to co raz wyższego wysubtelnienia duchowego.

Lecz żeby te rezultaty osiągnąć, trzeba, aby ta trójca dobrze pojmowała swe zadanie, a każdy zosobna, żeby dobrze zrozumiał i wypełniał swą rolę.

Jaką jest rola artystów?

Jakie są ich obowiązki względem sztuk?

Stać zawsze na wysokości swego zadania, służyć tylko ideałom sztuki i nigdy nie zapominać, że zadanie artysty nie jest zawodem ale posłannictwem. Gdy inni po godzinach pracy zawodowéj, podjętéj dla chleba, znajdują chwile rozrywki i zadowolenia, jakiego są spragnieni, artysta właśnie to zadowolenie znajduje w godzinach swéj pracy, gdy tworząc, zapomina o wszystkiém inném.

Ludzie tacy są artystami.

Lecz popełnilibyśmy błąd, łącząc nierozdzielnie te dwa pojęcia: artysta i malarz lub rzeźbiarz.

Mózg i serce artysty powinno być wrażliwe na wszystko, co piękne, na wszystko co szlachetne, na wszystko co wielkie. Powinno cierpieć za nieszczęśliwych, powinno uwielbiać i kochać wszystko, co jest ideałem ludzkości. Taki artysta ma zawsze czém się podzielić z innymi i maluje lub rzeźbi, bo zawsze ma coś do powiedzenia społeczeństwu.

Gdy dla artysty strona techniczna jest tylko środkiem, dla zwykłego malarza jest ona celem.

Aby być malarzem lub rzeźbiarzem, dość, oprócz wrażliwości wrodzonéj na barwy lub formy, wydoskonalić tę zdolność wrodzoną i przez pracę poznać i przezwyciężyć trudności zawodu. Są to ludzie, którzy tak samo dobrze malują, jak inni wzorowo prowadzą książki buchalteryjne. Strona rzemieślnicza zawodu i dobrobyt materyalny, jaki tą drogą zdobyć zamierzają, oto ich środki i oto ich cel.

Myliłby się, ktoby sądził, że na tytuł prawdziwego artysty zasługuje tylko ten, który maluje obrazy, zwane tendencyjnemi. Artyzm polega nie na traktowaniu jakiegoś specyalnego działu sztuki, ale spoczywa on jak skarb w samym artyście i przejawia się na zewnątrz w każdém choćby najdrobniejszém dziele, wychodzącém z pod ręki jego.

Przysłowie łacińskie powiada, że po pazurach można poznać lwa.

Tak samo artystę można poznać po najdrobniejszéj jego pracy.

Błędném jest rozpowszechnione bardzo pojęcie, uważające za coś niższego i gorszego prace, zaliczane do sztuki stosowanéj. U nas pojęcie to ma o tyle racyę bytu, że niezmiernie rzadko można spotkać prawdziwego artystę, uprawiającego ten dział sztuki. A jeśli i uprawia, to tak dorywczo i z takim wstydem, jakby to go miało hańbić.

Po za tém sztuka stosowana spoczywa u nas w rękach dyletantów, albo specyalistów zawodowych, często bardzo zręcznych, ale rzadko oryginalnych.

Rzeczywisty artysta tworzy prawdziwe dzieła sztuki bez względu na materyał, w jakim je wykonywa. Materyał musi zawsze harmonizować z samym pomysłem. Artysta-rzeźbiarz wyraża zwykle swą myśl w figurze kutéj w marmurze lub odlanéj w bronzie, ale jednocześnie może ozdobić paterę wypukłorzeźbą, nadać oryginalne i piękne kształty dzbanowi cynowemu, obmyślić ozdobny złoty grzebień, lub klamrę ubraną drogiemi kamieniami, albo wycyzelować piękny pierścień. Klamka u drzwi, ciężkie okucia, wszystko to w rękach artysty przybiera kształty nowe, ozdobne i nęcące oko. Wszystko to są dzieła sztuki.

Jakaś postać ludzka, przystosowana, jako ucho dzbana, może być bardzo piękną, lecz straciłaby całą wartość, gdybyśmy ją chcieli pretensyonalnie odtworzyć naturalnéj wielkości w marmurze jako, dzieło samoistne. Naodwrót piękna figura marmurowa zmniejszona i za-

stosowana do jakiéjś bagatelki użytecznéj może się stać tylko wyrobem artystycznego straganu. Każda myśl wymaga odpowiedniéj formy, rozmiaru i materyału, w których wartość jéj najlepiéj się wyrazi.

Stare przesądy długi czas rezerwowały „Salony“ paryskie wyłącznie dla sztuki czystéj, to jest dla dzieł wykonanych bądź to w postaci obrazów, miedziorytów lub rysunków, bądź téż rzeźb, jedném słowem dzieł takich, które nie mają praktycznego zastosowania. Dziś przesądy te złamano i uznajemy dział sztuki stosowanéj czyli dekoracyjnéj, do któréj zaliczamy utwory artystów, silących się nadać formę nową, piękną i oryginalną zarówno meblom, naczyniom codziennego użytku, jak i biżuteryom, ozdobom wszelkiego rodzaju, lub bagatelkom, jak oprawy do książek i t. p.

W ten sam sposób pojmowali sztukę wielcy mistrze odrodzenia. Rzeźbili, malowali, obmyślali plany pałaców i bazylik, a jednocześnie tworzyli prześliczne kamee, pierścienie i dzbany kosztowne. Dzieła te dopiero wtedy stałyby się wyrobem przemysłu, gdyby zaczęto je odtwarzać całemi tuzinami egzemplarzy jednakowych i bez tego piętna artyzmu, jakie tylko dotknięcie ręki mistrza wycisnąć jest wstanie. Ale w podobnych warunkach i każdy obraz, każda rzeźba, reprodukowana i powtarzana w licznych egzemplarzach przez ludzi zawodowych, ale nie artystów, przestaje być dziełem sztuki, a staje się wyrobem artystycznego przemysłu. Jeśli prawdziwy artysta na każdym przedmiocie, którego dotknie, wyciska piętno swego talentu, to zwykły wykonawca nigdy nie zdoła stworzyć podnioślejszego dzieła sztuki, choćby w najbogatsze je ramy oprawił, lub najpiękniejszego doń użył marmuru.

Każda jego praca będzie nosiła cechy pospolitości swego twórcy, który nic niema do powiedzenia i żadném szczerém i serdeczném uczuciem, lub myślą, nie może się podzielić z widzami. Prace jego, chociażby nawet biegle były i poprawnie wykonane pod względem technicznym, nie będą jednak w sobie miały najważniejszéj cechy— twórczości.

Jeśli mówimy o twórczości, o myślach i uczuciach, jakiemi artysta powinien się dzielić z publicznością za pomocą swych dzieł, to nie znaczy, żeby wszystkie obrazy tendencyjne miały być artystycznemi, a wszystkie inne nie zasługiwały na tę nazwę.

Jak twórczość nie potrzebuje specyalnego materyału i formy dla swego przejawienia się, tak również każda treść, każdy temat, każdy motyw da jéj pole do zaznaczenia swéj obecności.

W malarstwie najwięcéj wątpliwości pod tym względem zwykł budzić dział pejzażowy.

Czy malarstwo pejzażowe jest tworzeniem, czy też kopjowaniem fotograficzném natury? Ileż to osób stawia sobie to pytanie!

Odpowiedź na nie jednak jest prosta. Jeśli twórczość nie leży w obranym przedmiocie, ale w samym jego twórcy, jeśli dzban pokryty ornamentacyą przez Michała-Anioła jest równie jedyném w swoim rodzaju dziełem sztuki, jak freski tegoż mistrza, to zarówno pejzaż jak obraz rodzajowy lub historyczny są dziełami, powstałemi dzięki twórczości danego artysty.

Gdyby nam to tłomaczenie nie wystarczało, postarajmy się do rozwiązania dojść odmienną drogą.

Sztukę malarską zwykle dzielą na malarstwo religijne, historyczne, rodzajowe portretowe i pejzażowe, dodając do tego poddział zwany martwą naturą, który prawie bezwzględnie ze wszystkiemi poprzedniemi działami się łączy, zmieniając tylko nazwę, i gdy tworząc samoistny obraz. zwie się martwą naturą, to będąc tylko dopełnieniem w obrazie z innego działu, nosi nazwę akcesoryi.

Działy te główne rozpadają się czasem na poddziały, wypływające z pewnych specyalnych cech sobie właściwych. I tak po części do działu historycznego, a po części rodzajowego należy dział batalistyczny, mający za zadanie przedstawiać epizody wojenne, konie i sceny wojskowe. W sztuce rodzajowéj malarze zarówno jak i rzeźbierze, przedstawiający sceny z życia zwierząt, stanowią osobny poddział. W malarstwie znów pejzażowém krajobrazy morskie tworzą grupę oddzielną,

Jeśli zupełnie słusznie została w ten sposób sztuka malarska poklasyfikowana, to najzupełniéj błędnie powstało mniemanie, że jedne z tych działów są wyższe od innych. Tak między pojedyńczymi artystami, jak pomiędzy całemi działami sztuki, takie porównania są bardzo trudne, a najczęściéj nie mają żadnéj podstawy. Porównywać ze sobą można tylko rzeczy podobne, ale całkiem się różniące jest niepodobieństwem.

Możemy porównywać wartość żelaza i stali, ale nie możemy powiedzieć, co jest lepsze: czy żelazo, czy złoto? Jeśli chodzi o odporność na wpływy atmosferyczne, to wybierzemy złoto, którego rdza nie zniszczy; jeśli jednak będziemy chcieli zrobić siekierę, to nie zawahamy się w daniu pierwszeństwa żelazu.

Tak samo nie można porównywać jednego działu malarstwa z drugim, pejzażu z portretem, obrazu historycznego z martwą natu-

rą, a nawet porównania w obrębie tego samego działu bardzo niepewnéj bywają wartości.

W każdym rodzaju malarstwa znajdziemy arcydzieła, rzeczy średniéj wartości i miernoty. W żadnym z nich człowiek pozbawiony talentu nie stworzy dzieła, mającego wartość artystyczną.

Jeżeli będziemy rozważali obraz tylko z punktu mechanicznego jego wykonania, jako tylko powtórzenie tego, co się w życiu ludzkiém lub naturze spotyka, to zarówno w pejzażu, jak w obrazie rodzajowym, lub historycznym, musimy widziéć takie samo nagromadzenie linii i barw. Czy te linie i barwy tak się grupują, że przybierają kształty góry, drzewa lub fali morskiéj, czy téż wyobrażają śmiejącą się twarz wieśniaka, lub zakutego w stal rycerza, we wszystkich tych wypadkach będzie to powtórzenie rzeczy widzianéj i zasługa biegłości rysowniczéj i malarskiéj wykonawcy. Obraz ten pojęty i wykonany, czy to pejzaż, czy obraz historyczny, nie będzie dziełem sztuki, ale wyrobem malarskim. Jednakową tu będzie zasługa pejzażysty kopiującego góry i doliny, jak tego, który posadził w swéj pracowni modela, ubranego w zbroję stalową, i wiernie go na obrazie powtórzył. Jeśli co cechuje artystę, to nie r o d z a j przedstawionego przedmiotu, ale s p o s ó b pojmowania swego zadania i powołania.

A więc autor obrazu historycznego powinien tak samo odczuć przedstawiany moment, jak pejzażysta nastrój swego pejzażu.

Burza, śnieżna zawieja, lub rozhukane morze zupełnie inny posiadają nastrój i charakter od cichego, zapadającego zmroku ciepłego dnia letniego, lub pierwszych promieni brzasku budzących naturę. Pejzażysta musi więc tę naturę poznać, odczuć, zrozumiéć i ukochać, żeby mógł oddać taką, jaką ona jest w istocie.

Nie dość tu jest powtórzyć dostrzeżone formy i barwy. Dla tego Polak z pewnością prawdziwiéj namaluje nasz las sosnowy, lub szare trzęsawisko z podlatującém stadem dzikich kaczek, niż cudzoziemiec, który naszéj natury nie zna i nie ukochał. Dla téj saméj przyczyny pewnie żaden naród nie ma tak licznych i wybornych malarzy śnieżnych przestrzeni, jak Norwegowie.

I gdzież tu jest miejsce na twierdzenie, że pejzaż jest bezmyślnie otrzymaną fotografią kolorową kawałka natury!

Są nawet tacy, którzy tolerują pejzaż jedynie j a k o tło przy przedstawianiu jakiéjś sceny rodzajowéj. Tacy ludzie z pewnością nigdy nie zrozumieją i nie doznają rozkoszy z widoku zachodzącego słońca, z budzącéj się na wiosnę zieleni, lub z całunu mgły, przez

którą przybiera fantastyczne kształty każde drzewo, każda skała, i nawet przedmioty, które w zwykłych warunkach nic nie mają w sobie pięknego, nabierają jakiegoś tajemniczego uroku.

Wszystkie te przedmioty łagodnieją, a oddalając się coraz bardziéj i bardziéj, rozpływają się w téj oponie lekkiéj i jasnéj, a jednak nieprzejrzanéj. Człowiek, który właściwych wrażeń nie doznał na widok tych zjawisk natury, doznawał prawdopodobnie w tymże czasie innych, a widok zachodzącego słońca nasuwał mu tylko przykrą nadzieję powrotu pociemku po wyboistéj drodze, a wiosenna trawa przypominała, że to najłatwiejsza pora do zapadnięcia na febrę. Tacy ludzie, nie rozumiejąc i nie kochając natury, uważają, rzecz prosta, pejzażystów za ludzi bezmyślnie kopiujących rzeczy mało interesujące.

Przedstawiając w obrazie rodzajowym twarz śmiejącego się człowieka, artysta tak samo oprócz linii rysunkowych i kolorów musi wlać w tę twarz życie i wesołość, któréj nie odczuwając, nie byłby w stanie oddać, jak pejzażysta musi odczuć i wyrazić ogólny nastrój przedstawianego widoku.

Dla uzasadnienia wyższości malarzy historycznych powiada się, że muszą oni stworzyć to, co już nie istnieje, czego żadne oko tegoczesne nie widziało, że musi ten świat przeszłości zmartwychwstać w ich wyobraźni, że muszą się doń przenieść i mimo stuleci oddzielających odczuć go i zrozumieć. Wszystko to jest najzupełniéj słuszne.

Zrobię tu tylko nawiasowo małą uwagę, że jeśli tego świata zamarłego żadne oko współczesne nam nie widziało, to raczéj jest to ułatwieniem zadania i daje artyście większą swobodę. Mniéj pewnym swego czułby się dzisiejszy artysta, gdyby swój obraz historyczny miał wystawić przed publicznością ówczesną, przed braćmi i znajomymi bohaterów odtworzonych.

Jeśli najbardziéj zgodne z prawdopodobieństwem stworzenie obrazu historycznego, jest niezaprzeczenie wielką zasługą autora, to ta zasługa nietyle spada na malarza, co na jego inny talent, talent historyka.

Bez tego talentu historyka malarz przedstawia tylko modeli przebranych w szaty magnatów średniowiecznych i jest to nie obraz historyczny, ale odtworzenie maskarady, czyli balu kostiumowego.

Żeby więc stworzyć prawdziwy obraz historyczny, artysta musi jednocześnie posiadać wykształcenie i zamiłowania historyka, lecz

nie szperacza w starych papierach, ale obdarzonego żywą imaginacyą, opartą na wiedzy. Tego rodzaju historyk, choć nie jest malarzem, równie żywo widzi w swéj wyobraźni dawne społeczeństwa, czego najlepszym dowodem są barwne opisy, jakie z pod jego pióra wychodzą.

Jeśli malarz obrazów przeszłości musi być jednocześnie historykiem, to malarz pejzażów musi być jednocześnie poetą, odczuwającym całe piękno kameleonowo zmiennéj natury.

Nadmienię tu jeszcze tylko to, że największą zdobyczą, jaką osiągnęła sztuka w XIX-ym wieku, jest posunięcie pejzażu do doskonałości, przedtém niebywałéj. Jeśli niektórzy badacze sztuki utrzymują, że żadna współczesna rzeźba nie dorównywa antykom, co zresztą jest przesadą, jeśli mistrzów Odrodzenia ogłasza się za niedościgłych, to nikt się nie znajdzie, ktoby twierdził, że pejzaż dawny wyżéj stoi od współczesnego.

Pejzaż jest dzieckiem XIX-ego wieku i nietylko, że sam powstał, ale i roztoczył swój wpływ wszechpotężny na całą sztukę naszego wieku.

Ci więc, co nie uznają malarstwa pejzażowego, przedewszystkiém nie uznają faktu społecznego, faktu niezaprzeczonego, że jeśli sztuka stanęła dziś tak wysoko, to w znacznéj części malarstwu pejzażowemu może to zawdzięczać.

Jeśli w sztuce odróżniamy malarstwo historyczne, rodzajowe, pejzażowe i t. p., to i artystów najczęściéj w podobny sposób klasyfikujemy: jednego nazywamy pejzażystą, innego portrecistą, innego znów batalistą i bywamy w wielkim kłopocie, jeśli nie wiemy, jaki z tych tytułów przyczepić danemu artyście. Klasyfikacya ta czasem jest słuszną, ale często téż i błędną.

Są artyści, i takich jest niemało, którzy ograniczają swą działalność w bardzo ciasnym zakresie, dochodzą w nim do dużego wydoskonalenia i przez całe życie temu się oddają. Zdaniem mojém, (choć się zastrzegam, że to jest pogląd całkiém osobisty) artysta, jeśli ma duszę prawdziwie artystyczną, powinien równie silnie wszystko odczuwać co jest pięknėm. Dlatego ci artyści, którzy pracują jedynie dla sztuki, a nie w widokach zarobku, uprawiają albo wiele na raz działów malarstwa, albo nawet przerzucają się do innego rodzaju sztuki, jak np. do rzeźby, lub téż z biegiem czasu zmieniają uprawiane przez siebie kierunki. Gdy ich zainteresują trudności jakiegoś działu sztuki, p ó t y pracują, póki tych trudności nie zwalczą.

Jest chwila charakterystyczna i przełomowa.

Malarz-spekulant doszedłszy z takim trudem do dobrych rezul-

tatów, stara się je teraz wyzyskać i ogranicza swą działalność, wiecznie uprawiając ten sam kierunek. Malarz-artysta postąpi najczęściéj wręcz przeciwnie.

Po zbadaniu przedmiotu, przestaje on dla niego przedstawiać nieprzezwyciężone trudności, które go dotąd zapalały, jedném słowem przestaje go interesować, a za to inne tematy i inne nowe trudności zaczynają jego uwagę przyciągać.

Rzuca więc z takim trudem zdobyte rezultaty i zaczyna się oddawać nowym studyom i nowym badaniom w odmiennym kierunku.

Pierwszy pracuje w tym kierunku, który mu idzie najłatwiéj, drugi dobrowolnie stawia na swéj drodze trudności, które następnie usiłuje zwyciężyć.

Praca dla chleba niemałą tu rolę odgrywa. Zmusza ona niejednego do zaniechania ulubionych studyów, a oddania się w zupełności tylko temu, co popłaca.

W wieku naszym gorączkowym pragnienie zdobycia jak najprędzéj stanowiska i wybicia się z pośród innych, a często ciężka konieczność pobudza do obierania potemu jak najłatwiejszéj, jak najmniéj ryzykownéj i jak najkrótszéj drogi; raz zdobywszy jakie takie rezultaty, chciałby ów artysta do końca życia ciągnąć z tego dochody i uznanie.

Jakżeż mylném jest takie rozumowanie, a jak niebezpieczną taka droga!

Po chwilowém powodzeniu, zaczynają odczuwać przesyt nawet ci, co pierwsi bili artyście brawo. Artysta taki zaczyna się powtarzać i zamiast coraz lepsze, zaczyna tworzyć coraz gorsze dzieła. Jak prędko wypłynął na wierzch, tak jeszcze prędzéj z mody wychodzi.

A przyczyną tego jest zapomnienie o najświętszéj dla artysty zasadzie: miłować sztukę dla sztuki, a nie dlatego, że przynosi dochody.

Umiłowanie sztuki dla saméj sztuki jest nierozdzielne z umiłowaniem poważnych i gruntownych studyów, z rzuceniem się odważnie do walki ze wszelkiemi trudnościami, bez wyszukiwania ubocznych ścieżek, ułatwiających pozorne zapanowanie nad trudnościami techniki.

Artysta, miłujący sztukę, bezustannie pogłębia swą wiedzę na badaniach i studyach gruntownych, które mu coraz lepiéj wyjaśniają piękno i tajniki natury.

Malarz zaś miłujący tylko dochody, cały swój spryt zuży-

wa na ich powiększenie. Sztuka jest dla niego środkiem, który przy najmniejszym wysiłku powinien dać największe rezultaty. To unikanie trudności wciąż go oddala od badań i studyów poważnych, a coraz bardziéj zapędza w labirynt sposobów i sposobików ułatwiających i prześlizgujących się po trudnościach. Im daléj jest artysta od natury, tém daléj od prawdy i doskonałości. Zręczność ręki, umiejętność trafienia do gustu publiczności zapewniają mu często większe powodzenie, niż artyście pojmującemu poważnie swe zadanie. Lecz powodzenie to — jakżeż jest nietrwałém! Trwa ono czasem tylko chwilę, a w najlepszych warunkach tylko przez ciąg życia malarza.

Gdy potomność odkrywa arcydzieła niedość cenionych za życia geniuszów i ze czcią je niesie do muzeów, to rozgłos artysty modnego ginie razem z ostatnim nekrologiem w gazetach.

Bynajmniéj przez to nie chcę twierdzić, żeby wszyscy uznani za życia artyści mieli być tylko modnymi, a wszyscy niedocenieni, żeby byli geniuszami!

To tylko jest niezbitą prawdą, że łatwiéj zdobyć popularność, schlebiając gustom publiczności, niż roztaczając przed nią swe własne, oryginalne i nowe poglądy, które tę publiczność razić muszą, bo jeszcze do nich nie przywykła.

Przejdę teraz do zadań i obowiązków ogółu publiczności względem sztuki.

Przedewszystkiém powinna się ona nią interesować.

Miéć zamiłowanie do dzieł sztuki, to znaczy posiadać umysł subtelny i wrażliwy na piękno, a kształcić i rozwijać to zamiłowanie równa się rozszerzeniu zakresu swych pragnień, które przedtém obracały się w ciasném kółku zaspakajania potrzeb elementarnych i powszednich.

Spełnienie uczynku szlachetnego jest zasługą duszy, kochającéj bliźnich, znalezienie chwili rozkoszy w podziwianiu natury, lub dzieła sztuki, jest zasługą duszy, kochającéj piękno.

Uczucia szlachetne i piękne są prawie że synonimami.

Lecz nie trzeba mieszać dwóch pojęć: *piękny* i *ładny*. Sztuka piękna nie jest sztuką ładną, a sztuka ładna nie jest sztuką piękną.

Do słowa *ładny* przywiązujemy zwykle pojęcie czegoś miłego, ale niestety najczęściéj banalnego. Nazywając mężczyznę ładnym, prawie że mu się ubliża, bo w myśli staje jako porównanie woskowa lalka fryzyerska.

Przedmiot, lub osoba ładna, wszystkim się podoba, ale nikogo żywiéj nie zainteresuje.

Piękno zaś jest pojęciem nierównie wyższém. Twarz piękna nie może być banalną maseczką woskową z karmelkowym, bezmyślnym uśmiechem. Do piękna niezbędnym jest wyraz i charakter, który nadaje téj twarzy piękno indywidualne.

Piękno przedewszystkiém leży w prawdzie.

Dlatego nie można ograniczać sztuki do tematów i scen ładnych, wesołych lub miłych. Sztuka, będąc sługą prawdy i natury, powinna poruszać wszystkie nasze uczucia, wszystko, co ludzkość odczuwać jest w stanie.

Jak obrazy wesołe rozradowywują nasze oblicza, tak straszne i smutne ściskają nam serca bólem i napełniają je smutkiem. Nie brońmy się od tych uczuć!

Odczuwać boleść, mimo że nam samym nic nie dolega, to właśnie najlepszy dowód naszego człowieczeństwa. Wzruszenie takie nas uszlachetnia, podnosi i zaszczyt nam robi. A więc sztuka może i powinna poruszać wszystko to, co krwawi duszę ludzką. Wtedy budzi ona jednych z uśpienia, innych z niewiadomości i jest posłanniczką tego, co szlachetne i sprawiedliwe.

Ograniczając się do tematów wesołych lub zabawnych, stałaby się dobrowolnie sługusem tych, co po obfitym obiedzie traktują sztukę na równi z cygarem i filiżanką dobréj kawy.

Publiczność interesując się sztuką, powinna jednocześnie starać się o wyniesienie z tego korzyści, przez rozszerzenie horyzontu swych pojęć estetycznych.

Tymczasem publiczność ta, zamiast się uczyć i kształcić gust na dziełach sztuki, zwykle z miną znawcy dzieła te krytykuje. Gdyby ona była malarzem, to by dany obraz namalowała inaczéj i naturalnie daleko lepiéj. Ona, choć się wcale malować nie uczyła, choć ani godziny swego życia nie poświęciła, zastanawianiu się, jak téż ten świat wygląda i jak należy go odtwarzać, ona, ta publiczność, od pierwszego rzutu oka na obraz widzi wszystkie jego wady, i tylko biedny autor tego obrazu jest ślepym, skoro takich błędów i nieprawdopodobieństw się dopuścił. Biedni ci malarze, którzy nawet tego nie widzą, co każdy przeciętny widz w każdéj chwili z całą uprzejmością gotów jest im wkazać!

Artyści, jako nierównie bardziéj wyrobieni i wysubtelnieni w kwestyach sztuki, muszą ją odmiennie od ogółu odczuwać i pojmować. Stąd niemal stałe nieporozumienie między artystami a ogółem.

Czy więc artyści powinni zniżyć swe wymagania i cofnąć się do pojęć ogółu, czy téż ogół powinien zrobić wysiłek, aby się jaknajbardziéj podniéść i zbliżyć do poziomu, na jakim stoją artyści w sztuce?

Odpowiedź zdawałaby się i prosta i jedyna, a mianowicie, że artyści, jako apostołowie sztuki, jako ci, dzięki którym się ona rozwija i idzie naprzód, że artyści ci powinni być przewodnikami i nauczycielami ogółu i powinni go pociągnąć za sobą tam, dokąd sami dążą, że ogół, nie pozbywając się ani na chwilę swego własnego zmysłu krytycznego, powinien się uważać za ucznia, który na dziełach sztuki swój rozwój estetyczny ma kształcić.

Tymczasem życie uczy nas czego innego. Ogół staje przed dziełem sztuki, jako sędzia. Jeśli czego nie rozumie, to nie kładzie na karb swéj niewiadomości, ale oskarża artystę o nieumiejętność i rzuca mu w oczy swe drwiny i szyderstwo.

Artyści znów często gną się przed tym wyrokiem i zamiast podniéść ogół ku sobie, zniżają się do jego pojęć w nadziei zdobycia jego łask, popularności i materyalnego powodzenia. Z apostołów sztuki zamieniają się na dostawców malowideł dla tych, co płacą.

Dlatego to we Francyi, pomimo że stała się ogniskiem ruchu artystycznego całego świata, widzimy jednak obok siebie potężnych, genialnych mistrzów i zręcznych sług gustu publiczności, a jedni i drudzy cieszą się równą sławą i równém uznaniem!

Dlatego pierwszém zadaniem naszém, stając przed dziełem sztuki, powinno być zapytanie, czy artysta był szczerym, czy stworzył swe dzieło w sposób zgodny z jego zapatrywaniami na sztukę, czy téż powodował się pobudkami niegodnemi sztuki, a więc nadzieją powodzenia, mody, trafienia do gustu publiczności i t. p.?

W pierwszym wypadku powinniśmy starać się intencye artysty zrozumiéć i wniknąć w nie, w drugim możemy obojętnie minąć to dzieło spekulanta, nic ze sztuką nie mające wspólnego.

Takie jednak odróżnienie szczerości od obłudy i modnego naśladownictwa jest rzeczą bardzo trudną, i tylko znawca może prawdę odkryć. Ogół nieświadomy wystawiony jest na ciągłe błędy i pomyłki. Wszak obłuda niema odwagi głośno się do siebie przyznać i zawsze przybiera pozory szczerości. Na odwrót, obraz namalowany z głębokiego przekonania artysty, ale w sposób odmienny, nowy i pojęty indywidualnie, może razić oko nieprzyzwyczajone do tego rodzaju obrazów i może wywołać krzywdzące posądzenie o sadzenie się na sztuczną oryginalność i reklamę ekscentryczną.

Gdy wiemy, że mamy przed sobą obraz, wyrażający szczerze to, co artysta czuł i myślał, powinniśmy przedewszystkiém starać się zrozumiéć obraz i intencye autora. To, że się komuś obraz podoba albo nie podoba, to rzecz podrzędnego znaczenia i na dobroć obrazu nic nie wpływa. Zresztą często bardzo dzieła pierwszorzędnego znaczenia nie tak łatwo od pierwszego razu zachwycą, jak banalne cacka. Weźmy tu przykład z muzyki. Publiczność, która słyszała po raz pierwszy jakąś operetkę, chwyta w lot melodyę zręcznego walczyka i nuci go z przyjemnością. Melodya staje się popularną, słyszymy ją codziennie śpiewaną i graną na każdym rogu ulicy, i to, co w pierwszéj chwili wydało nam się ładne, teraz powtarzając się, coraz większą przykrość nam sprawia.

Lecz jakże odmiennie ma się rzecz z utworami głębszéj wartości!

Opera skomponowana w odmienny i nowy sposób, że wspomnimy tu na przykład Wagnera, często spotyka się z wrogo usposobioną publicznością, lecz za to utwory takie są nieśmiertelne i słysząc je wielokrotnie, coraz lepiéj je rozumiemy i coraz więcéj piękności dopatrujemy. To samo zupełnie stosuje się do malarstwa. Wdzięczny obrazek powtórzony przez wszystkie ilustracye, zapamiętany jako rzecz milutka przez wszystkich widzów, jakże często jest tym banalnym walczykiem, który wkrótce w kąt idzie, gdy inny obraz odrzucany z wystaw, wyśmiewany, lekceważony, po latach umieszczony zostaje w muzeum, jako arcydzieło.

Że tak się dzieje często, o tém wszyscy wiedzą, ale może nie zdają sobie sprawy, dlaczego tak się dzieje?

Oto odpowiedź.

Przedewszystkiém każda najlichsza powieść znajdzie więcéj czytelników, zdolnych w niéj zagustować, niż jakieś dzieło poważne, o myśli i zakroju głębokim, które tylko niewielki zastęp ludzi jest w stanie ocenić. Stąd popularność miernoty. Każdy otacza się przedmiotami ze swego poziomu, bo tylko takie przypadają mu do gustu, a gusta są rozmaite.

Drugą przyczyną, dlaczego dzieło pierwszorzędnéj wartości może nas z początku razić, jest właśnie jego największa zaleta. Zaletą tą jest jego oryginalność. Obrazu w tym rodzaju jeszcześmy nigdy nie widzieli, więc nas razi, bo nie jest tak namalowany, jak sobie wyobrażamy, że obrazy powinny być malowane.

Aczkolwiek wszyscy mają oczy, nie wszyscy jednak umieją ich używać do patrzenia na naturę. Stąd to formują sobie pojęcie o téj naturze z drugiéj ręki, to jest formują je podług obrazów, jakie

widzieli. Dziecko ogląda pierwszą swoją książeczkę z obrazkami. Wprawdzie już nieraz widziało ono drzewa w naturze, ale nie zdawało sobie dotychczas sprawy z ich barwy. Ale w książeczce znajduje się obrazek z drzewem grynszpanowo-zieloném i od téj chwili dziecko odpowiadać będzie bez wahania, że drzewa są zielone. Pewnik ten zostanie mu na całe życie.

Oto był silny wpływ pierwszego obrazu, który wywołał wrażenie, jakiego nie był w stanie wywołać widok drzewa prawdziwego w naturze. Odtąd dopiero dziecko będzie spostrzegało, że drzewa w naturze są zielone, pomimo że często z powodu oddalenia, oświetlenia wyjątkowego i innych względów te drzewa przybierać będą zupełnie inne barwy, o w każdym razie w żadnych warunkach nie będą takiemi grynszpanowo-zielonemi, jak je ordynarny obrazek przedstawiał.

To samo tyczy się wszelkich innych poglądów malarskich na naturę. Człowiek jakiś widzi w ciągu życia setki obrazów, co mu wyrabia pojęcie, że natura tak wygląda, jak te obrazy ją przedstawiają. Silniéj na niego działa obraz zrzadka widziany, niż ta natura, na którą wprost codzień patrzy. Stąd to pochodzi, że aby wyciągać wnioski z patrzenia na naturę, trzeba przeprowadzać obserwacye samodzielne, do czego nie każdy jest zdolny, tymczasem z obrazu bierze się rzecz już gotową i obserwacye zanotowane przez kogo innego.

Czyż wszyscy z nas nie mieli sposobności zrobić następujące spostrzeżenie: ktoś z naszych znajomych ma pewien specyalny sposób w wymawianiu kilku liter, kilku ulubionych frazesów, lub ma pewne charakterystyczne ruchy w zachowaniu się. Patrzymy na tego człowieka codziennie, a jednak nie zdajemy sobie z tych cech sprawy. Dopiero, gdy jakiś dowcipniś zacznie go zręcznie naśladować, wówczas wybuchamy śmiechem i odrazu poznajemy, kto jest przedrzeźniany.

Obraz podrzeźnia naturę i przez to łatwiéj na nim odróżniamy pewne cechy natury, niż wprost z niéj czerpiąc.

Gdy tak przez dłuższy czas oglądamy różne obrazy zawsze w podobny sposób odtwarzające naturę, przychodzimy do niezachwianego przekonania, że natura tak właśnie a nie inaczéj wygląda i gdy raptem znajdziemy się przed obrazem nowego, nieznanego nam kierunku, wołamy zgorszeni: „nie,—natura tak nie wygląda! Gdzież on takie kolory widział?!” Lecz nowy ten kierunek rozwija się i coraz częściéj się spotykamy z tego rodzaju obrazami. Oczy nasze się z niemi

oswajają, aż wreszcie któregoś dnia na spacerze spostrzegamy jakiś szczegół natury, zupełnie nam przypominający to, cośmy widzieli na takim nowego kierunku obrazie.

Ogarnia nas zdziwienie i opowiadamy o tém, jako o największéj osobliwości, że ów obraz mimo całkiem błędnego wykonania (bo jeszcze dawnéj odrazy nie pozbyliśmy się), że mimo to na pewnym punkcie zgodny jest z prawdą i naturą.

A jednak takie obrazy już oddawna oglądaliśmy, a na naturę patrzymy od urodzenia! I wówczas publiczność zaczyna się godzić z nowym kierunkiem, póki jakiś jeszcze nowszy się nie zjawi i nie zacznie prowadzić walki z innemi uprzedzeniami.

Nie chcę przez to bynajmniéj dowodzić, że każdy następny kierunek musi być koniecznie lepszy i prawdziwszy od swego poprzednika. Sztuka niezaprzeczenie idzie naprzód, ale nie w tak absolutnie prostym kierunku. Nowe idee często zawodzą, czasem prowadzą na manowce, z których się trzeba cofnąć na właściwą drogę, przecież nawet takie błąkanie się nietylko, że jest nieuniknionem, ale i przynosi sztuce pożytek i wpływa na jéj postęp.

Dążymy, jak ta ćma, lotem niepewnym, wahającym się, ale zawsze ku światłu.

Dla tych to przyczyn dzieło talentu, dlatego właśnie że jest oryginalne, że nie jest setném powtórzeniem dzieł znanych, dlatego właśnie razi nieprzyzwyczajone nasze oczy. Równie dobrze mogą nas razić i dziwactwa, ale tych nicość prędko na wierzch wypływa.

Nowe kierunki codzień powstawać nie mogą, jeśli więc nazywamy jakie dzieło oryginalném, to nie znaczy, żeby miało ono być pierwszém w jakimś kierunku, czémś zupełnie nowém i niewidzianém. Dziełem oryginalném jest każde, w którém możemy odnaleźć coś, co danego artystę interesuje, co stanowi cechę jemu właściwą, a więc każde dzieło namalowane szczerze i z przekonania.

Po za oryginalnością dzieła, z którego widać, według słów Puvis de Chavannes'a, że artysta miał coś do powiedzenia ogółowi, główną cechą i zaletą każdéj pracy jest sposób, w jaki ją autor pojął.

Jak już popoprzednio wspomniałem, każdy pomysł, aby najkorzystniéj się wyrabiał, musi być obleczony w najodpowiedniéjszą mu formę, z użyciem najodpowiedniejszego dlań materyału.

Weźmy przykład z rzeźby: to, do czego najodpowiedniejszym będzie bronz, do tego marmur może być niewłaściwym. Kompozycya

maleńka, znacznie powiększona — stanie się banalną, a gdy zmniejszymy inną, wielką, może stracić całą siłę i powagę. Figura ornamentacyjna nie utworzy samodzielnéj kompozycyi, a jeśli z samoistnie obmyślonéj figury zechcemy zrobić fragment ornamentacyjny, to utworzy się kawałek, nie mający dostatecznéj łączności z resztą całości ornamentu. Mówię tu o formie i sposobie przedstawienia czysto materyalnym, lecz po za nim istnieje téż forma myślowa, w jakiej artysta kompozycyę swą przedstawia.

Jeślibyśmy zebrali grono utalentowanych bardzo artystów i wezwali ich do przedstawienia w rzeźbie człowieka zrozpaczonego, to jest figury, któraby uosabiała samą rozpacz jak najlepiéj, wówczas możeby każdy z tych rzeźbiarzów stworzył arcydzieło, ale napewno każdy by stworzył rzecz odrębną i niepodobną do innych.

W téj odrębności wyraziłby się sposób, w jaki każdy artysta pojął człowieka zrozpaczonego. Ten sposób odrębny pojęcia byłby dowodem wybitnéj indywidualności twórcy dzieła.

Zbobycie się na tę indywidualną oryginalność jest bardzo trudne i musi być uznane za wielką zasługę i wysoką miarę talentu artysty, gdyż jeśli dziecko jest przez długi czas pod wpływem obrazka z grynszpanowemi drzewami, jeśli publiczność jest pod wpływem widzianych w ciągu życia obrazów i podług nich wydaje sąd o świeżo obejrzanych, to artyści, kształcąc swój gust i pojęcia na arcydziełach, zgromadzonych przez wieki, przejmując się widokiem tych arcydzieł daleko silniéj niż kto inny i odebrawszy swe wykształcenie artystyczne pod kierunkiem profesorów, zwykle będących wybitniejszymi artystami, musowo są pod wpływem tego, czego ich nauczono, co widzieli i co im imponowało lub zachwyciło, a następnie tworząc sami, nie mogą się z pod tego wpływu otrząsnąć. Dlatego najczęściéj prace z pierwszych lat artysty noszą widoczne ślady wszystkich tych wpływów, a gdy myśl i talent coraz bardziéj dojrzewa, prace również stają się coraz bardziéj indywidualnemi i oryginalnemi.

Dlaczegóżby wpływ profesorów-artystów wybitnych, a tém bardziéj dlaczego wpływ arcydzieł pierwszorzędnych miałby obok kształcenia smaku posiadać i tyle stron ujemnych?

Wpływ ten o tyle jest dobry i niezbędny, o ile rozwija myśl, smak, poczucie piękna, i o ile rozszerza horyzonty przed niedoświadczonym uczniem. Ale wszystko to są środki, mające z niego samego stworzyć przyszłego mistrza, myślącego i tworzącego samo-

dzielnie, nie zaś przytłumiać w nim wszystko, co bez tych wpływów mogłoby się rozwinąć.

Wpływ potężnych talentów wywołuje zwykle szereg naśladowców. Naśladowcy ci najczęściéj tylko ujemne, albo drugorzędne cechy swego mistrza są w stanie sobie przyswoić, i stąd powstaje szereg obrazów o niewielkiéj, lub nawet żadnéj wartości artystycznéj.

Weźmy dla przykładu Matejkę. Talent to był ogromny, całkiem oryginalny i samoistny. Znakomita technika malarska łączyła się z umysłem głębokim psychologa duszy ludzkiéj. I zaczęli się tworzyć między młodszymi malarzami naśladowcy mistrza. Będąc dyrektorem szkoły sztuk pięknych w Krakowie, miał on łatwość oddziaływania bezpośrednio na młodzież artystyczną. Młodzież pod wpływem dzieł Matejki zaczęła tworzyć obrazy *à la* Matejko. Lat upłynęło już dosyć, żeby wolno było zapytać, gdzież mamy choć jednego nowego Matejkę, któryby podniósł paletę, wypadłą z zastygłéj ręki mistrza, i w dalszym ciągu prowadził jego dzieło?

Oglądamy się wokoło, lecz napróżnobyśmy szukali.

Zjawiały się kiedyś obrazy, przypominające obrazy mistrza jaskrawością barw, wyborem tematu i innemi zewnętrznemi cechami, lecz gdy te cechy u Matejki były charakterystycznemi i harmonizującemi z całością, u naśladowców raziły i wykazywały tylko bezkrytyczność naśladowniczą. Trwało to chwilę i znikło. Każdy z wybitniejszych uczniów Matejki poszedł swoją własną drogą, bo miał dość siły na to, żeby się nie czepiać cudzego płaszcza i nie dreptać po ścieżkach wydeptanych juz przez innych.

Każde dzieło sztuki powinno być tak skomponowane, żeby jak najjaśniéj wyrażało to, co artysta pragnął widzowi przedstawić.

Artysta więc musi przy komponowaniu odnaleźć wszystkie cechy malarskie danéj kompozycyi. Jeśli dzieło samo przez się jasno wyraża myśl artysty, to wszelkie tytuły są rzeczą zbyteczną. Im dłuższych komentarzy obraz wymaga, tém widoczniejszém jest, że artysta nie potrafił swéj myśli dobrze wyrazić. Dodam tu w nawiasie, że najlepiéj pojęta kompozycya będzie niozrozumiałą dla takiego widza, który nie może się zdobyć ze swéj strony na pewną pracę mózgową. Są ludzie pełnozmysłowi, a mimo to trzeba im z trudem tłómaczyć rzeczy najzupełniéj zrozumiałe dla innych.

Żeby zrozumiéć dzieło sztuki, trzeba się niém zainteresować. Kto obojętnym wzrokiem błądzi po ścianach wystawy, kto równą

uwagę zwraca na ramy, kartki z cenami, jak na same obrazy, ten, rzecz prosta, nie może żadną miarą zrozumiéć dzieła sztuki.

Szersza publiczność przedewszystkiém domaga się od obrazu bajeczki.

Obraz bez widocznéj historyjki nie jest dla niéj dziełem interesującém. Natomiast zupełnie nie dostrzega i nie odczuwa jednéj z pierwszorzędnych cech każdego obrazu, a mianowicie nie zastanawia się nad tonem ogólnym obrazu lub jego nastrojem.

Tonem ogólnym obrazu jest ta umiejętność wytworzenia niezmiernéj harmonii barw poszczególnych oddzielnych przedmiotów, które łączą się w obrazie w jedną nierozdzielną i zgodną całość, w ogólne harmonijne zabarwienie obrazu. Obraz nie jest zbiorem ani mechaniczném zestawieniem różnych pojedyńczych przedmiotów.

Jak w muzyce każdy utwór musi być przeprowadzony w pewnym ogólnym tonie i żadne uderzenie klawisza z pod téj reguły nie może się wyłamać, tak samo to prawo stosuje się do obrazu. Takie pojęcie obrazu wywołuje na widzu wrażenie pewnego nastroju, bądź to materyalnego lub uczuciowego.

W obrazie przedstawiającym rozległe łąki z odbijającém się w wodzie gorącém niebem zachodu trzeba przedewszystkiém oddać ten ogólny nastrój, w jakim się natura znajduje w chwili zachodzącego słońca. Najdrobniejszy szczegół takiego obrazu nie może przypominać ani swoją barwą, ani sposobem wyodrębniania się z pośród innych, tego samego szczegółu, ale w inném oświetleniu, dajmy na to dzienném.

Nastrój uczuciowy otrzymujemy drogą podobną. Ten zachód spokojny słońca, ta cisza tafli wodnéj, ciemne nieruchome sylwety drzew na jaskrawém jeszcze niebie, gdy barwa łąk coraz mroczniejszą się staje, wszystko to musi w widzu wrażliwym wywołać ten nastrój duszy spokojny.

Widz, gdy nie może obrazu zrozumiéć, nie powinien się odeń odwracać z niechęcią, ale właśnie uczynić wszelki wysiłek, żeby go zrozumiéć. W ten tylko sposób może swój zmysł piękna rozwijać i kształcić.

Wolę jednak błędne i wypływające z nieświadomości krytykowanie bezwględne, niż udawanie znawstwa w sztuce i silenie się na zachwyty nad tém, czego się nie rozumie, a chwali tylko jedynie dla tego, że jest to modne.

Pierwsze jest szczerém: — jest się sobą, ma się swą indywidualność; a drugie jest tylko brzęczeniem nakręconéj pozytywki. Nie

zabijajmy w sobie zmysłu krytycznego, nie udawajmy zachwytu nad rzeczą, która się nam nie podoba, ale téż i nie zamykajmy się w samych sobie, admirując swą nieomylność sądu. Nie mówmy nigdy, że to, co nam się nie podoba, musi być złém, ale przypuśćmy raczéj, że nie jesteśmy w stanie intencyi artysty zrozumiéć, i starajmy się zrobić pewien wysiłek w tym kierunku.

Jednym ze sposobów ocenienia wartości obrazu jest do pewnego stopnia siła wrażenia, jakie na nas zrobił, to jest, o ile on się w naszych wspomnieniach utrwalił. Obraz namalowany z talentem zostawi w umyśle naszym jakieś wspomnienie. Tylko tuzinkowe malowidła ogląda się i w téjże niemal chwili zapomina się je zupełnie. Obraz oryginalny, namalowany z talentem, zwraca naszą uwagę na siebie.

Czasem nam się podoba, czasem wprawia nas w pewne zakłopotanie co do wydania sądu, a czasem nawet wprost nas razi. Mimo to wszystko wrażenie po nim zostaje. To zapamiętanie obrazu, to dowód niezbity, że zrobił na nas wrażenie, a czegóż mamy prawo żądać od dobrego obrazu, jeśli nie wrażenia? Jeśli to wrażenie było nawet niekorzystne, to być może, że z czasem zmienilibyśmy nasze zdanie. Wprawdzie i nieudolne potworki sztuki téż można zapamiętać, ale wówczas nie sam obraz, ale nieudolność jego wykonania zaznaczy się w pamięci.

Przechodząc do praktycznych zadań i obowiązków publiczności względem sztuki, zaznaczę tylko, że ta powinna sztukę popierać, a nie stawiać jéj przeszkód, a wszelkie zmuszanie artystów do schlebiania jéj gustom jest to wpływanie na obniżenie jéj poziomu. Nie wszyscy artyści mają takie środki materyalne i hart woli, żeby się oprzeć wymaganiom publiczności. Ogół znakomitszych artystów europejskich musiał walczyć lata całe bez uznania i pod pręgierzem szyderstw krytyki i publiczności. Wiemy o tych, którzy wytrwali i zwalczywszy wszelkie trudności, nareszcie zostali ocenieni, czy to za życia, czy to dopiéro po śmierci, ale nic nie wiemy o tamtych, a pewnie ich jest więcéj, których niepowodzenia zwyciężyły, albo którzy z drogi prawdziwéj sztuki zeszli dla kawałka chleba do szeregu wyrobników pędzla.

Aby artystów zrozumiéć i ocenić, trzeba ukochać samą sztukę i wszystko, co piękne. Dlatego nie dość od czasu do czasu, zajrzéć na wystawy obrazów.

Aby wyrobić sobie zmysł piękna, trzeba być otoczonym ciągle i od dzieciństwa przedmiotami sztuki. Trzeba z tém Pięknem spoufalić się w codzienném, powszedniém życiu. Każdy przedmiot,

każdy sprzęt, którego się dotykamy, powienien mieć piękne, harmonijne kształty. Bynajmniéj tu nie chodzi o kosztowność i przeładowanie ozdobami, bo to również jest wręcz przeciwne pojęciu piękna, jak niezdarne formy przedmiotów pospolitych, ale każdy przedmiot powinien mieć wdzięk sobie właściwy. Nie chodzi tu o żadne malowidła na atłasach i jedwabiach, które częściéj szpecą niż zdobią, lub o upstrzenie przedmiotów nieodpowiedniemi rzeźbami czy innemi niby to upiększeniami. Rozwinąwszy w sobie poczucie harmonii i piękna, będziemy z tém pięknem spoufaleni i łatwiéj go pod postacią obrazów odczujemy.

Pozostaje mi jeszcze określić zadanie krytyki.

Krytyka, jak już powiedziałem, jest niczém inném, jak pośrednikiem ułatwiającym porozumienie między sztuką i publicznością.

Nie zawsze krytyka była taką, jak jest dzisiaj.

Za czasów, kiedy chciano sztukę ująć w ciasne ramy przepisów i formułek, krytyk udawał się na wystawę uzbrojony erudycyą, wspomnieniem arcydzieł muzealnych i całą paką przepisów estetycznych.

Te niby estetyczne przepisy, a właściwie zbiorowisko ukutych, banalnych najczęściéj formułek były niejako łożem Prokrustowém, na którém kładło się po kolei każde dzieło sztuki. Jak na łożu Prokrusta kładziono podróżnych i zbyt krótkim wyciągano nogi ze stawów aż do długości łoża, a zbyt długim obcinano tyle, ile było nadto, tak tutaj próbowano każde bez wyjątku dzieło przystosować do ukutych raz na zawsze formułek. Jeśli dzieło sztuki wytrzymało próbę, uznawano je za dobre, jeśli zaś swą odrębnością i oryginalnością nie zgadzało się z owemi przepisami chińskiemi, wówczas artystę odsądzano od talentu, a dzieło skazywano na banicyę ze wszelkich przybytków sztuki.

Taki sposób sądzenia w imię niezachwianych zasad piękna zaczął dawać fatalne rezultaty. Uznani za wierne sługi Apollina okazywali się często miernotami, a krnąbrni i wypędzeni ze świątyń sztuki zostawali po pewnym czasie uznani przez ogół za mistrzów.

Zmieniano więc i poprawiano ten stos recept, podług których oceniano dzieła sztuki, ale nie wiele to pomogło. Wówczas zaczął się budzić prąd wręcz przeciwny: prąd krytyki indywidualnéj.

Jak poprzednio zjawiano się do oceny dzieła z całym kodeksem gotowych formułek artystycznych, tak późniéj stara no się o wszystkiém zapomniéć i oddać tylko całkiem indywidualne wrażenie, jakie

dzieło sztuki na krytyku zrobiło. Epoka takiéj krytyki jeszcze podziśdzień kwitnie.

Lecz jak pierwsza tak i druga forma krytyki nie ma żadnéj słuszności.

Jeśli każdy talent im jest oryginalniejszym tém odmienniéj się wyraża od innych i nie może być przymierzany do jakiegoś fantastycznego, idealnie dobrego obrazu, któryby miał być nieomylną wskazówką dla wszystkich powstających obrazów, tak również wrażenie osobiste krytyka, to jest jego: „podoba się" lub „nie podoba się" zupełnie jest obojętne dla ogółu czytającego jego sprawozdanie.

Jeśli weźmiemy dziesięć takich krytyk z dziesięciu pism odmiennych, to się dowiemy o osobistym guście krytyków A. B. C. i Z., nic jednak nie będziemy wiedzieli o najważniejszéj sprawie, t. j. o samym obrazie i poglądach jego twórcy.

Tak jest: nie można dla sztuki wynaleźć wspólnéj miarki generalnéj.

Trzeba wydawać sąd indywidualny, tylko z tą różnicą, że ta indywidualność nie tyczy się osób krytyków, ale samych dzieł krytykowanych, t. j., że krytyk nie powinien rozwodzić się nad własną indywidualnością, nad własnemi gustami i antypatyami, ale nad zrozumieniem indywidualnych cech samego dzieła i na objaśnieniu ich szerszéj publiczności.

Nikogo nie obchodzi, czy obraz krytykowi przypada do gustu, ale każdy musi dla zrozumienia dzieła odczuć, co artysta przez nie chciał wyrazić.

Błędnie u nas pojmują nawet sam wyraz krytyka, krytykowanie.

Krytykować kogo — rozumie się jako synonim ganienia.

Tymczasem krytyka doskonale zastąpioną może być polskiém słowem: sprawozdanie. A więc zadaniem krytyka jest dać sprawozdanie z tego, co widział. Słowo sprawozdanie nietylko niema w sobie nic, coby uprzedzało z góry o rodzaju sądu, który zarówno może być pochlebny jak niekorzystny, ale nawet słowo to — sprawozdanie — wcale żadnego sądu, a raczéj wyroku nie wymaga. Gdybychodziło o sąd, to tego rodzaju artykułów nie nazywalibyśmy sprawozdaniami ze sztuki ale „osądzeniami". Słowo — sprawozdanie — doskonale obowiązki krytyka określa, a mianowicie: przedstawić rzecz jak najobjektywniéj z możliwém wstrzymaniem się od wyrażania osobistych własnych gustów.

Teraz przypomnijmy sobie dla kogo istnieje krytyka.

Jedni twierdzą, że dla artystów, inni, że dla publiczności, jeszcze inni, że dla nich obu razem.

Jaki wpływ może mieć krytyka na artystów?

Jeśli jest pochlebna, może dodać odwagi do dalszego borykania się z trudnościami, jak zresztą każde życzliwe słowo musi zachęcać. Krytyka ganiąca może tylko osobiście rozgoryczyć jednych, osłabić energię i zniechęcić innych, a pozostawić obojętnymi trzecich.

I rzeczywiście, weźmy do ręki kilka dzienników z krytykami tak zwanemi indywidualnemi o dziele nowém i artysty całkiem nieznanego, a właściwiéj mówiąc niewiadomego.

Krytyka w takich razach nie ma gotowéj utartéj miarki z zachwytami dla sławnych, z oględną aprobatą dla młodszych, a z protekcyjną łaską lub z szyderstwem dla rozpoczynających. Nie mówię tu o krytyce przedajnéj, jaka jest pospolita zagranicą, ale o krytyce uczciwéj, jednak musowo podpadającéj jak wszystkie czyny ludzkie pod wpływ faktów postronnych, upodobań indywidualnych i t. p.

Gdy więc krytyce wypadnie ocenić dzieło bezstronnie, to jest nie znając autora i nie wiedząc o nim ani słówka, a więc nie mogąc przystąpić do oceny z opinią przygotowaną przez postronne, obce sztuce czynniki, wówczas krytyka musi wydać sąd względnie najbezstronniejszy. Jakiż to sąd będzie?

W pięciu gazetach znajdziemy pięć zwykle odmiennych, a często przeczących sobie opinii. To, co jeden gani, drugi chwali, autorowi nie szczędzi się słów zachęty lub przygany, a szczególniéj mnóstwa rad na przyszłość i objaśnień, jakby każdy z krytyków zmienił ten obraz, gdyby był jego autorem. Jeśli wyrażanie takich opinii miałoby mieć jakąś wartość, to tylko wtedy, gdyby była nadzieja, że artysta posłucha udzielonéj mu rady. Lecz choćby artysta jak najgoręcéj pragnął rad tych posłuchać, znalazł by się w bardzo trudném położeniu dla téj prostéj przyczyny, że najczęściéj rady byłyby wielce różne, a jedna drugiéj by przeczyła. Na szczęście artyści mało są skłonni do ustępstw. Mam tu, rzecz prosta, na myśli tylko rzeczywistych artystów, nie zaś tych, którzy tylko czekają skinienia, aby się przystować do wymagań publiczności i krytyki, i baczą z któréj strony wiatr wieje.

Ci co opinii i zdania własnego nie mają, łatwo bardzo je mogą zmieniać ku zadowoleniu publiczności, a wygodzie własnéj.

Artyści jednak prawdziwi, jeśli są nimi, to dla tego, że mają pewne poglądy silnie ugruntowane, pewne zapatrywania i ideały, którym służą i do których dążą. Każdy z nich dąży do jakiegoś

ukochanego przezeń celu i każdemu wydaje się, że ma pewne święte zadania do spełnienia wobec sztuki. Tylko taka wiara i takie gorące przekonanie jest w stanie pobudzić artystę do rzetelnego ukochania sztuki i służenia jéj.

Gdyby więc nawet krytyka była jednomyślną, to prawdopodobnie nie strąciłaby go z obranéj drogi, a jeśli by to nastąpiło, to ze stratą dla sztuki, bo każdy czuje po swojemu i za siebie i nikt nie może narzucić innemu swych poglądów i gustów. Kto zaś własnych poglądów i przekonań nie ma, ten jest zerem, którego skierowanie na inną drogę żadnéj usługi sztuce oddać nie może.

Tak więc przychodzimy do przekonania, że wystąpienia krytyki mogą artystów osobiście zadowolnić lub rozgoryczyć, lecz na samą twórczość artystyczną albo nie mają wpływu, albo mogą miéć tylko ujemny. Rzadko kiedy artysta znajdzie w krytykach pisanych o jego dziełach coś, co wpłynie na jego udoskonalenie się, lub co mu otworzy oczy na błędność obranego kierunku. Jeśli jednak coś podobnego zdarzy się, to jedynie dla tego, że jest to tylko uświadomieniem tego, co już dawno w nim samym nurtowało, aby spowodować pewien zwrot w jego twórczości. Krytyka więc raz na zawsze powinna skwitować z narzucania swego zdania artystom.

Zadaniem krytyki nie jest chwalić, lub ganić, ale zrozumiéć dzieło sztuki i zrozumiawszy, ułatwić następnie to zrozumienie publiczności mniéj od krytyków przygotowanéj.

Krytyk więc powinien być inteligentnym pośrednikiem myślowym między publicznością i sztuką, powinien zapomniéć o swych gustach osobistych i starać się jednakowo umiéć przeniknąć i zrozumiéć k a ż d y kierunek choćby mu niesympatyczny, a zrozumiawszy dążenia tego kierunku i intencye artysty, zdać z tego sprawę ogółowi. Tak pojęta krytyka stoi na wysokości swego zadania i spełnia ciężący na niéj obowiązek.

Ale na to, żeby być w stanie każdy kierunek w sztuce, każde intencye poszczególnego artysty odczuć z obrazu, trzeba się na sztuce znać wybornie i trzeba być samemu artystą. Mało kto inny jest tak wtajemniczony w przedmiot, żeby mógł spełnić dobrze to zadanie.

Jednak dla krytyka niespecyalisty, który sądzi, że dla wygłaszania swych opinii o sztuce wystarcza para oczów i trochę zręczności literackiéj ze słowniczkiem technicznych warazów, któremi się sypie jak najczęściéj, dla takiego krytyka głębsza analiza obrazu jest niedostępna, więc nic dziwnego, że musi się ograniczyć na

zwierzaniu się przed publicznością ze swych osobistych sympatyi i guścików.

Taka krytyka nietylko że na artystów niema wpływu, ale i publiczności w niczém poinformować, ani pouczyć nie jest w stanie.

Ale oto pewien punkt krytyki, który jest błędném kołem, z którego pewno nigdy nie wyjdziemy. Krytyk wykształcony, ale nie bądący jednocześnie artystą, może być dość objektywnym, ale zamało zna stronę techniczną sztuki, za to znów krytyk-artysta zabardzo jest przywiązany do tego kierunku, jaki sam uprawia, żeby bezstronnie mógł myśléć o innych kierunkach w sztuce.

Krytykiem więc najbardziéj zbliżonym do ideału byłby chyba taki, który jako artysta znałby sztukę do gruntu, a jednocześnie, któryby podczas pisania krytyki potrafił zapomniéć o własnych tendencyach i o tém wogóle, że sam jest artystą i twórcą szeregu obrazów.

Na krytyce sumiennéj spoczywa jeszcze ważny obowiązek pobudzenia szerszéj publiczności do zainteresowania się sztuką i do coraz większego jéj ukochania. Nie chodzi tu o chwalenie rzeczy złych lub słabych, o wprowadzenie jéj w błąd pod tym lub innym względem, bo to by tylko szkodliwy wpływ miało, ale o właściwe zaznaczenie każdego szczerego usiłowania artysty, zamiast o obniżanie wartości wszystkiego i wszystkich.

Nie przez ośmieszanie lub niemiłosierne i niesprawiedliwe nicowanie naszéj sztuki zdołamy wyrobić zamiłowanie do niéj w szerszym ogóle.

Każda praca ludzka jest ułomną. O tém powinniśmy wiedziéć z góry. Więc zamiast szukać samych usterek, samych braków i to często tylko w imaginacyi krytyka istniejących, powinno się ten wysiłek pracy artysty sprawiedliwiéj ocenić i przedewszystkiém zwrócić uwagę na te dodatnie strony obrazu, gdzie artysta szczęśliwie wywiązał się z zadania.

Ani przez tendencyjne i banalne pochwały, ani téż przez bezwzględne potępienia, krytyka nie wykształci smaku i nie rozbudzi zamiłowania ogółu do sztuki.

W krytyce trzeba rozróżnić dwa działy: sprawozdania i badania. W pierwszych krytyk obowiązany jest zapomniéć o swych osobistych upodobaniach, a zająć się indywidualnością samego dzieła sztuki i intencyami autora. Za to w studyach oderwanych nad sztuką i estetyką, w badaniach nad możliwie najlepszém uświadomieniem sobie prawdy, co jest ideałem piękna i sztuki, w badaniach takich krytyk naturalnie odzyskuje zupełną niezależność

w wypowiadaniu osobistych przekonań, nic nie mówi już bowiem o pojedynczych obrazach, ale o całéj sztuce i jéj celach. Rola krytyka w tych dwóch wypadkach jest najzupełniéj odmienną. W pierwszym jest on niejako autorem, którego jedynym obowiązkiem jest oddanie wierne intencyi aktora scenicznego, choćby te intencye nie zgadzały się z jego przekonaniami, w drugim—jest on sam autorem, który samodzielnie tworzy i bada. Krytyk zatém artystyczny w pierwszym wypadku jest tylko sprawozdawcą, a w drugim badaczem sztuki.

Niech więc każdy stoi na właściwém stanowisku: niech artyści służą sztuce i nikomu więcéj tylko sztuce; niech krytyka im ułatwia zrozumienie się z publicznością, a ta ostatnia niech kształci swój smak i zamiłowanie, a sztuka będzie się u nas rozwijała i kwitła na pożytek wszystkim.

Antoni Austen.



Percy Bysshe Shelley.

Z NIETŁÓMACZONYCH POEZYI.

Elegia.

Gdy się lampa rozbija,
W prochu ziemi jéj blaski wraz giną...
Tęcza łuk swój wnet zwija,
Gdy się chmury w błękicie rozpłyną...
Kiedy lutnia się skruszy,
Słodką nutę czyż pamięć przechowa?
Zapomniane wnet w duszy
Zamierają czarowne ust słowa.

Tak jak światło i nuta
Nie przetrwają ni lampy ni lutni —
Pieśń nie będzie odczuta,
Gdyśmy duchem upadli i smutni...
Chyba smętny jęk dumy,
Niby wicher, co w ruinach przewiewa...
Niby morza fal szumy,
Co żeglarzom pogrzebną pieśń śpiewa.

Kiedy serca raz skusi,
Z gniazdka miłość uchodzi wnet płocha,
A katusze znieść musi
Słabsze serce co kochało i kocha...
O miłości! ślesz żale
Na niestałość wszechstworzeń téj ziemi,
A najsłabsze z nich stale
Twą kołyską jest i mary twojemi.

Jak kruki burz poświsty
Ukołysze cię ból tego serca...
Jak słońce błękit mglisty
Zimą — wydrwi rozsądek szyderca...
Twoje orle siedlisko
Runie w proch i ciebie obnażoną
Zostawi na pośmiewisko,
Gdy liść spadnie, zimne wiatry gdy wioną!

Do * * *

Kiedy melodya cudna skona,
W pamięci jeszcze dźwięczy ona
I gdy fijołków uschnie kwiecie,
Ich woń nie ginie w zmysłów świecie.

Gdy róża umrze — liść zerwany
Do łoża kładę ukochanéj...
Tak pod wspomnieniem myśli twojéj
Gdy ujdziesz — miłość się ukoi!

Księżyc.

I jak niewiasta w biały kwef spowita,
Z któréj lic cierpień blizki kres się czyta,
W obłędzie rzuca łoże swe po nocy
I chwiejąc się ostatkiem błądzi mocy—
— Księżyca bryła nieforemna, biała
Na mrocznym wschodzie horyzontu wstała.

Strofa.

Czy śród jesiennych błąkam się pomroczy,
W posępnym liści umarłych szeleście...
Czy w luby wiosny błękit utkwię oczy —
Nic nie dostrzegam z dawnych chwil przebiegu!
Zdumiewający zimy mrozie śniegu,
I lata chmury — teraz gdzież jesteście?

Przełożył z angielskiego *Władysław Nawrocki.*



Listki z pola wiedzy.

II.

Postępy na polu astronomii i ich doniosłość. — Prace odnoszące się do Marsa. — Ciemne plamy, dostrzegane na tej planecie, nie są morzami. — Opinie Flammariona.—Objaśnienie plam na Marsie przy pomocy kinetycznej teoryi gazów.—Co to jest prędkość krytyczna? — Na Marsie niema ani wody, ani wodoru. — Dowody nizkiej temperatury atmosfery na tej planecie.—Kwas węglowy ciekły zastępuje wodę.—Śniegi polarne na Marsie.—Brak życia organicznego, przynajmniej zwierzęcego.—Możliwość istnienia tam roślin odmiennej organizacyi, niż na ziemi.—Kwas węglowy ciekły może zastępować wodę w budowie tkanki komórkowatej roślinnej na Marsie, dostarczać potrzebnego do tej budowy materyału, a tem samem podtrzymywać to życie roślinne, jakkolwiek w odmienny sposób, jak na ziemi.—Co możemy powiedzieć o księżycu oraz o olbrzymie planet—Jowiszu, na podstawie kinetycznej teoryi gazów?—Świat Saturna.—Jego księżyce.—Dzielenie się jego pierścieni.—Inne planety. — Ziemia nasza pozostaje pod wpływem licznych ruchów, nieznanych poprzednio.

Jedną z najważniejszych nauk jest niezaprzeczenie astronomia, badająca prawa rządzące wszechświatem.

Matematyka, to królowa nauk, jak powiedział Jan Śniadecki. Astronomia, opierająca się przeważnie na matematyce, nauka, którą zajmowano się od najdawniejszych czasów, musiała w ciągu tego długiego szeregu lat zrobić postępy olbrzymie, zadziwiające. W samej rzeczy zbadała przestrzenie niezmierzone,—światy niedostępne dawniej dla człowieka, wyjaśniła fizyczną i chemiczną budowę tych

światów, czyli innemi słowy—wyrażając się językiem K. Flammariona—przepowiedziała ich przyszłość, określiła przeszłość, zapanowała nad przestrzenią i czasem.

Ale zakres działania jéj jest tak wielki, że pomimo tych zadziwiających rezultatów, do jakich już doszła, prowadzone bezustannie prace na tém polu znaczą corocznie nowe postępy, nowe odkrycia w jéj dziedzinie.

Ze wszystkich prac w roku ostatnim, w dziedzinie astronomii dokonanych, pierwszeństwo należy się bezspornie tym, które miały za przedmiot badania planetę Marsa. Zmiany, jakie ciągle mają miejsce na Marsie, po raz pierwszy zauważone były przed 20 przeszło laty przez Kamila Flammariona. Zmiany te zyskują coraz większe znaczenie, stają się coraz oczywistsze, wątpliwości nie ulegające, a jednak coraz bardziéj zagadkowe.

W listopadzie 1896 r. astronom wspomniany, razem z Antoniadim, robił obserwacye nad rozszerzaniem się i rozdwajaniem plamy, leżącéj w punkcie przecięcia się dziewięciu kanałów, czyli tak zwanego rozdroża Charona (*Trivium Charontis*). Niektórzy astronomowie uważają całą tę przestrzeń za jezioro, inni za oazę. Przestrzeń to tak znaczna, że ma przeszło 600 kilometrów w średnicy, czyli jest tak wielka, jak połowa Francyi. Raz zwiększa się, drugi raz zmniejsza, to znowu zmienia kształt swój, lub dzieli się na dwie części, czyli przedstawia szereg zmian prawdziwie zadziwiających.

Schiaparelli badał te zjawiska jeszcze w r. 1884, ale wtedy dwa „jeziora" były kwadratowe, prostokątne; ostatni raz były okrągłe! Czegoś podobnego na ziemi niema. Czy zjawiska te wywołuje woda, czy roślinność, czy téż podwójne załamanie się promieni światła? Zjawiska te, powiada Flammarion, przedstawiają bez wątpienia coś innego, jakiś fenomen niepodobny do zjawisk ziemskich i dla nas nieznany. Ale są zagadki jeszcze ciekawsze. Morza na Marsie według wszelkiego prawdopodobieństwa nie są morzami. Według obserwacyi Lionela, morza te przecięte są pewnemi kanałami, które się ciągną w kształcie ciemnych linii, a także pewnych dróg, przedstawiających się jak linie jasne. Ale ani kanały, ani drogi nie mogą przecinać mórz.

Przestrzenie te, uważane za morza, są to prawdopodobnie równiny pokryte roślinnością i zraszane kanałami. Dzisiejsze morza,—powiada Flammarion, jak np. morze lodowate południowe, znajdują się w bezpośrednim związku ze śniegami i obserwowane przy pomocy polaryskopu wykazują ślady polaryzacyi. Tymczasem morze Marsa nie objawia najmniejszych śladów polaryzacyi i z większą

pewnością mogłoby być uznane za morze piasczyste. Na morzach Marsa nigdy nie spostrzeżono odbicia się słońca, co naprowadza na wniosek, że przestrzenie na Marsie, uważane za morza, nie są morzami. Odbicie słońca mogłoby być obserwowane i przedstawiałoby się, jako świécący punkt, mający $^1/_{22}$ sekundy w średnicy, podobny do gwiazdy 3-éj wielkości. Takie odbicie bez wątpienia powinno było być widziane, gdy tymczasem nigdy go nie zaobserwowano przy pomocy najsilniejszych instrumentów optycznych.

Jeżeli zatém pomienione przestrzenie na Marsie nie są morzami, to zachodzi pytanie, co to są za ciemne plamy, różne co do wyglądu, obszerności i kształtów, w których bez wątpienia woda albo wilgoć mają bardzo ważne znaczenie?

To morze piaskowe, powiada daléj w swojém sprawozdaniu Flammarion, przedstawiające się pod postacią wielkiéj plamy i mające kształt rzymskiéj cyfry V, po raz pierwszy było obserwowane przez Huygensa i odtąd przy obserwacyach wykazywało różną wielkość Od r. 1864 do 1877 przedstawiało się bardzo wązkiém. Na lewo od morza piaskowego, na bardzo dalekiéj odległości, oddzielało się jezioro Moeris, łączące się z morzem piaskowém ciemnym pasem. Następnie brzeg wschodni zaczął się rozszerzać.

W r. 1879 i 1882 dosięgło połowy pierwotnéj odległości, oddzielającéj morze od jeziora. W r. 1884 i 1890 morze prawie złączyło się z jeziorem. Nakoniec w czasach ostatnich, w grudniu 1896 r., jezioro zostało w zupełności pochłonięte przez morze. Według obserwacyi astronomów, nietylko morze zmieniło swoją pozycyę, ale i jezioro posunęło się na prawo, czyli że każde z nich było w ruchu.

Czém objaśnić podobne zmiany?—pyta uczony astronom.

Pomimo bujnéj nieraz fantazyi, nie licującéj z powagą astronoma, nie sili się on na rozwiązanie tych zagadek, wyrażając się między innemi, że nie mało pewnie pracy potrzeba jeszcze dokonać, aby dokładniéj i wszechstronniéj zbadać tę planetę.

Tyle K. Flammarion.

Zobaczmy teraz, jak inni uczeni objaśniają niektóre z tych dziwnych zagadek, jakie nam daje do rozwiązania planeta Mars.

Zagadkowa ta planeta nie daje spokoju astronomom i naturalistom. Jedni przyjmują istnienie na niéj istot żyjących, podobnych do człowieka na ziemi naszéj, istot o wysokim rozwoju i cywilizacyi, inni znowu twierdzą, że tam wcale istot żyjących niema. Znaczna jednak część uczonych zgadza się na to, że na Marsie jest atmosfera, oraz że jego śniegi biegunowe mają wielkie podobieństwo do śniegów ziemskich.

Przy pomocy kinetycznéj teoryi gazów w następujący sposób objaśniają współczesny pogląd nauki na skład atmosfery Marsa i jéj temperaturę.

Tak zwana kinetyczna teorya gazów mało jest znana ogółowi czytelników i wogóle szerszéj publiczności dla tego, że wcale nie traktują o niéj dotąd popularne dzieła naukowe, jakkolwiek można ją przedstawić w sposób przystępny bez pomocy formuł matematycznych. Według téj teoryi, wszystkie gazy, jak tlen (kwasoród), wodór, azot i t. d., składają się z cząstek, będących w ciągłym, bardzo szybkim ruchu, przyczém prędkość tego ruchu bywa różna dla różnych gazów. Im gęstszy, czyli raczéj im cięższy jest gaz, przy danych warunkach, tém mniejsza jest prędkość jego cząsteczek, i przeciwnie. Prędkość ta dochodzi od 4 do 15 kilometrów na sekundę. Dla wodoru np. wynosi ona 11 kilometrów, dla kwasu węglowego 4 kilometry. Dla innych gazów, jak np. tlenu i azotu, jest ona mniejszą od 10 kilometrów w sekundzie czasu.

Siła ciężkości utrzymuje cząsteczki gazu na powierzchni ziemi.

Ważną jest rzeczą wiedziéć, w jakich warunkach, w jakich razach cząstki tego lub owego gazu mogą uleciéć z ziemi, albo z innéj planety, np. Marsa. Po rozwiązaniu tego zagadnienia odrazu otrzymamy odpowiedź na pytanie, z czego może się składać atmosfera danéj planety, i jakich mianowicie gazów atmosfera ta nie może zawierać.

Powszechnie wiadomo, że ciała rzucane w górę, doszedłszy do pewnéj wysokości, spadają zazwyczaj na ziemię. Zjawisko to jednak będzie miéć miejsce tylko do pewnéj granicy prędkości początkowéj, z jaką ciało zostało rzucone w górę. Jeżeli ta prędkość początkowa wynosić będzie więcéj, niż $10\frac{1}{2}$ kilometrów na sekundę, to ciało rzucone w górę nie wróci już więcéj na ziemię, ale uleci w przestrzeń nieba i stanie się samoistném ciałem niebieskiém.

Ta prędkość, wynosząc na ziemi $10\frac{1}{2}$ kilometrów, nazywa się prędkością krytyczną.

Gdyby człowiek był w stanie rzucać w górę różne ciała z prędkością większą od prędkości krytycznéj, to wszystkie te ciała nie powróciłyby na ziemię, a tym sposobem masa ziemi zmniejszałaby się ciągle. Człowiek jednak nie może rzucać ciał z tak znaczną prędkością, nawet przy pomocy wynalezionych przez siebie maszyn, i dlatego wszystkie te ciała wracają zawsze na ziemię.

Na Marsie i na księżycu te krytyczne prędkości są nierównie mniejsze, a na satellitach Marsa tak małe, że siła muskularna czło-

wieka ziemskiego wystarczyłaby na to, aby wyrzucony przez niego kamień nie wrócił już na powierzchnię tych satellitów Marsa.

Po takiém wyjaśnieniu kwestyi, powróćmy do kinetycznéj teoryi gazów.

Cząsteczki ich, jak wiadomo, wiecznie poruszają się z prędkościami bardzo wielkiemi. Jeżeli te prędkości ruchu ich cząsteczek są większe od prędkości krytycznéj na danéj planecie, to gaz taki, rzecz jasna, nie może się utrzymać na jéj powierzchni: cząsteczki takich gazów, na zasadzie powyższego, odlecą od planety i będą odbywać ruch w przestrzeni niebieskiéj jak ciała wolne.

Na ziemi prędkość krytyczna wynosi $10^1/_2$ kilometrów na sesekundę, wskutek czego wszystkie gazy, których cząsteczki poruszają się z prędkością większą niż $10^1/_2$ kilometrów na sekundę, nie mogą pozostawać w atmosferze ziemskiéj. Wszystkie cząsteczki podobnych gazów odlecą z ziemi. Na téj zasadzie ani czysty wodór, ani odkryty niedawno nowy pierwiastek helium, nie mogą się utrzymać w atmosferze ziemskiéj w stanie wolnym, co stwierdzają obserwacye, które nie odkryły ich w naszéj atmosferze. A przecież wiadomo, że jak jeden, tak i drugi gaz wydzielają się z kraterów wulkanów i gorących źródeł.

Stosując wyłożone tu zasady do księżyca, na którym prędkość krytyczna jest bardzo mała, dochodzimy do wniosku, że żaden ze znanych nam gazów na ziemi nie może utrzymać się na jego powierzchni, co zresztą stwierdziły liczne doświadczenia, wykazujące, że na tém ciele niebieskiém rzeczywiście niema wcale żadnéj atmosfery.

Opiérając się zatém na kinetycznéj teoryi gazów i uogólniając dające się wyprowadzić z niéj wnioski w zastosowaniu do Marsa, dochodzimy do następujących bardzo prawdopodobnych rezultatów.

Ponieważ prędkości cząsteczek czystego wodoru, pierwiastku helium oraz pary wodnéj są większe od prędkości krytycznéj na Marsie, to gazów tych niema na téj planecie; nietylko niema tam pary wodnéj, ale i wody, gdyż ta ostatnia, parując, tém samém ulatuje z powierzchni Marsa. Wszakże pozostałe gazy, jak azot, tlen, kwas węglany i inne, mogą tam istnieć.

A zatém *na Marsie niema ani wodoru, ani wody.*

Zachodzi więc pytanie, jak objaśnić peryodyczne pojawianie się i znikanie śniegów polarnych na téj planecie.

Do tego potrzeba znać temperaturę Marsa.

Temperatura każdego gazu, a tém samém i powietrza, pozostaje w ścisłym związku z jego gęstością. Wiadomo, że pod działaniem ciśnienia gaz nagrzewa się. Z drngiéj strony znowu wiadomo, że każdy gaz, będąc nagrzewany, rozszerza się i zmniejsza swoją gęstość. — Wszystko to sprawdzić można na naszém powietrzu, które przy powierzchni ziemi jest najgęstsze, a w miarę wznoszenia się w górę staje się rzadszém i zimniejszém. Powietrze ogrzane sztucznie staje się lżejsze i wznosi się w pokoju w górę pod sufit.

Gęstość znowu powietrza na powierzchni pewnéj planety zależy od siły ciężkości na téj planecie. Ponieważ ta siła na Marsie jest mniejsza niż na ziemi, to i gęstość atmosfery Marsa musi być mniejsza, niż atmosfera ziemska, a w skutek tego i temperatura atmosfery Marsa powinna być niższa od temperatury naszéj atmosfery.

Średnia tempêratura naszéj atmosfery nie dochodzi + 12° C., według obliczeń Dove'ego. Z tego punktu wychodząc i uwzględniając masę Marsa i ziemi, Johnston Stoney przyszedł do wniosku [1]), że temperatura powietrza na Marsie mało różni się od temperatury przestrzeni niebieskiéj i tylko na saméj powierzchni téj planety może podnieść się pod działaniem promieni słonecznych, jak to ma miejsce u nas na wysokich górach.

Z powyższego wynika, że przy bardzo niskiéj temperaturze Marsa kwas węglowy przechodzi w stan płynny, a następnie stały.

Reasumując wyżéj wypowiedziane wywody, dochodzimy do następujących rezultatów.

Atmosfera Marsa, z powodu swéj niskiéj temperatury, nie może zawierać ani wodoru, ani pary wodnéj, ani helium, a tém samém na téj planecie niema wody. W skład jéj może wchodzić: tlen, azot, kwas węglowy i inne gazy ciężkie. Pojawienie się i znikanie śniegów polarnych na Marsie nie pochodzi od śniegu, utworzonego z pary wodnéj, bo téj niema na pomienionéj planecie, ale od kwasu węglowego krystalicznego, który pod działaniem promieni słonecznych przechodzi w stan płynny, a następnie gazowy. Skutkiem wielkiego zimna, para kwasu węglowego przechodzi w stan stały i osadza się u biegunów Marsa, podobnie jak nasze śniegi. Kwas zaś węglowy płynny może rozlewać się kanałami po téj planecie, podobnie jak nasza woda.

Takim sposobem Mars jest ciałem niebieskiém co do istoty swojéj różniącém się od ziemi naszéj. Na Marsie zimno na ziemi

---

[1]) „Astrophysical Journal", 1898.

ciepło; na pierwszym niema wody, druga posiada ją w wielkiéj obfitości; Mars ma wielką obfitość kwasu węglowego, ziemia nasza posiada go bardzo mało.

Wskutek tego i życie organiczne takie, jakie istnieje na ziemi naszéj, jest na Marsie niemożliwe. Pomijając już inne nieprzyjazne dla tego życia warunki, nie możemy nie zwrócić uwagi na tę okoliczność, że, według naszych pojęć naukowych, do tego potrzebna koniecznie woda, któréj na Marsie niema.

W każdym razie można przypuścić z wszelkiém prawdopodobieństwem, że skoro dla życia roślinnego potrzebny jest kwas węglowy, którego Mars posiada taką obfitość, to życie takie na téj planecie może być bardzo bogate, nierównie pyszniejsze, niż na kuli ziemskiéj, gdzie kwasu węglowego mało. Samo przez się rozumie się, że przy obecnym stanie wiedzy naszéj nie można twierdzić na pewno, jakiego rodzaju jest to życie: czy ma podobieństwo do życia roślinnego z epoki węgla kamiennego naszéj planety, czy téż jest zupełnie inne. Być może, że tam pojawiły się i rozwinęły znakomicie piękne, wyjątkowe jakieś formy świata roślinnego, nierównie wyższe od roślin ziemskich; że istoty te mogą być zbliżone pod pewnym względem do organizmów zwierzęcych naszéj planety; że są obdarzone ruchem, czyli, że mogą przenosić się na Marsie od jednego kanału do drugiego, w poszukiwaniu większéj obfitości kwasu węglowego, potrzebnego do ich istnienia, i że tym sposobem gromadne zjawienie się tych istot roślinnych po obu stronach kanałów powoduje to rozdwojenie tych ostatnich, o którém napomknęliśmy wyżéj.

Gdyby tak było, to te organizmy roślinne odróżniałyby się od organizmów zwierzęcych ziemskich sposobem żywienia się i budową swoją.

Niska temperatura na Marsie wyłącza możliwość takiego życia organicznego, jakie istnieje na naszéj planecie, i pod tym względem warunki potrzebne do utrzymania tego życia są przyjaźniejsze na téj ostatniéj. Ale na Marsie kwas węglowy ciekły może zastąpić wodę w budowie tkanki komórkowatéj roślinnéj, dostarczyć potrzebnego do téj budowy materyału, a tém samém podtrzymywać to życie roślinne, tylko w cokolwiek odmienny sposób.

Poglądy powyższe nie pozbawione są słuszności. W każdym razie, jakkolwiek bardzo prawdopodobne, nie są stwierdzone przez ścisłą naukę, po za granice któréj poważny badacz wychodzić nie powinien, pomny na słowa Frauenstädta: „*Wir stehen oft auf dem Grenz-*

punkte menschlichen Wissens wo sich weder das absolute Ja, noch das absolute Nein sagen lässt".

Powróćmy do głównego naszego przedmiotu, od którego cokolwiek z konieczności odbiegliśmy.

Rzuciwszy dorywczy szkic zjawisk i zmian obserwowanych na Marsie, zagadkowéj i bardzo ciekawéj planecie w naszym układzie, przejdźmy z kolei do następnéj, największéj w tymże układzie planety — do Jowisza.

Ta największa z planet do r. 1892 posiadała 4 księżyce, odkryte jeszcze przez Galileusza na początku XVII wieku. Przed 6 laty amerykański astronom Bernard odkrył piąty księżyc. Niespodziewane to odkrycie w swoim czasie wiele narobiło hałasu, obaliło arytmetyczny system księżyców planet górnych. Do roku 1892 liczba księżyców tych planet, poczynając od ziemi do Saturna, wyrażała się następującym szeregiem (postępem geometrycznym):

Ziemia	1	księżyc
Mars	2	"
Jowisz	4	"
Saturn	8	"

W szeregu tym każdą liczbę, czyli wyraz następny, można otrzymać z poprzedniego, mnożąc go przez 2, i dla tego system ten był charakterystyczny i długi czas uważany przez astronomów za prawo natury.

Zwrócono jednak w następstwie uwagę, że gdyby tak było, to Uran musiałby mieć 16 księżyców, Neptun zaś 32, gdy tymczasem liczba księżyców tych planet jest 4 i 1, wskutek czego system pomieniony został zachwiany, a z odkryciem 5-go księżyca Jowisza w zupełności obalony. Oczywistém bowiem się stało, że zmodyfikowany w ten sposób system, wyrażający się liczbami:

1, 2, 5, 8, 4, 1

jest niedorzecznym, a ciąg liczb powyższych nie stanowi wcale żadnego szeregu (ani arytmetycznego, ani geometrycznego).

Ten piąty księżyc leży bliżéj Jowisza, niż pierwszy, i dokonywa obrotu około téj planety w ciągu 11 godzin 57 minut. A ponieważ sam Jowisz obraca się około swojéj osi w ciągu 9 godzin 55 minut, to prędkość obrotu tego księżyca około planety-olbrzyma jest bardzo nieznaczna, i mieszkańcy Jowisza, — gdyby rzeczywiście istnieli — spostrzegłszy wschód 5-go księżyca, zobaczyliby, że po upływie doby, t. j. czasu, w którym planeta dokona jednego obrotu około swojéj osi, księżyc jéj będzie się jeszcze znajdował nad hory-

zontem i dopiero 3-go dnia zajdzie pod horyzont na jego zachodniéj stronie. Przytém ten oryginalny księżyc w ciągu jednéj doby dopełnia wszystkich swoich zmian, od nowiu do ostatniéj kwadry.

W porównaniu z księżycami galileuszowskiemi ten piąty księżyc jest bardzo małém ciałem. O wielkości stosunkowéj tych księżyców możemy sądzić z następującego zestawienia ich średnic:

				kilometrów.
Średnica	I	księżyca	Jowisza	3800
„	II	„	„	3450
„	III	„	„	5600
„	IV	„	„	4800
„	V	„	„	tylko 160

Nic więc dziwnego, że odkrywszy tak wielkie księżyce około Jowisza, z których trzeci objętością swoją jest tylko 4 razy mniejszy od naszéj ziemi, wielki astronom włoski wpadł w nieopisany zachwyt: po całych nocach delektował się planetą-olbrzymem i odkrytemi przez siebie księżycami, widząc w nich miniaturowy obraz układu słonecznego według teoryi Kopernika. Jak planety obracają się około słońca, tak i te księżyce obracają się około Jowisza. Zdaniem Galileusza, Bóg umyślnie pomieścił w przestrzeni niebieskiéj Jowisza z jego księżycami, aby ludzie naocznie przekonać się mogli o prawdziwości systemu Kopernika.

Kiedy przeciwnicy tego systemu nie chcieli uznać księżyców Jowisza i utrzymywali, że księżyce te, naruszając całą budowę tego systemu, nie mogą istniéć i muszą z czasem oddalić się zupełnie od Jowisza, a wtedy i budowa całego systemu Ptolemeusza stanie się znowu niewzruszoną, Galileusz pisał do Keplera: „O mój przyjacielu! jakżebym pragnął śmiać się z całéj duszy razem z tobą! Tu, w Padwie, niejednokrotnie prosiłem głównego profesora filozofii, aby spojrzał przez mój teleskop na księżyc i planety. Ale on milczy uporczywie Dla czegoż ciebie tu niema? Jakimże głośnym śmiechem zaśmialibyśmy się z głupoty podobnéj, słysząc, jak profesor filozofii w Pizie, w obecności wielkiego księcia, przytaczał swoje dowody ilogiczne, jakby jakie magiczne zaklęcia, aby zaczarować niemi nowe planety“

Wracając do współczesnych obserwacyi, zaznaczyć musimy przedewszystkiém, że odkryte przez Galileusza księżyce Jowisza, którym przeciwnicy jego rychłą śmierć przepowiadali, żyją dotąd, obracają się około niego tak samo prawidłowo, jak obracały się za czasów Galileusza, a z pewnością i przed nim. Co większa, jakeśmy widzieli wyżéj, astronom obserwatoryum amerykańskiego na górze

Hamiltona, w Kalifornii północnéj, dokonywa nowego odkrycia, wzbogacając Jowisza piątym księżycem. Małym rozmiarom tego księżyca odpowiada i niewielka masa, wskutek czego żadna atmosfera nie może się na nim utrzymać. Księżyc ten, podobnie jak i nieodstępny towarzysz naszéj planety, pozbawiony jest powietrza.

Księżyce Jowisza, z których największy trzeci, co do masy swojéj jest 45 razy mniejszy od Marsa, podobnie jak ta ostatnia planeta, nie mogą posiadać na swojéj powierzchni w stanie wolnym ani wodoru, ani helium, ani pary wodnéj, a tém samém nie mają warunków, potrzebnych do istnienia istot organicznych takiéj budowy, jakie spotykamy na naszéj planecie.

Niebo Jowisza w porze nocnéj jest nierównie wspanialsze, niż u nas: planeta nasza ma tylko jednego towarzysza, którego zmiany odbywają się powoli; gwiaździste niebo Jowisza zdobi pięć księżyców, które bezustannie i szybko zmieniają swoje położenie.

Bezpośrednie obserwacye nie mogą nam dać odpowiedzi na te pytania: czy Jowisz jest ciałem ostygłém, t. j. takiém, jak nasza planeta. Mars i księżyc, czy téż ma swoje własne ciepło; oraz czy może tam istniéć życie organiczne i jakiego to życie jest rodzaju? Wszakże przychodzą nam tu na pomoc badania teoretyczne, obliczenia, wreszcie kinetyczna teorya gazów, którą z takiém powodzeniem zastosowaliśmy wyżéj do Marsa. Z objętości i masy Jowisza znajdujemy, że gęstość jego jest 4 razy mniejsza od gęstości ziemi, a tylko 1.25 razy większa od gęstości wody. Ale Jowisz otoczony jest atmosferą, która zakrywa przed nami jego stałą powierzchnię. Istnienie atmosfery Jowisza stwierdzają bezpośrednie obserwacye. Pasy równikowe zmieniają ciągle swoją postać i położenie; występują plamy, które bezustannie zmieniają swoją pozycyę. Wszystkie te zjawiska możliwe są w ciele gazowém, nie zaś w ciele stałém.

Stosując kinetyczną teoryę gazów do Jowisza, podobnie jak to uczyniliśmy wyżéj dla Marsa, oraz mechaniczną teoryę ciepła, dochodzimy do wniosku, że temperatura atmosfery Jowisza jest bardzo wysoka, tak dalece, że wiele ciał znajdujących się na ziemi w stanie płynnym i stałym, muszą być na Jowiszu w stanie gazowym, co zresztą zgadza się z obserwacyami.

Ale istnieje jeszcze inny dowód wysokiéj temperatury atmosfery na téj planecie, a mianowicie, że ta ostatnia posiada własność większego nierównie odbijania światła słonecznego, niż inne planety. Ta okoliczność prowadzi do wniosku, że znajduje się ona (atmosfera Jowisza) w stanie rozpalonym.

Reasumując wszystko, co się wyżéj powiedziało, i dopełniając danemi, dostarczanemi przez naukę obecną, można z wielkiém prawdopodobieństwem utrzymywać, że Jowisz przy wielkiéj masie i objętości posiada wysoką temperaturę, przy któréj większa część ciał musi się znajdować w stanie płynnym albo gazowym, oraz że planeta ta zatém znajduje się obecnie w stanie pierwotnym, zawiązkowym.

Podobnie jak słońce, obraca się ona około swéj osi z różną prędkością. Na równiku np. obrót ten trwa 9 godzin 50 minut 20 sekund. (Obrót słońca około osi dokonywa się, jak wiadomo, w 25 dni $4^1/_2$ godzin na równiku, w 26 dni pod 25^0, w 28 dni pod 48^0 szerokości).

Podług Flammariona, Jowisz przedstawia zbiorowisko nieznanych nam materyi palnych; na powierzchni tworzą się żużle, części pewne krzepną, powstają wyspy i t. d. Prędkość obrotu pod równikiem, wyprowadzona na zasadzie dziennego peryodu obrotu i sprawdzona w wielu obserwatoryach, dochodzi do 12500 metrów na sekundę. Delendre w obserwatoryum paryskiém, Keller w Stanach Zjednoczonych oraz inni astronomowie, porównywając linie widma téj planety na jéj stronie wschodniéj, a również i na zachodniéj, t. j. w pasach najbliższych i najbardziéj od nas oddalonych, otrzymali te same cyfry, wyrażające prędkość obrotu pod równikiem. Ponieważ prędkość obrotu téj planety różna jest pod różnemi szerokościami, to jéj powierzchnia musi przedstawiać się pod postacią prądów, skierowanych na wschód i zachód i przedstawiających podobieństwo do prądów morskich na ziemi naszéj (jak Golfstream i inne).

Obserwowane zjawiska na Jowiszu—jak powiada daléj Flammarion, przedstawiają się pod postacią pasów, które ciągle zmieniają się co do szerokości i barwy. Tak np. w ciągu dwóch lat pas powyżéj równika, od 10^0 do 20^0 szer. połud., jest bardzo szeroki, ciemny i koloru czerwonawego. Przedstawia się on jako podwójny i zasiany jest czarnemi punktami. Pas znowu równikowy jest jasny i wydaje się różowym. Wielka plama czerwona, obserwowana od dwudziestu kilku lat, dotyka południowego brzegu zwrotnikowego pasa południowego pod 20^0 szerokości. Od lat sześciu pas przedstawia się bardzo bladym tak, że trudno jest go obserwować.

Zdaniem pomienionego astronoma, pas ten przedstawia pierwszą wyspę, pierwszy ląd stały, względnie do powierzchni téj planety, równa się przestrzeni Australii na kuli ziemskiéj.

* * *

Pozostawmy w spokoju olbrzyma między planetami, a przejdźmy do świata Saturna, nad którym również dokonano wiele nowych i ważnych obserwacyi, tak co się tyczy jego obwodu, jak i co do jego pierścieni.

Na obwodzie Saturna znajdują się pasy, podobne do pasów na Jowiszu, jakkolwiek nie tak jasne. Na tych pasach widać plamy, zmieniające się wskutek obrotu planety. Flammarion i Antoniadi bardzo często obserwowali pasy na Saturnie; widzieli je również Williams, Brenner, Griffith i inni, podczas gdy astronom amerykański Bernard oświadczył, że tych pasów wcale nie widzi. Pochodzić to ma z tego powodu, że wielkie teleskopy dają za wiele światła, i blask Saturna niszczy zaledwie dostrzegalne pasy. Nie pierwszy raz zdarza się, jak powiada Flammarion, że ciała niebieskie dają się obserwować lepiéj przy pomocy średnich, niż przy pomocy wielkich teleskopów. Przytém należy wziąć pod uwagę, że wzrok obserwatorów bywa rozmaity: jedni lepiéj odróżniają maleńkie, błyszczące punkciki, inni szare plamy.

Oprócz odkrytego niedawno przez astronoma Antoniadi, rozdziału pierścieni Saturna, spostrzeżony został nowy rozdział tych pierścieni w maju roku zeszłego w Istryi przez panią Manora i Leona Brenner, podług obserwacyi których dwa pierścienie Saturna rozdzieliły się. Podobny rozdział innych dwóch pierścieni zauważył Cassini, a w Stanach Zjednoczonych odkryty został nowy rozdział jednego z pierścieni Saturna.

Rozdział pierścieni Saturna pochodzi wskutek przyciągania ośmiu księżyców, obracających się około téj ciekawéj planety.

Nie wiele możemy powiedzieć o planecie Wenus. Ostatnie badania zdają się zaprzeczać opiniom wypowiedzianym przez astronoma Schiaparelli. Podług jego teoryi, Wenera, obracając się około słońca, zwraca ciągle do tego ostatniego jędną i tę samą stronę, wskutek czego na jednéj stronie téj planety byłby w i e c z n y d z i e ń, na drugiéj—w i e c z n a n o c. W specyalném dziele swojém Flammarion wyjaśnia, że właściwie nie mamy żadnych pewnych danych dla dokładnego określenia jéj biegu, a również i długości obrotu około swojéj osi.

Pomijając doświadczenia astronomów nad liczbą i wielkością plam słonecznych, które prowadzili Nilson, de Larue, Secchi, Tancini i inni, oraz badania odnoszące się do ruchu naszego systemu słonecznego w przestrzeni, skierowanego do pewnego punktu nieba, ciągle udoskonalane prace, mające na celu zdejmowanie fotografii towarzysza naszéj planety, notujemy, że w ciągu ostatnich czterech

lat odkryto wiele nowych komet, a mianowicie trzy w r. 1895, sześć w r. 1896 (wszystkie niewidzialne gołém okiem), oraz kilka w r. 1897.

Grupa małych planet, obracających się między Marsem i Jowiszem, w r. 1896 powiększyła się o 23 nowe, wskutek czego liczba tych asteroid dochodzi obecnie do 427.

W końcu należy zaznaczyć, że ziemia nasza pozostaje pod wpływem różnych ruchów, a mianowicie:

1) codziennego obrotu około swojéj osi;

2) rocznego obrotu około słońca;

3) precesyi, czyli wyprzedzania punktów równonocnych w ciągu 25,000 lat;

4) miesięcznego ruchu ziemi około środka ciężkości ziemi i księżyca;

5) nutacyi, pochodzącéj od przyciągania księżyca w $18^1/_2$ lat;

6) zmiany pochyłości ekliptyki;

7) zmiany orbity ziemskiéj;

8) zakłócenia, powodowanego ciągle zmieniającém się przyciąganiem planet;

9) zmiany środka ciężkości systemu słonecznego (około którego corocznie obraca się ziemia), w zależności od położenia planet;

10) ogólnego ruchu całego układu słonecznego w kierunku konstelacyi Herkulesa;

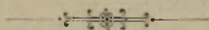
11) ruchu bieguna ziemskiego, wskutek czego ciągle zmieniają się szerokości.

Tak więc Ziemia nasza w swoim pochodzie podlega tylu różnorodnym a nie dwom tylko ruchom: około osi swojéj i około słońca. Rezultaty te, mało bardzo dotąd znane, otrzymane zostały w ciągu ostatnich dwóch lat.

T. Skomorowski.



POETA PESYMIZMU.



(Jan Kasprowicz: „Krzak dzikiej róży“. Lwów 1898).

„Wierzyłem zawsze w świata moc,
Władnącą nad mrokami,
A przecież nieraz wiarę tę
Gerzkiemi zlewam łzam“.

I tak snuje się długą nicią pajęczą pesymizm Kasprowicza w natchnionych słowach, — rozbrzmiewających bezdennym żalem i mimozową tą tęsknicą za złamanemi, za zdeptanemi na świecie ideałami ludzkości. Na gruzach roześnionych marzeń młodości rozpleniła się rozpacz, szaruga, rozczarowanie, — odwracające sią od ziemi, znajdujące ukojenie jedynie za nią, na cmentarzyskach, między umarłymi. Ogrom smutku, zawalający duszę poety, jest tak potężnym i w potędze swéj dzikim – że ta dusza jego boi się własnego cienia, własnego jestestwa.

I chce się mimowoli za Krasińskim powtórzyć: „jak Dant za życia przeszedłem przez piekło“. W tém narzekaniu strasznéм, pozbawionéм frazeologii, jest ogromna męka, ogromne pasowanie się z samym sobą, z własną niemocą, jest krzyk bez krzyku, łza bez łzy, jest walka tém tragiczniejsza i zawziętsza, że ten, co boleść z siebie wyrzuca, widzi i czuje rozhukane morze życia, a mimo to stoi

na jego brzegach nieruchomy, z zapatrzoną w ciemną dal źrenicą. Burza szaleje na oceanach bytu codziennego:

„Błogosławiony, kto zginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotém“...

Błogosławiony, kto z wiosłem w dłoni płynie wśród wichury! Niech ona huraganem spadnie do stóp poety i zatopi nędzę, co liże swoje gnuśne ciało... Bo dawna wiara zginęła. Prometejowe natchnienia w piarg się rozpadły, ustępując miejsca gnuśności i bezpłodności. Negacya, a raczéj ostateczność rozpaczy dźwięczy pogrzebowym prawdziwie tonem, gdy poeta nawet modlitwę pragnie ustrzedz przed beznadziejnością nadchodzących dni i boi się, aby w sferycznym swym wzlocie nie rozbiła się o niebezpieczeństwo dzisiejszych chwil...

Cóż pozostaje w takiéj melancholii i pasyi do bezbrzeżnéj rozpaczy, po nad naturę? Jedyny anioł biały może chyba boléć nad takiemi losami i las rozśpiewany, rozszumiony tym samym szmerem, który wiał po czubach jego drzew w pierwszych dniach stworzenia.

Taki jest ten pesymizm Kasprowicza, rozlany w cyklu p. t.: „W ciemności schodzi moja dusza“? Bije z niego egotyzm szlachetny, roznamiętniony i rozżalony cierpieniami. Doświadczenie, filozofia życiowa, rozwiązywanie wielkich zagadnień doprowadziły poetę do zupełnéj prawie negacyi. Romantyk w duchu Godebskiego, Balińskiego, Berwińskiego, lub téj całéj rzeszy doby Mickiewiczowskiéj, rozwiałby włosy, udrapował togę i bajronizował na temat osobistych katuszy, na temat ciasny, tuzinkowy. Kasprowicz podobnie, jak Leopardi, ma szeroki rzut oka, wielkie widzenie i niezmiernie delikatne odczucie. Snuje zatém pezymizm swój na daleko rozpiętéj kanwie zwątpienia w wartość boju ludzkiego, zabiegów i mąk, które trapią człowieczeństwo. Jego skargi są filozofią pesymizmu, są straszną, głęboką jeremiadą nad biednym, rwącym się do słońca, a jednak w mrokach wiecznie tarzającym światem. I kto wie, czy piękny mit o Syzyfie, wyciągającym do góry kamień po to tylko, aby mu u wierzchu spadł i zmusił do ponownego rozpoczęcia pracy, nie ilustruje najwłaściwiéj téj rozpacznéj, żywiołowéj tęsknoty i rozszalałéj burzy na dnie duszy Kasprowicza. Refren tego pesymizmu odzywa się nieraz i w następnych cyklach tak, jakby on właściwie nadał ton i przewagę myślową całemu zbiorkowi.

Silnie rozdźwięczy on jeszcze raz w wiązance z „wirchów

i hal", silniéj stokroć w „Alpach", mniéj znacznie w „akordach jesiennych".

„Wszak niema szczęścia tam, gdzie życie rośnie,
Niech świat przepada, na to on, by zginął".

Pod względem artystycznéj formy należy to do prawdziwéj inwencyi poetyckiéj, że napięcie pesymizmu potężnieje nietylko za pomocą wrażliwych i wysoce natchnionych refleksyi,—ale także za pomocą odpowiedniego nastroju przyrody. Cykl w „ciemności schodzi moja dusza" nazwać by można najtrafniéj określeniem samego poety: „pieśnią melacholii". Tak, bo to jest istotnie gwałtowna, rozrzewniająca, a w sile swéj arcypotężna pieśń łzy, a raczéj łza pieśni. Chcąc jednak zrozumiéć ten pesymizm, zbadać należy jego powody.

Nad czém boleje poeta?

Nad tém, że „słońce nie ma władzy złamać berła nocy". Na ziemię padł wielki mrok, wobec tego najlepiéj odwrócić głowę od teraźniejszości i żyć westchnieniem minionych, zagasłych na polu chwały lat. To przekonanie, ta gromka, niczém niezachwiana wiara, ten dręczący i duszący, a zawstydzający moralność ludzką motyw, że złe w historyi i rozwoju świata bierze górę nad dobrém, że szatan tryumfuje i upadla doczesność, rozwija się jeszcze potężniéj, niż w drobnych wierszach, w większym poemacie na końcu, zatytułowanym fantastycznie „na wzgórzu śmierci".

Nie trzeba jednak sobie wyobrażać, aby pesymizm Kasprowicza, pesymizm oparty na rozpaczy i rozwiewném, głębokiém rozgoryczeniu, był niechrześcijańskim lub niereligijnym. On owszém, jak psalmista rozrzewniony, nie może znieść panowania nikczemności, nie może wejść w układy z podłością, chciałby ją rozkopać, wykorzenić. Wierzy zatém, że duch Boży ma prawo być sędzią i wykonawcą swych świętych wyroków, że on jedyny powinien rozpierać pierś ludzką, zniweczyć kłamstwo, a zbudować cnotę. I w téj swojéj kryształowéj, tęczowéj wierze jest poeta prawie ewangelicznym i dobrze rozumiejącym, że przykazania Boże nie dadzą się na ziemi urzeczywistnić. Tym swoim smutkiem i historyozoficznym widnokręgiem zbliża się do Madacza „tragedyi życia". Mimo takiéj melancholii, mimo błądzenia wśród gęstych mroków zwątpień, przedrze się czasem z duszy poety na chwilę, na nikłą chwilę, jaśniejszy promyk. Ten mleczny, choć drobniutki szlak optymizmu kończy się entuzyastycznym protestem przeciw zarzutom o przeżyciu się naszego pokolenia.

Jest w zbiorku wiersz jeden, który narobił dużo hałasu i wiele wywołał zarzutów. Podniósł się przeciw autorowi z „Chłopskiego zagonu" krewki krzyk za złamanie dawnych demokratycznych ideałów i spaczenie kierunku ludowego, który Kasprowicz najsilniéj w naszéj poezyi reprezentował, silniéj stokroć od Niemojewskiego, Konopnickiéj i całéj plejady młodszych piewców.

„Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy."

„Dziś z resztą siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy Molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wyssał drogi szpik mej duszy"!

Tłum jest „królem w łachmanach", nienasyconym, rozwścieczonym, w którego koryto wieki żer znoszą... On — moloch pochłania ideały, depce świętość myśli brutalną stopą.

„Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie".

Stracony, kto poszedł na służbę do tego „zwierza",—do „bożka miedzianego"!

Przypominam sobie doskonale, że i drugi poeta, mieszkający we Lwowie, Stanisław Rossowski, zamieścił w tygodniku literackim Słowa Polskiego dłuższy wiersz, widocznie pod wpływem Kasprowicza napisany, jeszcze gwałtowniéj piętnujący tłum i jego wyroki. Zanim jednak wytłómaczę, jak bezzasadnemi są zarzuty apostazyi, miotane przeciw twórcy „Dzikiéj róży", pragnę przytoczyć kilka myśli jego do téj właśnie odnoszących się sprawy. W „akordach jesiennych" dużo rozbrzmiewa zachwytów nad pejzażem, nad bujnością przyrody. Raz mgławica plącze się po ziemi, wyłaniając z mlecznych gąszczów powiewnego ducha młodości. Duch ten chyba musiał mieć kształty Apolla — z pieśnią na ustach. Pędzi on, pędzi mgławicą i po drodze zamienia lutnię w pług żelazny, klasyczny zaś chiton grecki na siermięgę... Gdzieindziéj znowu żarliwe wznosi się oskarżenie przeciw posądzaniu najmłodszéj generacyi o niedołęstwo. Nieprawda! Są jeszcze wśród nas tytaniczne tchnienia! Ale gdzie?... Oto, tak jak dawniéj kroczy naprzód z ogniem świętym lud, więżąc w sobie krwawy błysk i grom... Może zatém

„zobaczywszy tłum“ wrzeszczeć głosem „opasłego lenia“. On i tak zasłuchany jest w dźwięk liczonego złota!... Sam poeta najdosadniéj określił, co on rozumie przez „robaczywy tłum“.

Trubadurem być? u pańskich —
u bankierskich stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał
w swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? za kwiat róży
z białéj ręki strojnych dam.
Od gorących łon odpięty?
Za lokajów miękki byt?

Z wiersza tego wyłania się silnie konturowany wizerunek Kasprowicza, poety i człowieka. Pieśni, przekonań, swobody ducha nie sprzeda za uśmiechy plutokracyi, nie nagnie się do umizgów, — woli raczéj pozbawiony zaszczytów stać dumnie, pewnie, godnie, ambitnie, hełpiąc się swém chłopsko-kujawskiém pochodzeniem,—swą miłością rodzinnych ideałów, wyssaną z ziemi i do siermiężnego ludu lgnącą. Tłumem jest burżuazya bezduszna, goniąca w okół złotego cielca, nie rozumiejąca szerokich łun, świecących nad ludzkością, nie wychylająca oka po za kramarstwo i filisteryę. Za nią „opasłą“ kroczy dopiero z świętym ogniem lud czysty, wierzący, a biedny, potulny. I w żadnym może wierszu, nie zgloryfikował poeta tak demokratyzmu ludowego, jak właśnie w tym, z którego starano się przeciw niemu broń ukuć. Wskazując bowiem na rozkład, na psychozę burżuazyi, podniósł tém samém jako antytoć czystość ludu i jego przeznaczenie do przyszłych, wielkich zadań. Uderzenie na tłum,—to filozoficzny i słuszny bunt przeciw pierwiastkowi, który w ciągu dziejów był często najgorszym fermentem i zakałą. Cezar na rękach tłumu mieszczańskiego obalił rzecz-pospolitą i zgotował zgubę swéj ojczyźnie,—tak jak w nowszych czasach Napoleon III. Tłum rozkopywał i wandalizował sztukę, — służył nieraz reakcyi.

W poezyi Kasprowicza tłum jest symbolem wroga cywilizacyi, a lud nim nigdy nie był. Gdzie tu jakie sprzeniewierzenie, gdzie odstępstwo od dawnych haseł?

Tę samą arystokracyę ducha, — tę samą pogardę dla popularności i zawisłości od zmiennych łask tłumu, wyraził pierwszy Horacy w słynnéj odzie: „*odi profanum vulgus*“, wyraził w najnowszych czasach wielki geniusz poetycki Leconte de Lisle’a w sposób arcydosadny i wcale nie dwuznaczny.

Oba wiersze, i Kasprowicza i Rossowskiego, powstały niezawodnie niezawiśle od przepięknych *„les montreurs"* Leconte'a, mimo to żywo ich przypominają asocyacyę myśli.

Oto urywek:

„Tel qu'un morne animal, meurtri, plein de poussière
La chaîne au cou, hurlant au chaud soleil d'été,
Promène, qui voudra son coeur ensanglanté
Sur ton pavé cynique, o plèbe carnassière"!
„Pour mettre un feu stérile en ton veuil hebété,
Pour mendier ton rire ou ta pitié grossière,
Déchire, qui voudra la robe de lumière
De la pudeur divine et de la volupté".
„Dans mon orgueil muet, dans ma tombe sans gloire
Dussé-je m'engloutir pour l'éternité noire,
Je ne te vendrai pas mon ivresse ou mon mal"... [1])

Nietylko wiersze drobne poświęcone są refleksyi. Kasprowicz nie umie pisać bez głębi ideowéj, bez jasno wytkniętéj celowości.

Jego budynek wznosi się zawsze na granitowéj podstawie myślowéj; jego Feb-Apollo ma szaty powiewne, — ale pod niemi treść wyciosaną, jędrną niepowszednią. Na naturę patrzy okiem malarza, ale zarazem patrzy duszą filozofa ze szkoły Kanta, lub Hegla. Niekiedy mu się wydaje, że dusza się rozpyla w tysiączne skry, wlokące się ku słońcu na sferycznych promieniach; czasem znowu potrąci o jakiś panteistyczny motyw, o rozlanie się człowieka w przyrodzie, lecz czyni to pod widoczném wrażeniem otaczających go obrazów; poczém na skrzydłach głęboko odczutego chrześciaństwa wznosi się ku ulubionemu „duchowi Bożemu". Zresztą długoletni pobyt na uniwersytetach niemieckich, nasiąknięcie ich akademicko-filozoficznym kierunkiem, pozostawiły na Kasprowiczu ślady nawet tam, gdzieby chciał zostać z pejzażem i z niczém więcéj. Oba cykle „z Alp" i „z Tatr" są nagięciem natury do teoryi pesymizmu,—są pesymizmem w naturze.

---

[1]) Niech kto chce, o tłumie prostaczy, wlecze serce skrwawione po szlakach twych cynicznych, jak zwierz ponury, zabrudzony, z łańcuchem na szyi, — wyjący ku gorącemu słońcu lata!.. Niech kto chce, rozdziela między ciebie szaty własne utkane z światła, bojaźni bożéj i rozkoszy! Ja wolałbym w méj nieméj dumie zapaść się raczej w wieczność ciemną, w mój grób bez chwały, — a nie sprzedałbym tobie ani swych urojeń, ani nieszczęść.

Wlokła się dusza z skrzydły zmęczonemi,
Smętna i z skargą na ten los, co łamie
Wszystkie szlachetne wysiłki tej ziemi,
Pragnącej spocząć aż tam, w raju bramie.

Jak dalece jedno i to samo widmo ściga poetę—niech za przykład posłuży jeszcze następująca oktawa:

Po co się zrywać w spienione odmęty
Walki, wszczynanej o tysiączne złudy,
Które prawdami zwie ten świat, przejęty
Kłamstwem i fałszem? Po co siać swe trudy
Na jego roli, gdzie niepewne sprzęty,
A jeśli wzejdzie jaki krzew, to wprzódy,
Nim się rozwinie, nienawiść go zsiecze,
Przenikająca wszystkie chęci człecze.

Pod względem malarskim nie należy Kasprowicz do rzędu poetów drobiazgowych. Tetmajer cyzeluje, rozpieszcza bardziej swe wrażenia, nakłada suto barwy, wykończa każdy obraz, każde spostrzeżenie ogromnie subtelnie i bardzo snmiennie; Kasprowicz rzuca na ledwie podmalowane tło kilka silnych kleksów, kilka mocno działających szczegółów i zadawala się tą surowizną — wywołującą jednak przez swe niedopowiedzenie, przez swą szorstkość, potężne wrażenie. Cała zresztą magiczna moc tych tatrzańskich poezyi polega na tém, że ich twórca tchnął w nie ducha własnych ideałów... Smutne są zatém piargi, smutne smereki, smutny nawet wiatr halny—bo człowiek zgina się na ziemi pod brzemieniem tryumfu złego i nikczemności. Z każdego smereku, z każdego załomu płynie żal, płynie boleść... Natura w ten sposób rusza się i ma prócz swojéj, duszę ludzką...

Kwintesencyą historyozofii Kasprowicza jest poemat: „Na wzgórzu śmierci". Do jakiéj kategoryi go zaliczyć? Były już poemata podobnie pomyślane, choćby wziąć osnutą na tle życia Giordana Bruna tragedyę Nossiga, — ale nie mógłbym wskazać drugiego podobnie wykonanego i tak oryginalnie wykonanego. Najlepiéj zatém nie zaliczać go nigdzie, zostawić sobie samemu. Sam pomysł był śmiały, prawie zuchwały, bo na podobnym tematem, nie ideowością, utworze, złamał ciężkie skrzydła swoje Klopstock. Tragedya stara — tragedya codziennie przypominająca się na ulicach i drogach w postaci Chrystusa Pana, rozpiętego na krzyżu. Opisali ją może najbardziéj wstrząsająco ewangeliści—a za nimi inni. Wywlekli Nazarejczyka na Golgotę, przybili do krzyża i włożyli koronę

na głowę z napisem: ten jest Jezus, król żydowski. Wisiał tedy męczennik od szóstéj do dziewiątéj, wśród pełzających po ziemi mroków, a około godziny dziewiątéj zawołał: *Eli, Eli, lamazabachtani?* to jest: Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?...

Wielkim momentem rozpoczyna się poemat.

Na wierzchu Golgoty, na górze trupiéj głowy, stoi w cieniach nocnych, bezpośrednio przed krwawym dramatem dwóch ludzi: Szymon z Kyreny i poganin Alethej (z grecka: cnota). Szymon, to ten sam, którego żołdacy Piłata zmusili do dźwigania krzyża na miejsce stracenia. Coś niezwykłego, wiekopomnego ma się wydarzyć. Natura odziewa się żałobą—niebo stygnie—a tam niżéj w świętem mieście wrze, kipi. Na szczyt góry spada dusza, wygnana z raju, wzywając szatana, władcę złego, Lucyfera. Na samym wstępie wypowiada zdanie:

Ja się boję ludzi,
Bo ile razy kto z poddanych śmierci
Zajdzie mi drogę, przeklina wnet chwilę,
W któréj spełniony był grzech pierworodny
W raju straconym...

Lucyfer, kochanek wygnanki z raju, nie zjawia się, ale natomiast błąkają się Szymon z Alethejem. Alethej jest poganinem wyższego pokroju, odczuwającym etykę, potępiającym gwałt Do ostatniéj chwili łudzi się, że chociaż wyrok jest gotowym, ludzkość nie splami rąk krwią niewinną. A Szymon z Kyreny jeszcze dotkliwiéj rozumie i boleje nad bezprawiem swoich współwyznawców. Izraelczykiem jest on tylko formalnie, w gruncie rzeczy zaś należy już do napół wierzących Chrześcian, nie przekonanych jeszcze może zupełnie, skłaniających się jednak stanowczo do nowéj nauki. Dokładnie nie zdaje sobie sprawy ze strasznéj ewolucyi, czekającéj świat; wie jednak na pewno, że stanie się coś niebywałego, jest w swojéj nieświadomości jasnowidzącym, w swojém odczuciu przeczuwającym. Sformułować, określić wrażeń nie potrafi, to jeno dla niego jest niezawodném, że z ognistego krzaka przemawia znowu Bóg do ludzi i że od płomieni tego głosu świat się pali, aby ustąpić miejsca lepszemu... Szymon był przypadkiem w Synedryonie i przysłuchiwał się scenie sądu. Powtarza ją, a raczéj odtwarza z niezmiernym, w dziedzinę najwyższego kunsztu sięgającym artyzmem. Gdy widział Nazarejczyka przed łotrowskim areopagiem, domyślił się w nim ognistego krzaka, pojął prawdę słów jego o rozwalonéj świątyni i zbudowanéj na jéj gruzach nowéj... A ten motłoch, co mu urągał, padnie w proch kiedyś przed nim. On tylko jedyny usunie

przedział, co w dłoń Kaina wcisnął miecz na Abla. Umrze, bo „śmierć jest zwycięzcą śmierci". Alethej skłania się do poglądów Szymona i uzupełnia je własnemi. Ludzkość pokutuje za grzech pierworodny i za grzech ten zginie Chrystus, aby przynieść ziemi odkupienie...

Tymczasem dusza z raju wygnana wzywa natarczywie Lucyfera Jéj jęk przeraża i płoszy rozmawiających. Szatan nadchodzi, nadchodzi w chwili, gdy Szymona ogarnęła najuroczystsza ekstaza, gdy z Golgoty, nieshańbionéj jeszcze męką Nazarejczyka, zapowiedział światu święte zdarzenie... Zjawia sią ten Lucyfer, jakby tragiczne *memento*, że mimo ukrzyżowania Boga, nikczemność nie zejdzie z ziemi, nie wypuści jéj z swych żelaznych kleszczów na wieki. I Szymon z Kyreny, ten zelant i apostoł, ten gorący i myślący człowiek, opuszcza skrzydła na chwilę, zapomina o własnych słowach, o wierze, podnieconéj męczeństwem Chrystusa, popada w zwątpienie, jakby uległ urokowi szatana, i rzuca myśl arcygłęboką — pesymistycznie nastrojową, myśl, która robakiem toczyła wszystkie potężne mózgi, która stanowi alfę i omegę zagadek, szarpiących ludzkość. Od Hamleta do Fausta wszyscy ich szukali i wszyscy padli z założonemi rękami z sceptycyzmem, z okrzykiem: być albo nie być?.. Szymon to tak tłómaczy: „O tak,...

Golgota jest niezrozumiałą,...
Ciągnie... i widzisz, człek wie, że to dobre
Ja, co chce umrzeć, a gdy jest na szczycie,
To, by nie umrzeć, powiada: nie warto,—
Bo niewiadomo, azali jest dobre"!...

Dusza z raju wygnana lgnie do szatana lubieżnie, jak kobiéta-bachantka. Przedstawiając uosobienie ludzkości,—działa i hypnotyzuje za pomocą zmysłów. Szatan jest dla niéj strasznym, brutalnym, mimo to w nim widzi swoją ostoję i drogę pochodu. Nigdy go ona nie opuści, wiernie mu towarzyszyć będzie, — chociaż czuje jego potworność. Jest to stwierdzenie i zapieczętowanie psychologicznéj prawdy, że świadomość złego nie odwodzi człowieka od niemoralności i zbrodni, owszem pcha go z nieubłaganą konsekwencyą w jéj ramiona.

Przygotowania do spełnienia dziejowéj hańby już ukończone. Tłum wali się wielką lawiną na Golgotę, szatan zaciera ręce. Zgraja gapiów zachowuje się cynicznie, chóry nierządnic śpiéwają wyuzdane peany. Na górę martwą wstąpiło życie brudu, — życie bezsilnéj hołoty, niosącéj śmierć Bożemu Synowi. Saméj sceny ukrzyżowania niema,—ale są łotrowstwa pospólstwa po ukrzyżowaniu. Jedni wbi-

jają silniéj gwoździe do pala, inni wyłamują palce u nóg Nazarejczykowi,—bo im zanadto odstają, inni znowu plują... I zdaje się, że to już nie istoty na podobieństwo Boga stworzone, ale zwierzęta, najpodlejsze hyeny. Krząta się to wszystko plugawe, rozbestwione, rozpite własną bestyalnością.—A po nad tym gąszczem zwierzęcym wisi spokojnie król żydowski, krwią zbroczony... Wrzeszczy jeszcze, wyje tłuszcza i nagle ustaje. Stała się cisza, cisza zamącona skrzeczeniem wyzywającém jednego obszarpańca:

„Ztąd, z tego krzyża!...
Daj-że nam ryby, bośmy bardzo głodni!
Od wczesnych świtów czekaliśmy wszyscy
Na widowisko“!...

Urągowisko skończone. Po niém nastąpił dzień świtu,—dzień zmartwychwstania. Nim jeszcze ukrzyżowany ostatni wyzionął oddech, rzekł,—jak świadczy św. Łukasz: Ojcze, w ręce Twoje polecam ducha mego! Widzi to i słyszy kochanka szatana, drży, gnie się pod świętą tragedyą i pod jéj wpływem zapomina na sekundę o Lucyferze. „Obmierzły mi uściski twoje"! — Niestety, w końcu bierze szatan górę, wpycha w sieć swoją zbłąkaną duszę, — a ona w nią leci z uciechą—z furyą rozkoszy prawie.

„O Lucyperze!
Z tobą wieczyste zawarłem przymierze,
W ciebie jednego znów wierzę“!...

Ze stanowiska kompozycyi artystycznéj jest poemat „Na wzgórzu śmierci" dziełem doskonałém. Poeta zręcznie ominął różne trudności i niesmaczności, usuwając dyskretnie na bok scenę ukrzyżowania, — wywołując natomiast potężne wrażenie za pomocą tłumnych, pełnych realizmu i niezwykłéj plastyki ustępów zbiorowych. W dziele inwencyjném niebardzo wielką rolę może odgrywać wierne zachowanie etnograficznych i obyczajowych szczegółów, zwłaszcza jeżeli chodzi o wywołanie silnie skupionego nastroju, a za pomocą niego ideowości. Chór nierządnic nie ma bezsprzecznie czysto żydowskiego charakteru, jest w nim wiele przymieszki asyryjsko-fenickiéj, zaakcentowanéj przez nazwisko Astarty, jest trochę pogańsko-rzymskiéj zuchwałości i cynizmu. Mimo to chór ten na Golgocie znakomicie ilustruje podłość i nizkość tłumu, jego całą marność, w porównaniu z świętą ofiarą, spełnioną na krzyżu. Wyznaję następnie szczerze, — że poezya istnieje dla mnie bez względu na formę, — istnieje zatém zarówno dobrze w mowie wiązanéj,

czy prozaicznéj, istnieje więc, a raczéj może istniéć w wierszu białym. Ale z wierszem nierymowanym niebardzo w zgodzie jest duch naszego języka i nasze poetyckie tradycye. Pomijając tę czysto subjektywną uwagę, należy podniéść niesłychane bogactwo przedziwnie pięknych i nowych zwrotów poematu, — rzeźbiarską wyrazistość i ogromną zdolność obrazowania. Scena sądu w Synedryonie jest wprost arcydziełem.

Stanisław Przybyszewski pasował „Na wzgórzu śmierci" na na jeden z największych utworów poezyi wszechsłowiańskiéj. Mogę ten sąd z naciskiem podkréślić i z zupełną zgodą powtórzyć. Należy mu się to kurulne miejce, choćby to ze względu na myślową głębię. Dlaczego Kasprowicz aż na Golgotę sięgnął, aby dać wyraz ostatni, łabędzi, arcysilny swemu pesymizmowi?

Tragedya na Golgocie była nauką, — nauką ciężką dla świata, a mimo to nie poprawiła go, nie otworzyła mu oczu. Wychylono na Golgocie kielich goryczy, Bóg cierpiał za za wiarę, którą przyszedł głosić... Ukrzyżowanie było zdeptaniem idei człowieka-Boga za to tylko, że śmiał burzyć dawne przesądy, dawne bałwochwalstwa i pleśnie, że wprowadził nowatorstwo, że rozkopał zgniły pogański świat z jego ateistyczną etyką. I późniéj idea nowa (mniejsza, czy dogmatycznie słuszna czy nie) bywała nieraz krzyżowaną, oplwaną, zabijaną po to tylko, — aby jasnym świecić ludzkości meteorem i po męczeństwie wygnać. „Śmierć jest zwycięzcą śmierci". Na stosie legł Hus, legł Giordano Bruno i wielu innych propagatorów cywilizacyi i postępu. Ich idee i zdobycze bujały nad zgliszczami ofiar, torując prawdzie drogę. Męczeństwa nigdy nie było i nie będzie za dużo dla użyźnienia ziemi sprawiedliwością....

Nic dziwnego, że takie postacie, tacy święci ideologowie, skupiający w sobie i na sobie najważniejsze zagadnienia ludzkości, — są tém krynicznem źródłem, w którém wielkie umysły lubią się przeglądać i kąpać. Ślepy Milton zrozumiał to już dobrze... Krzywda tych palonych, kawałkowanych żywcem pionierów jest sama przez się hańbą ogółu ludzkiego, już sama przez się dowodzi, że zanim prawda zapuści korzenie, — dybią na nią zewsząd, tępią ją, — depczą, jak płaza... Już ta sama okoliczność wszczepić potrafi w każdą szlachetną duszę jad bólu, który Chateaubriand słusznie nazwał *le tourment du doute*, męczarnią zwątpienia.

W zwątpienie to musi popaść nawet taki Szymon z Kyreny, zapatrzony w cierpienia mistrza, a cóż dopiero mówić o ludziach, nie według miary Fidyasza skrojonych?... „Na wzgórzu śmierci" jest

tylko dalszym ciągiem cyklu „W ciemności schodzi moja dusza”, — jest epilogiem o właściwym zgrzycie... Zło potwornie zdobywa władzę nad dobrém, zło dyktuje światu prawa, rządzi narodami, a filozof spoglądać musi, „jak cię coraz bardziéj wszystko rozpada pod grzybem podłości”... Dusza wygnana z raju jest personifikacyą ludzkości... Cóż zrobiła ludzkość? Podobnie, jak dusza zwróciła się na chwilę do Ukrzyżowanego, tak i ludzkość niekiedy unosi się na prądach szlachetności, rychło jednak zbacza z gościńca jasnego w ciemnię, do szatana. I dusza padła w końcu w ramiona Lucyfera!... Padła, bo paść musiała. I to klątwą pozostanie i karą najsroższą człowieka, że czując i pojmując złe, pcha się do niego, jak ćma do światła, pragnie go, jak spragniony Tantal wody. Pracuje ciągle świat na nowych męczenników, — a gdy ich wy a, gdy się zapłodni ich ewangelią, idzie znowu gromadzić i tarzać się w podłości. Oto, jak dusza przemawia do szatana:

„Wiem, że występek znowu się zapłodni
Z twoich uścisków, że nowa Golgota
Powstanie z grzesznej miłości,
Co w naszém łonie zagości,
A jednak pcha mię płomienna tęskota,
Której się oprzeć nie mogę,
Na twoich objęć rozpaczliwą drogę“.

Jest jeszcze w poemacie jedna głęboka, choć mniéj pozornie dostrzegalna prawda. Żydowin Szymon z Kyreny i poganin Alethej uwierzyli dopiero wtenczas świętemu rybitwie, gdy widzieli, jak się tłum nad nim pastwi i jak on z męczeńską pokorą szedł na Golgotę oddać życie za swą ideę. Każdy gniot, każdy ucisk, każde bezprawie rodzą reakcyę i wprost przeciwne skutki, niż gwałciciele zamierzali. Ten kanon spełnił się na Chrystusie-Panu. Cyrki i tortury nic nie pomogły, zabiły jednostki, a wypielęgnowały miliony.

Pesymizm Kasprowicza jest okrutnym, — jak okrutném jest życie samo dla ludzi, wdrapujących się na wyżyny myślowe, na historyozoficzne szczyty. Zawsze to zło i przewaga upodlenia na końcu cywilizacyjnych epok, a często u ich początku.

Wlecze się to życie po grudzie, w opętaniu, w otrząsaniu się wiecznėm z tyranii i nikczemności, wlecze w ustawicznéj walce z przesądami, zacofaniem i zabójczemi krzywdami. Nareszcie przychodzi śmierć i wyzwala skołataną istotę z ziemskiéj powłoki, — z tego padołu, słusznie morzem płaczu nazwanego.

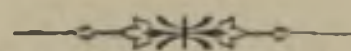
Pesymizm — mojém zdaniem — jest najdodatniejszym i najkrytyczniejszym objawem w literaturze, w życiu i w sztuce. Jest on

zawsze poglądowym i krytycznym, — bo z góry nie puszcza się na różowe szlaki, nie przekonawszy się, czy na nich ciernie nie rosną. Najpotężniejsze umysły współczesne odczuły jego siłę,—jego prawdę i moralne znaczenie. Tołstoj z pewnością nie należy do optymistów, a Ibsen propaguje pesymizm za pomocą analizy duszy. Oddech pesymizmu powiał od wschodu aż po skandynawskie fiordy. Nie wiem, w jakim wobec swojéj młodości pójdzie jeszcze kierunku... Dziś w nim widzę poetę wielkiego, największego z naszych żyjących, obok Konopnickiéj i Tetmajera.

Ernest Łuniński.



Stosunki handlowe Polski z Hanzą.



Dr. E. R. Daenell: *Polen und die Hansa um die Wende des 14 Jahrhunderts.* Fryburg, 1898.

Żyjemy w czasach, w których buta germańska zaczyna przybiérać zatrważające rozmiary, a walka eksterminacyjna z narodowością słowiańską wre w Niemczech na całéj linii. Trzymając się zasady „cel uświęca środki", nie cofają się w walce téj Niemcy przed niczém, byle zapewnić sobie zwycięstwo. Z przewrotną etyką idzie w parze nietolerancya, zaczynająca niestety coraz częściéj przenosić się na pola dotychczas obojętne, na pola badań naukowych. Szczególnie odnosi się to do nauk historycznych, które otwierają wielu szowinistom niemieckim *à la* Mommsen wdzięczne pole do popisu. Przekręcanie lub naciąganie faktów, byle tylko udowodnić założony cel, zaczyna w coraz liczniejszych wypadkach stawać się u badaczy niemieckich regułą, a historyk kreślący objektywnie, *sine ira et studio*, fakta odnoszące się do dziejów „*minderwertiger Nation*", należy dzisiaj zaiste do białych kruków.—To téż na tém większe znaczenie i szacunek zasługuje z naszéj strony taki biały kruk, który pomijając wszelkie inne względy uboczne, jedynie z miłości ku saméj nauce, walcząc nieraz z brakiem lub niedostępnością źródeł historycznych, przedstawia w sposób bezstronny jakiś ważniejszy moment z naszych dziejów. A taką właśnie jest praca historyczna dr. E. R. Daenella,

docenta uniwersytetu w Lipsku, któréj tytuł podaliśmy wyżéj. Studyum jego, co prawda, nie długie (choć kto wié, czy w wielu wypadkach nie możnaby zwięzłości poczytać właśnie za zasługę) cechują liczne zalety, jakiemi tego rodzaju praca odznaczać się powinna. Pomijając już niezwykłą u autora Niemca bezstronność, znać w pracy téj pedantyczną niemal sumienność i dobre obznajomienie się z najważniejszemi źródłami polskiemi. Studyum to jest też ważnym przyczynkiem do stosunków Polski z miastami hanzeatyckiemi, stosunków mało u nas znanych i zbadanych, a daje również barwny i udatnie skréślony obraz ekonomicznego rozwoju kraju przy schyłku XIV wieku. Za punkt wyjścia do badań służyły autorowi „*Monumenta medii aevi historica, res gestas Poloniae illustrantia*", które rzucają nieraz nowe światło na stosunki polsko-hanzeatyckie, szczególnie w latach 1390 i 1391, nie pominął jednak i innych publikacyi, z których może najciekawszą jest wyczerpująca praca Oesterreicha o stosunkach handlowych Torunia z Polską w latach 1232—1577.

Zresztą nie był sam autor nowicyuszem na tém polu badań, gdyż w r. 1897 ogłosił drukiem historyę Hanzy w drugiéj połowie XIV stulecia. Związki Polski z Hanzą pozostawały zawsze w zawisłości od stosunków Polski z Prusami, dla tego nie może nas dziwić, jeśli autor w swych wywodach nietylko od tychże stosunków wychodzi, ale śledzi je w ciągu rozprawy krok za krokiem. Całość rozpada się na 4 rozdziały, z których każdy stanowi dla siebie odrębny, nader zresztą zajmujący obraz, a wszystkie łączy jedna myśl przewodnia—uplastycznienie stosunków Polski z Hanzą w danym czasie.

W pierwszym rozdziale przedstawia dr. Daenell rozwój handlu polskiego i pruskiego — ogniskiem tego ostatniego było miasto Toruń—i kréśli wzajemną ich od siebie zależność. Przyczyniła się do tego w znacznéj mierze pokojowa polityka odnośnie do Zakonu Krzyżackiego zarówno Kazimierza W., jak i jego następcy Ludwika. Handel zamienny obejmował wówczas liczne kraje i rozmaite towary. Kopalnie węgierskie dostarczały szlachetnych kruszców, z których miedź była szczególnie cenioną we Flandryi; małopolskie kopalnie soli pod Krakowem a ruskie pod Haliczem zwabiały wielu kupujących, Litwa słynęła z kosztownych futer, a ruchliwe miasto Lwów dawało możność wejścia w stosunki handlowe z kupcami armeńskimi i włoskimi szczególnie z Genui, którzy założywszy liczne faktorye nad morzem Czarném, dostarczali nam towary wschodnie i korzenie drogą wodną przez Boh, Dniestr i Prut. Sama Polska

produkowała dwa tylko artykuły wywozu, t. j. zboże i drzewo. Polskie cisy cieszyły się znaczną wziętością w Anglii, gdzie drzewa tego używano do wyrobu broni. Do szybkiego i taniego wywozu powyższych artykułów przyczyniło się w znacznéj mierze już samo hydrograficzne ukształtowanie kraju. Prusy zaopatrywały znowu Polskę obficie w ryby (głównie śledzie) i sukna własnego wyrobu, angielskie, lub flandryjskie. Dowożono także dość dużo płótna, a wyroby bursztynowe znajdowały we Lwowie licznych odbiorców w osobie kupców z południa. Wszystkie drogi handlowe z Polski, Węgier, Rusi, nawet Ślązka zbiegały się w Toruniu, to téż około połowy XIV wieku odgrywał Toruń w tym handlu główną rolę. Z początku sprzyjali władcy ościennych krajów temu przemożnemu stanowisku Torunia, a nawet nadawali przywileje, podnoszące jego handel. Powodu takiego postępowania należy szukać w znacznych dochodach celnych, z tego źródła panującym płynących. Ale z czasem obudziło się poczucie niezależności, obudził duch przedsiębiorczy i chęć wydobycia się z obcych więzów. Inicyatywa wyszła z Krakowa. Pod względem geograficznym było położenie tego miasta niezmiernie korzystne. Tworzyło ono bowiem punkt środkowy, w którym schodziły się wszystkie drogi prowadzące z północy i wschodu, a daléj ku kotlinie czeskiéj i wiedeńskiéj, do Niemiec i Włoch. Bochnia i kopalnie węgierskie leżały również niedaleko, a położenie nad Wisłą pozwalało brać udział w handlu rzecznym i kierować go ku morzu. Już Władysław Łokietek przyczynił się do ożywienia handlu krakowskiego, pozwalając wprawdzie obcym kupcom prowadzić między sobą swobodnie handel, ale zarazem zmuszając ich do prowadzenia płodów z kopalń węgierskich przez Kraków. W ten sposób byli kupcy toruńscy zmuszeni nabywać metale przez kupców krakowskich i w Krakowie. Kaźmierz W. posunął się w swych zarządzeniach, mających na celu ochronę handlu krajowego, o krok daléj. W r. 1354 zabronił bowiem wszystkim kupcom-cudzoziemcom zawierania tranzakcyi handlowych między sobą w Krakowie, przez co kupcy krajowi uzyskali rolę pośredników. Skargi i żale Torunia na straty wynikłe z tych rozporządzeń nie znalazły u Kaźmierza W. żadnego posłuchu. Polityka świadoma swych celów względem handlu toruńskiego zaczęła się jednak dopiero za króla Ludwika.

Przywileje tego władcy zmusiły kupców toruńskich do urządzania składów swych towarów, prowadzonych z Torunia na południe, w mieście Krakowie. Obawy, by pruski handel nie odwrócił się od Krakowa były płonne, gdyż musiał on bądźcobądź ze względu

na kopalnie węgierskie, odwiedzać to miasto. Gdy potém wybuchły zatargi handlowe ze Lwowem, zabronił Ludwik kupcom pruskim stosunków z rynkami ruskiemi. Ale Toruńczycy schronili się pod opiekuńcze skrzydła Władysława z Opola tak, że Ludwik cofnął w r. 1373 swój zakaz, do czego było ważną pobudką także odpadnięcie dochodów z ceł, jakie przynosił handel z Rusią. Za to usiłował Ludwik podnieść handel Krakowa, rozszerzył jego prawo składu również co do soli, skutkiem czego stosunki handlowe tego miasta ogarnęły szerokie horyzonty. W odpowiedzi na przymus składowy Krakowa usiłował i Toruń zastosować u siebie do kupców krakowskich to samo prawo. Było to rzeczą tém łatwiejszą, że w Polsce zaczął się już wytwarzać tubylczy stan kupiecki, który pod wodzą Krakowian nawiązywał bezpośrednie stosunki z krajami zamorskiemi *via* Toruń. Łatwo więc pojąć, że wzajemna niechęć między temi miastami musiała coraz bardziéj rość w trzeciéj ćwiartce XIV stulecia.

Ze wstąpieniem na tron Władysława Jagiełły weszła Polska w nową fazę rozwoju, a że stosunki z Toruniem uległy wówczas znacznéj zmianie, zaczyna autor z jego panowaniem drugi rozdział swéj pracy. Zaraz w początkach dał poznać Jagiełło swą politykę handlową, a przez zupełne potwierdzenie prawa składu m. Krakowa zaznaczył, że będzie ona narodową.

Gdy późniéj przeciwieństwa między Polską a Zakonem zaczęły rość, a zjazdy polsko-pruskie nie prowadziły do porozumienia, zabronił Jagiełło w r. 1390 całkowicie wywozu do Prus. By jednak nie przynieść szkody przez podobne zarządzenia własnemu handlowi, trzeba było koniecznie pomyśléć o innym kraju, jako miejscu zbytu dla towarów polskich. Nim jeszcze sam Władysław w tym kierunku jakiekolwiek kroki poczynił, uprzedzili go w tém jego sprzymierzeńcy i przyjaciele, książęta pomorscy. 29 maja 1390 r. wydał bowiem Bogusław VI z Wolgastu przywilej dla kupców, przybywających do jego kraju z Krakowa, Polski, Węgier i Rusi, na mocy którego uwolnił ich od wszelkich ciężarów, z wyjątkiem opłaty cła. Podobne ulgi poczyniły następnie miasta Stralsund, Anklam i Greifswald. Czy i reszta Pomorza poszła za powyższym przykładem, nie zdołał niestety dr. Daenell wyjaśnić stanowczo. Władysław skorzystał skwapliwie z téj dobréj sposobności i już 18 sierpnia 1390 r. ogłosił przywilej cłowy i handlowy dla kupców z tych państw i miast, które zapewniły jego poddanym u siebie swobodę handlu. Dla nowo otworzonego ruchu pomorsko-polskiego przepisał nadto król drogę lądowo-wodną, która prowadziła z Krakowa wzdłuż Warty przez Sieradz, Kalisz, Poznań, Oborniki i Skwierzynę, około twierdzy granicznéj Santoka opuszczała Polskę i przez Landsberg wkraczała na

Pomorze. Cło pobierano ze strony polskiéj w wyliczonych wyżéj pięciu miastach. Zresztą udzielono kupcom niemieckim tych samych swobód, jakie zabezpieczono im na Pomorzu, a polska taryfa celna odpowiadała w zupełności wymiarom cła w Stralsundzie. Szczególnie wysoko oclono różne gatunki drzew, jako stanowiące główny artykuł wywozu. W ten sposób stworzono więc wygodną drogę między Krakowem a miastami wendyjskiemi, która mogła z pominięciem Prus utrzymać połączenie z lądem stałym na wschodzie, a zamorskim zachodem. Od r. 1391 widzimy też nową pozycyę w miejskich rachunkach Krakowa, notowaną jako „*pecunia Ungelt vie nove versus Flandriam*". Były to więc, jak się zdaje, pierwsze stosunki Polski z Hanzą wendyjską, w krakowskich aktach niema bowiem po r. 1300 dokładnych śladów ich wcześniejszego istnienia. Jeśli jednak Władysław i jego sprzymierzeńcy spodziewali się, że przez swe inowacye nietylko zaszkodzą handlowi Prus, ale doprowadzą nawet do rozdwojenia między Hanzą wendyjską a pruską, to nadzieje częściowo ich zawiodły. Wprawdzie było w ostatnich czasach wiele danych, które mogły obiedwie grupy zniechęcić do siebie, ale sprawa nowéj drogi nie otwarła między niemi nieprzebytéj przepaści, a miasta pruskie nie zażądały nawet od wendyjskich zerwania stosunków handlowych z Krakowem. Tylko Frankfurt nad Odrą skarżył się przed Wielkim mistrzem zakonu, że droga wodna na Warcie szkodzi jego prawu składu, ale sam mistrz uznał niemożliwość zapobieżenia temu, gdy komunikacya ta nie wkraczała do jego posiadłości.

Zamknięcie dawnéj drogi handlowéj dało się bądźcobądź dotkliwie uczuć pruskiemu handlowi. Toruń wezwał więc Wielkiego mistrza na pomoc, a pertraktacye tegoż z Polską stanowią treść trzeciego rozdziału. Po rokowaniach, zawarto w Malborgu rozejm, mający trwać od 8 kwietnia do 13 lipca 1391 r.; w tym okresie miała też panować zupełna swoboda handlowa ze zniesieniem prawa składu. Toruńczycy wyzyskali, jak mogli, te chwile, ale po upływie 13 lipca musieli znowu Polskę opuścić, uzyskawszy tylko zezwolenie na używanie drogi wrocławskiéj. Podjęto więc w r. 1393 nowe rokowania za pośrednictwem legata papieskiego. Ale zjazd monarchów w Toruniu nie doprowadził do żadnych rezultatów, a handel między Flandryą, Anglią i Krakowem posługiwał się w rezultacie drogą istniejącą od r. 1390. Dochody Krakowa z używania téj nowéj drogi cłowéj osiągnęły też swój punkt kulminacyjny w r. 1392. W następnym roku pozycya ta znacznie się zmniejszyła, za r. 1394 brak wogóle rachunków, tak samo niema rubryki *percepta vie nove* w la-

tach 1395—97. Potém znika ta rubryka w rachunkach miejskich zupełnie.

Gdy wybuchła walka o obsadzenie stolicy arcybiskupiéj w Rydze, stały się stosunki między książętami szczecińskimi a Polską nader ścisłe, ale nie przyszło do otwartéj wojny między tą ostatnią a zakonem, choć panowało obopólnie wielkie napięcie od r. 1393. Nastąpił natomiast zjazd między Wielkim mistrzem a królową Jadwigą około 10 czerwca 1397 r. we Włocławku nad Wisłą, a już z początkiem sierpnia 1397 r. zapanowały między zakonem a Polską i Litwą przyjaźniejsze stosunki, co umożliwiło zawarcie stałego pokoju handlowego. Kiedy zniesiono w zupełności dawne zakazy, nie da się na pewno oznaczyć, najprawdopodobniéj jednak we wrześniu r. 1397 w związku z układami.—Z chwilą, gdy otwarto na nowo drogę Wisłą, wrócił handel niezmiernie żywo w dawne łożysko. Nowa droga krakowsko-pomorska, zaprowadzona tylko z konieczności, spełniła już swą rolę i stała się zbyteczną. Okoliczność, że od r. 1398 niema w rachunkach krakowskich rubryki *Ungelt vie nove versus Flandriam* służy za dowód, iż po r. 1397 uchylono wspomniany zakaz.—Wkrótce stanęła téż pruskiemu handlowi otworem Litwa. W r. 1398 pogodził się Witold z zakonem, przyrzekł pruskim kupcom swą opiekę i pozwolił im założyć na Litwie stałą osadę. Handel między Prusami a Litwą ożywił się w krótkim czasie skutkiem tego znacznie, a ważną faktoryę w Kownie jako téż wszelkie obroty finansowe zagarnął Gdańsk w swoje ręce.

Zdawałoby się, że teraz powinno było urość i rozszerzyć się znaczenie handlowe Hanzy pruskiéj. Tak jednak nie stało się. Nader interesujący rozdział czwarty, zarazem ostatni, maluje w sposób barwny właśnie wzmożenie się Krakowa, a upadek powolny Torunia. Kraków bowiem umocnił i rozwinął na wszystkie strony swe stosunki handlowe w ostatnich latach, gdy handel pruski został z państwa polskiego wygnany. Kupcy krakowscy zajęli téż na Rusi i we Lwowie placówki opuszczone przez Toruńczyków. Powodzenie to rozgoryczyło bardzo kupców pruskich, szczególnie zas toruńskich. Przedstawił więc Toruń w rezultacie Wielkiemu mistrzowi ruinę, grożącą jego handlowi, gdyby polskim kupcom pozwolono nadal prowadzić swobodnie towary Wisłą do morza. Skargi te zrobiły na Wielkim mistrzu takie wrażenie, że 18 marca 1403 r. wydał na korzyść Torunia bardzo ważne zarządzenia. Rozkazał mianowicie wszystkim obcym kupcom posługiwać się nadal dawnemi drogami przez Toruń i nadał miastu temu znowu prawo składu dla wosku, futer, szlachetnych i nieszlachetnych metali, korzeni, tylko nie dla zboża

i drzewa. Polskim kupcom dozwolono wstępu do Prus przez Toruń tylko w tym wypadku, gdyby chcieli czynić zakupy płodów krajowych; odprzedawanie sukna angielskiego zastrzeżono wyłącznie Toruńczykom.

Tak więc w r. 1403 otrzymał wreszcie Toruń tyle upragnione prawo składu. Bezpośredni handel między Polską a Flandryą stał się teraz *via* Toruń i ziemie zakonne bardzo utrudnionym, a Wielki mistrz usiłował nawet odnośnie do Krakowa uczynić go wprost niemożebnym.

W Krakowie zapanowało z powodu zaprowadzenia przymusu celnego w Toruniu najżywsze oburzenie. Zaraz też obłożono tam sekwestrem wszelkie towary i pretensye dłużne kupców toruńskich na sumę przeszło 24000 grzywien pruskich (około 1 miliona rubli dzisiaj), co stanowi najlepszy dowód ile kapitału toruńskiego spoczywało w Krakowie i jak ożywione były stosunki handlowe obu tych miast.

Na ciągłe skargi i prośby poszkodowanych kupców odniósł się Wielki mistrz do najwyższych dygnitarzy polskich, żądając rychłego wydania zagarniętych ruchomości, gdyż inaczéj ulegną zepsuciu. Po ustnych pertraktacyach reprezentantów obu tych miast, nastąpiło żądane wydanie 21 października 1403 r., ale ulg w toruńskiém prawie składu nie zdołał jednak Kraków dla siebie uzyskać. Zaprowadzenie składu wywołało również we Wrocławiu wielkie zgorszenie. Udano się o pośrednictwo do króla Wacława. Wielkiego mistrza zarzucono w lecie 1403 r. skargami. Ten zachował się na razie z pewną rezerwą, ale w r. 1404 przyszło u schyłku lata do układów w Malborgu. Wrocławianom udzielono swobody handlowania w obrębie Prus, musieli tylko sukna kupować od krajowców, posługiwać się dawnemi gościńcami przez Toruń i nie wolno im było wprowadzać towarów pechodzenia polskiego lub węgierskiego. Zaostrzenie przeciwieństw handlowo-politycznych między Toruniem a Krakowem znalazło odbicie w stanowisku Pomorza. Polityka zaborcza zakonu nie ustawała na Pomorzu, a Bogusław VIII zaczął nie bez słuszności obawiać się o utratę reszty swych posiadłości. Aby się zabezpieczyć przeciw wrogiemu sobie żywiołowi, szukał pomocy u króla polskiego i zawarł z nim przymierze w sierpniu roku 1402. Wkrótce potém bawił sam w Krakowie, gdzie dowiedział się o nadaniu prawa składu Toruniowi i o rozgoryczeniu skutkiem tego Krakowian. Oryentując się szybko, postanowił wyzyskać obustronną niezgodę przynajmniéj dla wschodniéj części swego kraju, którą mo-

żna było najłatwiéj z Polską połączyć. Przywilejem z 1 września r. 1403 zaprosił więc książe kupców z Krakowa, Polski, Węgier, Litwy, Rusi, Czech i Śląska do prowadzenia handlu w jego kraju i korzystania z jego portów. Poczynił nadto w nadaniu kupcom tym znaczne ulgi, żądając od towarów nader skromnych opłat celnych, a towary importowane z krajów zamorskich uwalniając nawet w zupełności od wszelakich ciężarów.

Dokument ten jest wymownym świadectwem, jak zmieniły się polityczne stosunki w dorzeczu dolnéj Warty. Droga handlowa do Szczecina i Pomorza zachodniego została odciętą przez nowe zdobycze krzyżackie. Tylko w dorzeczu rzeczki Głdy (v. Chudy) schodziła się granica polska z pomorską i tylko Rügenwalde mogło wchodzić w rachubę księcia Bogusława, jako port handlowy we wschodniéj części Pomorza, bo inny o wiele korzystniéj położony i większy port Kołobrzeg należał już do biskupstwa Kamińskiego. Ale Rügenwalde było małe, a choć należało do związku hanzeatyckiego miast. brało mały udział w handlu północno i wschodnio-europejskim, gdyż ten zagarnęły w swoje ręce miasta pruskie i wendyjskie. Zresztą przedstawiała droga handlowa przez wyżynę pomorską daleko większe trudności, niż komunikacya otwarta w roku 1390.

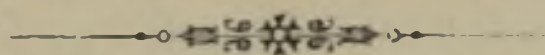
Bieg wypadków nie zaszedł téż nigdy tak daleko, aby stan kupiecki wschodniéj części kraju musiał omijać Toruń. Owszém, godził się na skład w Toruniu, témbardziéj że nie wykonywano go tam nigdy z całą ścisłością. a w r. 1411 uznano nawet po pokoju toruńskim prawo to na równi ze składem krakowskim za zniesione. Kupcy polscy i śląscy omijali nadto skład i inne trudności w ten sposób, że zawierali spółki handlowe z kupcami pruskimi, co umożliwiało im i nadal zostawanie w bezpośrednich stosunkach z rynkami zachodu przez Gdańsk i Toruń. Ile razy jednak przeciwieństwa między Polską a Prusami zarysowały się ostrzéj, lub gdy tylko Toruń usiłował z całą surowością stosować swe prawo składu. wyłaniała się natychmiast w pamięci kupców nowa komunikacya. powołana do życia w latach 1390 i 1403, a gościńce wrocławskie i krakowskie, prowadzące do Szczecina i Kołobrzega (małe Rügenwalde popadło bowiem wnet w zapomnienie), ożywiały się ich wozami. Z nastaniem pomyślniejszych warunków dla handlu wracał z konieczności cały ruch na dawne, utarte tory.

Mimo tego wszystkiego przeminął dla Torunia bezpowrotnie punkt kulminacyjny jego świetności. Zarówno przed, jak i po pokoju toruńskim, wykonywał Kraków prawo składu w najszerszym

zakresie. Handlu z Rusią nie zdołał też Toruń utrzymać w swych rękach skutkiem niepokojów w Polsce i stałych strat; odpadło więc dla niego w wieku XV i to miejsce zbytu. Granice jego działalności handlowéj zaczęły się ścieśniać coraz bardziéj, aż wreszcie stały się zależnemi wyłącznie od Krakowa i Wrocławia. Przyłączenie Torunia do Polski od r. 1454, które nastąpiło za sprawą samego Torunia oddziałało przemijająco na rozwój i uwolnienie handlu toruńskiego od ciążących na nim więzów. Ale za to Wisła stawała się coraz częściéj pośredniczką w komunikacyi, a zboże i drzewo stanowiły główny artykuł handlu. Towary kosztowniejsze, futra i kruszce, szły natomiast na zachód przez Wrocław i Kraków. Miastu Norymberdze, które u schyłku XIV stulecia usiłowało po raz pierwszy uczynić Toruniowi konkurencyę, udało się wreszcie acz zwolna zdobyć dla siebie pośrednictwo w sprzedaży wspomnianych powyżéj płodów.

W powyższém streszczeniu staraliśmy się zapoznać czytelnika w sposób objektywny, wolny od stronniczości plemiennéj, z interesującą treścią rozprawy dr. E. R. Daenella. Praca jego aczkolwiek bardzo dobra, nie wyczerpuje naturalnie w zupełności danego przedmiotu, ani też jest wolną od drobniejszych wad i usterek. Jeśli jednak nie można wogóle prac historycznych podciągnąć przy ocenie pod strychulec utartego szablonu, boć metoda historyczna badania zależy w znacznéj części od indywidualizmu badacza, to tém więcéj należy być oględnym i pobłażliwym w ocenianiu autora-cudzoziemca, który nietylko musi pokonywać trudności w korzystaniu ze źródeł, ale zapanować nadto nad zupełnie sobie obcém polem, wniknąć umysłem w ducha obcego sobie narodu i stosunków. A właśnie to ostatnie udało się wspomnianemu autorowi w zupełności, choć może nie zdołał całkowicie wyjaśnić kilku wątpliwych punktów. Badania historyków polskich braki te zapewne w przyszłości usuną, ale praca d-ra Daenella będzie niemniéj stanowiła zawsze ważny przyczynek do mało znanych stosunków polsko-hanzeatyckich. Książkę zaleca wreszcie przejrzystość przedstawienia danego tematu, to też może ona znaleźć się z korzyścią w rękach nietylko specyalistów, a bardzo pożądaném byłoby również jéj przełożenie na język polski.

W. Doleżan.



Rozbiory i Sprawozdania.

Jozef Tretiak. „Młodość Mickiewicza (1798—1824). Życie i poezya". Tom I i II. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego. 1898.

Praca niniejsza jest ponownem wydaniem, poprawionem i uzupełnionem, studyum, p. t. „Mickiewicz w Wilnie i Kownie". Zmiana polega przedewszystkiem na wprowadzeniu całego nowego rozdziału o dzieciństwie i latach szkolnych Mickiewicza; a potem i w obrazie życia uniwersyteckiego naszego poety dodano mnóstwo szczegółów, zaczerpniętych z nowo ogłoszonego w ciągu ostatnich lat kilkunastu materyału o Mickiewiczu: 5 tomów „Pamiętnika Towarzystwa literackiego jego imienia" (obecnie jest ich już sześć), czterotomowéj biografii poety, skreślonéj przez jego syna, a wreszcie nad wyraz ciekawych materyałów do procesu Filaretów, ogłoszonych przez Szeligę i Wasilewskiego w „Archiwum do dziejów oświaty i literatury".

Nie wdając się w drobiazgową ocenę życiorysu poety, opowiedzianego barwnie i szczegółowo, przyjrzyjmy się rezultatom, do których doszedł p. Tretiak w ocenie i rozbiorze utworów poety z tego okresu.

Pierwszym nieznanym nam zupełnie utworem Mickiewicza z lat szkolnych miał być rymowany opis pożaru w Nowogródku

z r. 1810 w stylu Trembeckiego z satyryczną domieszką, gdzie, według świadectwa Franciszka Mickiewicza, miał być humorystycznie opisany „pawłogrodzki pułk huzarów, w owym czasie na garnizonie będący, jak nie mniéj łupiestwo sławnéj policyi miasta"; drugi wiersz z tegoż okresu, to przeróbka wierszowana romansu Floriana, p. t. „Numa Pompilusz“, tłómaczonego przez Staszyca.

W utworach klasycznych z pierwszéj doby wileńskiéj, pisanych pod wpływem nauk Borowskiego, jak „Zima miejska", niektóre bajki i t. d., profesor Tretiak wykazał już gdzieindziéj wyraźny wpływ Trembeckiego, stawianego przez Borowskiego swym uczniom za wzór wysłowienia.

Co do poematów klasycznych, to z „Mieszka“ pozostało w rękach rodziny około 500 wierszy.

Inny poemat heroiczno-opisowy p. t. „Kartofla“, według relacyi Odyńca miał się składać z dwu części: poważnéj i żartobliwéj: „część heroiczną stanowić w nim miało odkrycie Ameryki, gdzie téż najprzód odkryto kartofle; część zaś drugą — uprawa i użycie ich u nas, czyli inaczéj pod tą niby żartobliwą formą obraz wiejskiego życia i obyczajów naszych" (Odyniec). Z treści wnosząc, p. Tretiak rzuca przypuszczenie, iż w genezie „Kartofli“ główną rolę musiała odegrać „Luzyada“ Camoensa, w przekładzie Jacka Przybylskiego (1790 rok).

Z powiastek prozaicznych, „Żywila" powstała pod wpływem lektury pisarzy naszych XVI wieku, zwłaszcza Stryjkowskiego, co zaś do „Karyli", wziętéj z 35 nowelki Boccaccia, to prof. Tretiak stanowczo odmawia jéj autorstwa Mickiewicza.

Wszechstronnym i ciekawym nader jest w niniejszéj książce rozbiór pieśni „Hej użyjmy żywota"; słusznie zupełnie autor wyróżnia w niéj dwa pierwiastki: jeden bezmyślnéj hulaszczości burszowskiéj (pierwsza zwrotka téj pieśni jest naśladowaniem niemieckiéj piosenki burszowskiéj, zaczynającéj się od wyrazéw: „Geniesst den Reiz des Lebens“), przyczém ta hulaszczość zupełnie nie odpowiadała acetycznemu niemal trybowi życia Filaretów, i drugi pierwiastek poważniejszy, głębszy, świadczący o tém, iż Filareci mieli szersze cele po nad wychylanie do dna czary uciech żywota.

Ideę, zawartą w słynnym dwuwierszu: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił“, p. Tretiak określa w następujący sposób: „Jest to przeciwstawienie martwéj fizycznéj siły żywéj sile uczucia i apoteoza téj ostatniéj. Zimny rachunek rozumowy, cyrkiel, miara

i waga, dobre są tam, gdzie wchodzą w grę tylko „martwe bryły“. Siła uczucia nie da się zmierzyć rozumem; jest to potęga, która przy szczupłych środkach materyalnych zdoła rozsadzić największe przeszkody, bo przy téj sile „jedność większa od dwóch“. A więc „mierz siłę na zamiary”, to znaczy: mniéj uważaj na środki materyalne, niż przedewszystkiém na to, czy zamiar, ku któremu zwracasz swe siły, jest wielki i święty, i czy serce twoje jest nim do głębi przejęte”.

Również drobiazgowym i umiejętnym jest rozbiór — „Ody do młodości”; zasadniczym jéj motywem jest przeciwstawienie zapału młodości i doświadczenia starości, „prąd filoracki i prąd romantyczny zlały się tu w jeden akord”, a w dalszym rozwinięciu zasadniczego motywu „Oda do młodości” również, jak i „Romantyczność” jest krytyką rozumu, któremu przeciwstawia się potęga uczucia. Wreszcie p. Tretiak wyprowadza zależność téj natchnionéj pieśni od wierszowanéj mowy jednego z Szubrawców wileńskich, Szydłowskiego, lecz w tém miejscu argumenty autora nie są dość przekonywające.

Przechodzimy do ballad i romansów, które p. Tretiak roztrząsa nader starannie pod względm ich genezy i wartości literackiéj. „Pierwiosnek” przypomina Goethego „*Das Blümlein Wunders hön*”; „Romantyczność” w wyrazach starca jest trawestacyą niewybrednych słów Jana Śniadeckiego w jego słynnéj rozprawie „O pismach klasycznych i romantycznych”—obrona zaś cudowności w téj balladzie jest zupełnie nieudolną.

Na „Świteź” złożyło się kilka motywów osobistych i podaniowych; prócz ballady Zana pod tymże tytułem, widzimy tu i wrażenie, jakie wywierał na Mickiewiczu widok jeziora w dzień i nocną porą, i podania ludowe o Świteziankach, o zapadnięciu się miasta, o ziołach, zwanych „cary“, wreszcie wiadomość kronikarska o mężnych litwinkach, które broniły miasta od nieprzyjaciół, a nie mogąc się oprzeć przeważającéj sile, same się pozbawiły życia, przenosząc śmierć nad niewolę.

„Świtezianka“ prócz osnowy ludowéj przypomina w niektórych ustępach i „Rybaka“ Goethego i słynną „Laurę i Filona“ Karpińskiego. W „Rybce” zespoliły się dwa motywy: 1) przemiana matki w rybkę i karmienie przez nią niewowlęcia, pokrewny zapisanemu, jako baśń białoruska, u Kulisza w „Zapiskach o južnoj Rusi”, i 2) zawiedzenie dziewczyny wiejskiéj przez pana i kara, jaka spada na uwodziciela; a że dwa te motywy nie są zlane umiejętnie, więc też „Rybka“ jest najsłabszą z ballad Mickiewicza.

„Powrót Taty" osnuty jest na wspomnieniach dzieciństwa poety; w „Kurhanku Maryli" słyszymy i odgłos sentymentalnéj poezyi Karpińskich i Kniaźninów w rodzaju „Korydona smutnego na cześć Palmiry", i dalekie echo ludowéj piosenki.

„Pani Twardowska" jest rezultatem humorystycznego traktowania materyału legendowego o czarnoksiężniku Twardowskim i swarliwéj jego małżonce, zakończenie zaś ballady, wybornie zastosowane do ogólnego tonu, jest własnością poety. Na tych samych podaniach opiera się i ballada „Tukaj", nieskończona rzecz poetę dla dźwięczącego w niéj fałszywego pod względem moralnym tonu.

„Lilie", oto jedna z lepszych ballad. Podstawę znalazł do niéj poeta w piosence ludowéj, zapisanéj w rozbiorach Wacława z Oleska i Wójcickiego, zaczynającéj się od wyrazów:

Stała nam się nowina
Pani pana zabiła.

Mowa tu o żonie, co zamordowała swego męża, i o karze, jaką wymierzyli na niéj bracia nieboszczyka. Poeta umiejętnie nader przeniósł to zdarzenie w czasy Bolesława Śmiałego i pobytu jego w Kijowie, o czém znalazł wzmiankę w przypisach do „Śpiewów historycznych" Niemcewicza; wprowadził tylko cudowność i motyw chrześciański odpowiedzialności grzesznika wobec trybunału własnego sumienia. Rytm 7-zgłoskowy wybornie naśladuje pierwowzór.

Wreszcie, ostatnia z ballad Mickiewicza, wydanych w r. 1822 „Dudarz" tonem posępnéj rezygnacyi stanowi przejście od ballad i romansów do „Dziadów", jest ona całkowicie osnuta na osobistych stosunkach poety — pod obrazem sędziwego dudarza, przypominającego późniejszego Halbanu z „Konrada Wallenroda", kryje się zapewne poważna postać Tomasza Zana.

Na udatném porównaniu ballad Mickiewicza z podobnemiż utworami Goethego i Schillera kończy się tom I „Młodości Mickiewicza".

Tom II zawiera życiorys poety i utwory jego z epoki po rozłące z Marylą. Piewszy wiersz z tego okresu, pisany w kilka miesięcy po ślubie Maryli, p. t. „Żeglarz" przypomina i monolog Hamleta i „*Seefarth*" Goethego i „*Euthanasyę*" Byrona; wiersz zaś „Do * ", pisany bezwąpienia do Maryli, powstał pod wpływem dorywczéj lektury filozofów niemieckich i „*Don Carlosa*" Schillera.

Genezie „Grażyny" poświęcone jest dłuższe studyum. Początkowo tytuł tego poematu brzmiał: „Korybut, książe Nowogródka, poema z dziejów litewskich"; bohater nosił tu imię Korybuta, żona

jego — Karyny, wielkim księciem był Kiejstut, nie zaś Witold, jak w późniejszéj redakcyi. W takiéj szacie poemat odpowiadałby ściśle danym historycznym, zapisanym przez Stryjkowskiego o nieprzyjaznych stosunkach Korybuta, księcia nowogródzkiego, z Kiejstutem. W dalszym ciągu p. Tretiak wyjaśnia, naszém zdaniem, wybornie genezę zmiany, jaka nastąpiła w układzie poematu.

Poeta w trakcie pisania spostrzegł się, iż Korybut, którego obrał sobie za bohatera, był wprawdzie księciem nowogródzkim, ale nie tego Nowogródka, który Mickiewicz znał z lat dziecinnych, lecz Nowogródka Siewierskiego; a że w poemacie zbyt wyraźnie wskazana jest miejscowość, gdzie się akcya rozgrywa, poeta wolał poświęcić historyczność i historycznego Korybuta zmienił na wymyślonego Litawora. Z tą zmianą poszły inne: Karyna przybrała imię Grażyny od wyrazu litewskiego „graża”, t. j. piękna („zwana Grażyną, czyli piękną księżną“), Kiejstuta zastąpił dla względów historycznych Witold, — w ten sposób „poema litewskie” przekształciło się w mniéj historyczną „powieść litewską”.

W „Grażynie” daléj ścierają się dwa kierunki: klasyczny, w oddzielnych frazesach i porównaniach, i romantyczny, zwłaszcza w kolorycie i w charakterach postaci; pierwowzór do bohaterskiéj Grażyny można odnaleźć w eposie klasycznym, a także w powiastce „Żywila” — wreszcie autor roztrząsa błędy w kompozycyi i szczegółach poematu, pochodzące z niedostatecznego obmyślenia całego toku akcyi.

Również sumienną i przedmiotową jest krytyka „Dziadów”; w całokształcie tego poematu zawiera się idea poświęcenia jednostki dla dobra ogółu — myśl zasadnicza również i „Konrada Wallenroda”.

„Co zaś do „Dziadów“ wileńskich, t. j. I, II i IV ich części, to można w genezie ich podkreślić trzy momenty. Pierwszy—to samobójcze myśli poety po ślubie Maryli, których świadectwem jest „Żeglarz”, a które wzbudziła w nim lektura Werthera, — a stąd pomysł przedstawienia siebie samego, jako upiora, pokutującego za grzech samobójstwa; świadczy o tém urywek, p. t. „Upiór“, najwcześniejsza z części „Dziadów”. Drugi moment — to wprowadzenie uroczystości ludowéj, związanéj z dniem zaduszek, skąd poemat otrzymał tytuł „Dziadów”, trzeci wreszcie — to przedstawienie owego upiora jeszcze za życia i jego stosunku do ukochanéj. — Tylko, że trzy te motywy nie są dostatecznie zlane w harmonijną całość.

W dalszym ciągu prof. Tretiak rozbiera pozostałe fragmenty I części „Dziadów”, starając się wyjaśnić ich genezę i znaczenie

w całokształcie poematu; tak np. Myśliwy Czarny przypomina Mefista i Samiela z opery Webera „*Freischütz*".

W balladzie o Poraju widzimy dwa pierwiastki składowe: podaniowy, o Twardowskim i jego czarodziejskiém zwierciadle, i osobisty, na tle stosunku poety do Maryli (Poraj, z przydomkiem Rywonid — herb Mickiewiczów); oto co mówi prof. Tretiak o znaczeniu téj ballady: „Młodzieńcem, przykutym do łańcucha, jak to jego nazwa Poraj wskazuje, jest sam poeta, zwierciadłem, w które się wpatruje, jest obraz miłosnych wspomnień, a wpatrywanie się czyni go coraz bardziéj nieczułym na wszystko, obraca powoli w kamień. Miał téż i poeta przyjaciół, co chcieli go, jak Twardowski młodzieńca w balladzie, zwolnić od czarodziejskiego zwierciadła, „wyrwać z opoki", zwrócić do świata, ale ich namowy i rady nie trafiły do przekonania poecie... wolałby raczéj „pocałować zwierciadło", to jest zupełnie przestać żyć, niż oderwać się od słodkich i bolesnych wspomnień świeżéj przeszłości".

W części II „Dziadów" p. Tretiak dostrzega pewne pokrewieństwo tematów w obrazie nielitościwego pana, dręczonego przez drapieżne ptaki, i Ugolina z „Boskiéj Komedyi" Danta; w IV wreszcie, którą roztrząsa szczegółowo, zestawia bezładne opowiadanie Gustawa ze spowiedzią Robaka w „Panu Tadeuszu". Co do cudowności z trzema symbolicznemi świecami, z wywoływaniem ducha z kantorka i t. d., to prof. Tretiak uważa ją za niezręczną, również jak i w „Romantyczności". Wreszcie, rozbiór „Dziadów" kończy zestawienie cholerykа Gustawa z flegmatykiem Wertherem, który w procesie twórczości „Dziadów" odegrał rolę niemałą.

Ostatnie wreszcie wiersze wileńskie Mickiewicza również noszą na sobie ślady wpływów obcych: „Nowy Rok" — powieści Jana Pawła Rychtera. p. t. „Sienbenkäs", "Majtek" zaś — „Pożegnanie Childe Harolda" Byrona.

Takie są rezultaty pracy niniejszéj w dziale twórczości poetyckiéj Mickiewicza z pierwszéj połowy jego życia. Widzimy więc, iż tę część zadania autor wypełnił nader sumiennie, z wielkim talentem i znajomością rzeczy.

Takie ustępy jego dzieła, jak rozbiór ballad, geneza „Grażyny" lub „Dziadów" wileńskich, pozostaną odtąd kamieniem węgielnym wszelkich dalszych poszukiwań dla miłośników największego naszego poety.

W genezach autor „Młodości Mickiewicza" nie ugania się za efektem, nie bawi się złudném podobieństwem oddzielnych wyrazów i zwrotów, częstokroć sprowadzającém na manowce zbyt gorliwych

szperaczy; ale jeśli wykazuje wpływ obcych literatur na Mickiewicza, to czyni to z rozwagą i ostrożnie, rozróżniając rzeczy prawdziwie ważne i cenne od drugorzędnych, szczere złoto od błyskotliwego blichtru. Dla tego też dowodzenia prof. Tretiaka mają zawsze moc przekonywającą i rzadko tylko budzą nieufność i podejrzenie.

Co do życiorysu poety, to jest on opowiedziany żywo i zajmująco, a oparty na wszystkich najnowszych źródłach; przez umiejętne zaś wprowadzenie do biografii rozbioru utworów, jak w pracach Chmielowskiego o Mickiewiczu, Małeckiego o Słowackim, Tarnowskiego o Krasińskim, życie i poezya wieszcza splatają się w jeden wieniec laurowy na jego czoło.

Pożądaném byłoby, aby wszyscy nasi wielcy poeci doczekali się tak gruntownych i umiejętnych studyów; pożądaném byłoby również, aby prof. Tretiak na „Młodości Mickiewicza" nie przerwał swéj pracy i kiedyś przedstawił nam całokształt życia i poezyi naszego wieszcza.

Henryk Galle.

Studya do dziejów uniwersytetu krakowskiego i jego wydziału teologicznego w XV wieku w pięćsetletnią rocznicę założenia wydziału teologicznego w Krakowie przedstawił D-r Jan Nepomucen Fijałek, prof. ck. uniwersytetu we Lwowie. W Krakowie nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczéj polskiéj 1898.

Książka niniejsza napisana w pięćsetletnią rocznicę założenia fakultetu teologicznego w Krakowie obejmuje zarysy biograficzne pierwszych naszych mistrzów i profesorów. Znajdujemy w niéj nadto garść wiadomości, dotyczących pierwotnéj organizacyi uniwersytetu oraz wiązankę szczegółów o początkach humanizmu w Polsce.

W pierwszym rozdziale swéj pracy zajmuje się autor sprawą zawiązku senatu akademickiego. Rozporządzenie Wojciecha Jastrzębca z 18 października 1422 r. w myśl bulli Marcina V, wydanéj we Florencyi d. 27 października 1419 r., mieści następujące wyrazy: „Postanawiamy, aby rektor uniwersytetu wespół z dziekanami fakultetu teologicznego, prawniczego i *artium* (medyczny powstał dopiero późniéj) piastowali najwyższy urząd uniwersytetu (*regimen et ordinatio omnimoda Universitatis*). Od rozporządzeń téj władzy uniwersyteckiéj nie było odwołania, zwłaszcza kiedy senat wyrażał swą opinię o pracy i zasługach kandydatów, poleconych biskupowi na beneficya i prebendy akademickie. Jeżeli członkowie senatu nie wydawali jednogłośnego zdania, biskup nigdy nie mógł orzekać w myśl mniej-

szości; prawo przechylenia się na którąkolwiek stronę przysługiwało mu jedynie w wypadku równości głosów.

Rektor dzierżył w swych rękach władzę sądowniczą nad wszystkimi scholarami uniwersytetu. Wyrok przezeń wydany nie dopuszczał żadnéj apelacyi, bo za taką trudno uważać dozwoloną konsyliarzom uniwersyteckim rewizyę. Zresztą w przestępstwach większych sądzeni byli scholarowie przed trybunałem biskupim, jeżeli należeli do stanu duchownego, zaś uczniowie świeccy odsyłani byli do sądów królewskich.

Już zaraz w XV wieku biskupi krakowscy rozszerzali zakres swéj władzy nad uniwersytetem po nad normę, jaką określała konstytucya królewska. Zarówno tutaj, jak i w wywieraniu nacisku, kiedy szło o wybór rektora, pierwszy zaznaczył się potężny Zbigniew Oleśnicki, który przelewał niekiedy całą swą władzę juryzdykcyjną na rektorów, żeby tém łacniéj utrzymać w karbach burzących się przeciw przełożonym uczniów akademii. Późniéj, w 1448 r., w tym samym celu zakładane były bursy akademickie, w których od r. 1491 bakałarze i uczniowie winni byli mieszkać razem. Przepisy te miały na widoku nietylko uczącą się młodzież, ale i ciało nauczycielskie, nie celujące również uległością, czém się tak bardzo martwił teolog krakowski, sędziwy Benedykt Hesse.

Ambitny kardynał wymógł na Jagielle, że i kanclerstwo uniwersyteckie spoczęło niepodzielnie w ręku biskupów krakowskich.

Następnie podaje autor wiadomości, najczęściéj ściśle biograficzne, o 20 podkanclerzych akademii z lat 1406—1585. Za wicekanclerstwa Macieja z Kobylina (1489—1492) wstąpili do uniwersytetu: poeta Konrad Celtes w lecie 1489 r. i genialny Kopernik pod zimę 1491 r., spółczesnie z nimi zapisał się w poczet studentów wielkie rokujący nadzieje Piotr Tomicki. Wszyscy owi podkanclerze należeli do stanu duchownego. Pierwszym świeckim wicekanclerzem został Stanisław Zawadzki, piastujący tę godność dwukrotnie (1567—1573 i 1586—1592).

W przejściu od naczelnych uniwersytetu urzędów do czynności profesorskich znajdujemy wzmiankę o księdzu Nowku, który w r. 1406 utworzył przy wszechnicy katedrę retoryki i gramatyki. Wykłady prowadzone przez altarystę były dość suche i mocno trąciły scholastyką. Dopiero późniéj budzą się u nas prądy humanistyczne. Jednym z koryfeuszów odrodzenia świata starożytnego w Polsce był uwieńczony w 1487 r. w Norymberdze, „poeta miłości”, wspomniany powyżéj Konrad Celtes, którego, jak powiada ks. Fijałek, idąc za „świetną hipotezą” Szujskiego, przyciągnęła do stolicy Polski nie

sława uniwersytetu, lecz myśl jego reformy w duchu renesansu, rzucona przez domownika Grzegorza z Sanoka, Filipa Kalimacha. Wraz z Celtesem miał się téj reformy podjąć i Jan Ursinus, o którym wzmianka poniżéj. Nie posiadając stopnia akademickiego, nie mógł Celtes czytać swych prelekcyi w auli uniwersyteckiéj, wykładał tylko w prywatnych kolegiach. Rzecz swoją „*De condendis epistolis*" wygłosił w bursie węgierskiéj, a właściwie niemieckiéj, bo wynajętéj i zamieszkanéj głównie przez Niemców, d. 23 lipca 1489 r. W zapowiedzi o tym wykładzie, którą ks. Fijałek podaje z rękopisu petersburskiego, znalazłem pewne, słabe wprawdzie oddźwięki jednéj z korespondencyi Cyceronowych do Kuriona (*Romae ab ur. cond 701*); słynny mówca wylicza tu różne listów rodzaje. W r. 1490 przemawia już Celtes z katedry uniwersyteckiéj. Lubo tytułu akademickiego nie posiadał, miano mu uznać za dostateczny zaszczytny wieniec cesarski. Ale nie dopuszczono późniejszego profesora wszechnicy ingolsztadzkiéj do wykładu humaniorów. Na wzór początkujących bakałarzów objaśniał rudimenta filozofii Arystotelesowéj.

Zawdzięczamy również Celtesowi założenie w grodzie podwawelskim towarzystwa literackiego, które miało za zadanie szerzenie zasad i wiedzy humanistycznéj. Nie podaje autor o téj t. zw. „*Sodalitas Vistulana*" bliższych wiadomości. Dowiadujemy się tylko, że składali ją przeważnie Niemcy, a publiczne wykłady odbywały się po większéj części u Sommerfelda w izbach bursy węgierskiéj. Podobne towarzystwa na wzór słynnéj akademii rzymskiéj, prowadzonéj przez Pomponia Leta, do fanatyzmu przejętego ideałami kultury staroitalskiéj, założył był Celtes dwa nad Dunajem, jedno nad Renem i w Budzie.

Inni rzecznicy humanizmu na wszechnicy Jagiellońskiéj to: Jan Ursyn Krakowczyk, Korwin ze szląskiéj Środy oraz Sommerfeld z łacińska *Aesticampianusem* zwany. Późniéj uwija się na arenie téjże działalności światły Jan Sakran z Oświęcimia (1459—1529). Godny uczeń Filelfowy, jak go nazywa mistrz Stanisław z Łowicza, przebywał we Włoszech od 1470 do końca 1475 r. Nie przyniósł stamtąd Jan z Oświęcimia stopnia akademickiego, ale wrócił pełen entuzjazmu i zapału dla literatury starożytnéj. Z Filelfem, ówczesną chwałą Włoch oświeconych, poznał się nasz humanista, jak przypuszcza autor, na bruku rzymskim około r. 1479, za pontyfikatu Sykstusa IV. W roku następnym widzimy go w Krakowie. Około r. 1487/8 gromadzi dokoła swéj katedry młodzież uniwersytecką, spragnioną wiedzy humanistycznéj, jako pierwszy jéj w akademii przedstawiciel. Jeden z wdzięcznych uczniów Jana z Oświęcimia,

niejaki Tomasz Środa, powiada o nim, że „jak nikt inny wprowadza do dokładnéj znajomości Cycerona i innych sławnych mówców".

Do skarbnicy wiadomości o Janie Sakranie, podanych przez profesorów Szujskiego i Morawskiego, dorzuca ks. Fijałek wiązankę materyału źródłowego. Są to powitalne mowy i poezye.

Większą część swéj pracy poświęcił autor porządkowym dziejom fakultetu teologicznego. Pokrótce tylko zwrócimy uwagę na rzeczy wybitniejsze i bardziéj zaznaczenia godne.

Pierwsi mistrzowie uniwersytetu Jagiellońskiego kształcili się na wszechnicy praskiéj Ale cudzoziemców wielu śród nich nie znajdziesz, byli to z wyjątkiém może profesorów wydziału medycznego, przeważnie Polacy. Fakultet teologiczny, którego założeniem zajął się był r. 1394 Jan Isner, pod patronatem Mateusza z Krakowa, składali profesorowie, rekrutujący się przeważnie z mieszczaństwa (szlachta trzymała prym na wydziale prawa), katedry obsadzone były głównie duchowieństwem świeckiém. Jedynie za czasów Jana Kantego znajdujemy w gronie profesorów aż dwunastu mnichów, a między nimi znakomitego Jakóba z Paradyża, Cystersa. Jego kolegą z ław uniwersyteckich w Pradze był Jan Szczekna (1400—1407), również Cysters, pierwszy w akademii krakowskiéj tomista, uczeń i przyjaciel Mateusza z Krakowa, dobrze na zamku królewskim widziany. Obok nich należy postawić Mikołaja Wiganda z Krakowa, (ok. lat 1416, 1421). Odegrał on ważną rolę w zapasach z Husytami, których zwalczaniem zajmował się uniwersytet krakowski i kapituła przemyska. Polemikę antyhusycką wprowadził do Polski Stefan Palecz (1418—1422).

Obok tych mężów, którzy byli świecznikami wydziału teologicznego, należy się wzmianka Maciejowi z Koła († 1440). Cechuje go, w słabym oczywiście stopniu, owa wszechstronność dyletancka, która stanowiła jeden z rysów znamiennych późniejszéj epoki. Zajmował się nawet medycyną. „Mistrza Macieja droga do profesury—powiada ks. Fijałek—wiodła przez wszystkie wydziały, względnie przez nauki w nich wykładane".

Z pośród innych profesorów akademii krakowskiéj, których biografie podaje autor, zasługują na uwagę: Andrzéj z Kokoszyna († 1435), najwybitniejszy z mistrzów krakowskich, oraz Benedykt Hesse († 1456), jeden z najpłodniejszych i najbardziéj wpływowych pierwszych naszych teologów. Jakóbowi z Paradyża poświęca autor oddzielną rozprawę w skład niniejszéj nie wchodzącą.

Kończąc notatkę naszą o książce ks. Fijałka, winniśmy jeszcze zaznaczyć, że studyum powyższe, lubo nie rzuca obfitego światła na

stosunki wewnętrzne wszechnicy Jagiellońskiéj w pierwszym okresie jéj istnienia, to jednak przez zasób wiadomości z możliwą ścisłością na podstawie materyału źródłowego datami określonych, może służyć jako drogoskaz w dalszych na tém polu poszukiwaniach naukowych. Autor czerpał głównie ze zbiorów biblioteki Ossolińskich we Lwowie oraz petersburskiéj. *Jan Zahorski.*

Marya Konopnicka. „Ludzie i rzeczy.—Szkice i obrazki“. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1898. In 8-o. Str. 479.

Jest to przeważnie zbiór pism ulotnych, drukowanych w gazetach warszawskich, a poświęconych wrażeniom chwili. Jednak, jak wszystko co z pod pióra Konopnickiéj wychodzi, tak i te feljetonowo kréślone drobiazgi mają trwalszą wartość i bezwarunkowo zasługiwały na utrwalenie w formie książkowéj. Wielbiciele talentu naszéj poetki, która i w prozie niewielu ma równych sobie, z upragnieniem oczekiwali chwili wydobycia z bibuły dziennikarskiéj na światło dzienne tych drobiazgów, z taką rozkoszą niegdyś odczytywanych. I spotkała ich miła niespodzianka... bowiem oprócz rzeczy znanych już każdemu z pism codziennych lub tygodniowych, znaleźli w końcu książki wspomnienie o Lenartowiczu, drukowane w krakowskim Świecie, a rzucające tak wiele światła na mało dzisiaj znaną postać lirnika mazowieckiego.

Znaczną część książki, bo dziesięć bitych arkuszy, zajmują sprawozdania z uroczystości imienia Kolumba, urządzanych w Genui w 1892 r. Mogłoby się zdawać, że efemeryda ta, któréj echa dawno już przebrzmiały, razić będzie w książce wobec powagi nazwiska autorki. Zamierzaliśmy ją przerzucić tylko, tymczasem, porwani przedziwnym wdziękiem stylu i subtelnym humorem, z jakim poetka kréśli finansowe kłopoty inicyatora wystawy, nie możemy już oczu od tych kart oderwać i jednym tchem musimy wszystko do końca przeczytać. Jakąż plastyką i barwnością słowa odznacza się np. opis pochodu historycznego—cała gama kolorów gra poprostu w oczach naszych na tle lazurowego morza, zlewającego się prawie że niewidzialnie na widnokręgu z roztopionemi zda się turkusami włoskiego nieba; albo cały ostatni rozdział, wystawie dydaktycznéj poświęcony — przedmiot na pozór tak suchy pod czarem dotknięcia poetki zamienił się w barwny obraz, kipiący życiem dumnych ze swego dzieła młodocianych wystawców.

Czytając zebrane przez autorkę w książce téj wrażenia z wędrówki po świecie („Akwilea" „Na rybaczych łagunach" „W Awinionie", „Luźne kartki", „Na kwiatowéj giełdzie", „Jasełka", „Szkice z cmentarzy", „Jak słońce zimą w Gorycyi wschodzi" i „Jak słońce zimą w Gorycyi zachodzi")—dostrzegamy olbrzymią różnicę pomiędzy temi obrazkami, śród których niejedno znajduje się arcydzieło, a wydanemi przed dziesięciu laty oddzielnie „Wrażeniami z podróży". Tam na każdéj niemal karcie książki raziły nas sztywne frazesy i sztuczne tęsknoty w długich, napuszonych, kunsztownie budowanych okresach — tu w gorączkowém odtwarzaniu uczuć i wrażeń tylko przelotnie daje się słyszéć minorowy ton; czytelnik zapomina o samym przedmiocie opowiadania, lubując się czarem stylu poetki, którym, przyznać jéj to trzeba, Konopnicka włada po mistrzowsku.

Pomimo niepospolitéj wartości wszystkich artykułów w książce téj zawartych, wyróżniają się jeszcze od innych pod względem artystycznego opracowania trzy prace, które mogłyby same przez się stanowić pyszny zbiór nowel. Jest to mianowicie cykl więziennych obrazków „Za kratą", „Chodzik" i „Miłosierdzie gminne".

„Za kratą" przesuwają się sylwetki z kobiecych więzień na Pawiaku i ulicy Złotéj. Bez słów potępienia, z ogromném współczuciem dla nędzy ludzkiéj i nieszczęścia kreśli Konopnicka w sposób jéj tylko właściwy szereg wizerunków złodziejek, morderczyń i podpalaczek. Są to może najbardziéj smutne karty w książce, stokroć smutniejsze niż „Szkice z cmentarzy" opromienione tylko słońcem poezyi i ciepłem serdeczném, z jakiém kréśli je autorka.

„Chodzik" — to sylwetka wyjątkowéj w naszych stosunkach postaci. Wieśniak z Wielkopolski, Józef Skrzyboń, wyszedłszy ze wsi, na twardéj jesieni po kopaniu, zimą tu i owdzie najmował się w domach do robót i posługi, wiosną po ogrodach kopał i tak sobie coś niecoś uzbierawszy na „Zachód" idzie. Czytał on wiele i z zamiłowaniem, i postanowił sobie zdobyć „oświatę".—„Toż to w książkach stoi opisane, co oświata na zachodzie je... takem się po nią i wybrał". Nad tém co czytał zastanawiał się głęboko, czego dowodzą trafne zdania wypowiadane o znakomitszych pisarzach, których Chodzik „kaznodziejami" nazywa. Przytém wyrozumował sobie, że muszą się oni czémś wyróżniać śród zwykłych ludzi—tak np. zaproszony do jednego z takich „kaznodziejów", Zygmunta Miłkowskiego na obiad, nie dał sobie wyperswadować, że jest to właśnie T. T. Jeż, którego dzieła chciwie przezeń czytane były.

—„Co pan mówią — odparł, gdy mu to powiedziano — ten malutki, starzeńki, w tym szarym kubraku? Taki kaznodzieja, w ta kim kubraku?... A ino! Nie tędy do pola! Panisko sobie wyprowadza śmiéch z chłopa, a chłop nie taki głupi! — To jakże? To taki, co praprawnuka miał i historyę o nim spisał, będzie panu podczas żył?... A tocby on ze dwieście roków musiał mieć, żeby do tego dnia po światu chodził... A ino! — Już mnie panisko nie zmani, ani z téj strony, ani z téj strony. To téż choć i ksiądz na wsi a ornaty po sobie rozpuszcza i w kolorach se różnych chodzi, a takiby w kubraku zaś miał?... A ino"!...

Największe wrażenie ze wszystkich w książce téj zawartych wywiera obrazek „Miłosierdzie gminy". Wyobraża on scenę rozgrywającą się w jednéj z gmin szwajcarskich, a tak przejmującą pomimo całéj prostoty, z jaką odmalowaną została. Oto zebrali się ludzie dla spełnienia dobrego uczynku, mając przed sobą starca, ledwie powłóczącego nogami, niezdolnego już do cięższéj roboty. Gmina, na któréj ciąży obowiązek zapewnienia mu dachu i chleba, aż do śmierci — drogą licytacyi poszukuje kogoś, coby się zdecydował zapewnić mu na starość kąt u siebie, żądając przytém jaknajmniejszéj dopłaty. Starzec chcąc o ile możności ulżéć gminie ciężaru, dla zachęcenia „nabywców", udaje zucha. Syn jego, również stający do licytacyi, utrzymać się przy niéj nie może i nieszczęsny niedołęga idzie sterać w mozolnéj pracy ostatnie dni żywota do bezlitosnego człowieka, który napewne będzie się starał wycisnąć z niego cały sił ostatek i nie zrobi na nim złego interesu.

Pod koniec tego sprawozdania trudno nam nie wrócić myślą do zaznaczonego w samym początku wspomnienia o Teofilu Lenartowiczu. Jak dotychczas, jest to największa praca, poświęcona pamięci lirnika mazowieckiego, z tém większém zaciekawieniem przeczytaliśmy ją i tém większą wdzięczność winniśmy za nią poetce. Nie znajdujemy tu wprawdzie szczegółowéj charakterystyki jego utworów, spotykamy za to wiele zajmujących szczegółów, które pozwalają czytelnikowi zobrazować całość duszy Lenartowicza. Po przeczytaniu tego wspomnienia dochodzimy do wniosku, że nikt nie jest tak powołanym do skréślenia wizerunku tego poety, jak Konopnicka, która świetnie odczuwając go, obcowała z nim w ostatnich latach jego życia i posiada znaczny zapis jego listów. Zamyka téż autorka wspomnienie o Lenartowiczu wyjątkami z tych listów, słusznie mówiąc o nich, że „są to myśli i nastroje, które nawet wyrwane z całości, luźne, mają własny ton i własną barwę. Czasem jest to ziarno, czasem kwiecie, a czasem ów liść kaliny, na którym

sierota zapisuje wszystko, co jéj do głowy przyjdzie, aby go wiatr cichém wianiem zmiótł do rodu do brata". I my zamkniemy sprawozdanie nasze wyjątkami z korespondencyi poety, które „przecież odbijają w sobie coś z duchowego oblicza" twórcy Lirenki.

„...Kiedy patrzę na młodość i młodzież, napełniam się po wręby serca radością. Bóg z nimi! Młodości! Tobie bóle, męczarnie, ale i rozkosze — starym sen, sen długi i... kołyska bez biegunów... Poezya jest dzierżawą młodych i jest w tém racya: społeczeństwo ogląda się za wagą nietylko słów, ale i czynów, których rękojmi zniszczone siły już nie dają...

Nigdy ja o sobie nie miałem wielkiego wyobrażenia i całą moją namiętnością, pretensyą może, było wsłuchiwanie się w głosy natury niezepsutéj, które nie powiem, żeby mi się udało oddać w słowie:

Z ust tych słyszane potrącam słowa,
Lecz się wiernością wielką nie chwalę:
Kryształem była śpiewaka mowa,
A w moim męty ujrzysz krysztale.

Idźmy naprzód, niosąc każdy światełko swoje, bacząc, aby nie zagasło, — nie inaczéj gwiazdy czynią po przepaściach niebios, a wszechświat tém trwa i trwać będzie. Nie myślmy o szczęściu osobistém, o naszym znikomym prochu. Kiedyś tu czytałem Bossueta, a jedna jego myśl uderzyła mnie przerażającą prawdą: „Nie szukaj siebie, bo biada ci, jeśli przy końcu wędrówki znajdziesz to, czegoś szukał. Będzie to próżnia, czczość, zniechęcenie i nuda"...

Jeżeli ludzie uderzają na ciebie, znak to, że musisz miéć skarb jakiś, który ci chcą wydrzéć, serce, wyższość jakąś, spokój duszy, może niedbanie o nich...

Na wszelkie rodzaje suchot ludzie umiérają, a na suchoty serca tyją...

Prawdziwy poeta nigdy się nie doczeka ani łaski salonów, ani pokupu u żydów, ani błogosławieństwa jezuitów, ani wieńca anarchistów, — ale będzie połykać łzy w ciszy, uśméchając się do świata...

...Myśli przepadną?... niech przepadają! Imienia nikt nie powtórzy?... niech zaginie! Przylecą szlachetniejsze ptaki, pieśń wieczna nie zcichnie, — co mnie do tego, że sam w jéj wybuchu zaginę?... Co mnie, co mnie, to wszystko? Ja pragnę oderwać się z krzyża czasu i lecieć w wieczną ciszę".

Ar. Les.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska. Nowe wydanie krytyczne według rękopisu znajdującego się w bibliotece Cesarskiej w Petersburgu przygotował i wstępem opatrzył Dr. Bronisław Gubrynowicz. Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1898 in-vo, str. XXI — 440.

Samo wydanie poprzedza p. Gubrynowicz wstępem, w którym podaje w krótkości najważniejsze szczegóły z życia Paska, dodając do dotychczasowych naszych wiadomości o pamiętnikarzu kilka nowych i nieznanych dotąd: znalazł je p. Gubrynowicz „w notatkach po śp. Żegocie Paulim“, wspomina o nich jednak tylko w krótkości, obiecując przedstawić „obszerne omówienie i zestawienie dokumentów w osobnym artykule“. Rozbiorowi „Pamiętników“ poświęca p. Gubrynowicz resztę rozdziału pierwszego, zestawiając w przypiskach odnośną literaturę. Rozdział II wstępu poświęcony jest historyi dotychczasowych wydań Paska, których wydawca wylicza trzynaście. Najlepsze z nich było wydanie lwowskie z roku 1877 Zygmunta Węclewskiego. Wydanie p. Gubrynowicza, czternaste z rzędu, jest oparte, podobnie jak wydanie Lachowicza (Wilno 1843), na rękopisie petersburskim; rękopis ten nie jest jednak autografem samego Paska, lecz kopią; pochodzącą z początku XVIII wieku. Różnice, jakie p. Gubrynowicz przeprowadził w swém nowém wydaniu, są następujące: 1) Dotychczasowi wydawcy spolszczali wszystkie wyrazy i zwroty łacińskie, znajdujące się w tekście (Raczyński), lub umieszczali łacińskie zwroty pod tekstem, a wyrazy spolszczone w samym tekście (Lachowicz), nawet Węclewski nie uwzględnił dokładnie zwrotów łacińskich w swém wydaniu, niektóre nadto opuścił. Wydanie p. Gubrynowicza jest dosłownym przedrukiem rękopisu petersburskiego: wydawca pozostawił wszystkie wyrazy i zwroty łacińskie w tekście, w uwagach zaś podał ich tłómaczenie. 2) W wydaniu obecném niema żadnych waryantów,które np. poumieszczał w swém wydaniu Węclewski, uważając za odmianki tekstowe wszelkie „dowolne zmiany tekstowe, a nawet omyłki popełnione przez poprzednich wydawców“: wszystkie te waryanty odrzucił p. Gubrynowicz dlatego, ponieważ rękopis petersburski stanowi źródło wszystkich wydań. 3) „Omyłki, opuszczenia, przekręcenia nazwisk miejscowości lub osób“ kładzie wydawca na karb przepisującego manuskrypt: dlatego w wydaniu poprawia je zarówno pod względem rzeczowym, jakotéż pod względem pisowni: stąd poprawiono w rękopisie błędne „Fryderyzand“ na Frederichs-odde (25 str.), Hartusen na Arhusen (25 str.), Hurnum na Hoerning (26 str.), Ebeltod na Ebeltoft (26 str.), Niköpinus na Nikoping (33 str.), por. nadto str. 61, w w. 2 i 3; Dunskoruński na Dołgoruki (102 i częś-

ciéj Chmielnicieński na Chmielniczeńko (117 str.), tetrafolle na trufle (154 str.), Dunacy na Dokszyce (193 str.), Ołpie na Wołpę (218 str.), Architopael na Architofel (260 str.), Herkulesowa na Achilesowa (276 str.), Mieronice na Mironice (307 str.), Rodawice na Padhajce (309 str.), Ołyczę na Ołynią (309 str.), Wysiemierzyce na Wyśmierzyce (315 str.): 16 iulii na 19 iunii (317 str.), bonty na bompy (365 st.), rochmister na rotmistrz (367 str.), Siphalerów na spakierów (369 str.), wojewoda melborski na wojewoda pomorski (o Denhoffie 377 str.), dyminuje na destynuje (388 str. według poprawki Węclewskiego, grzecznym za Greczyn (389 str. również według poprawki Węclewskiego), Modrzejowskiego na Modrzewskiego na Modrzewskiego (400 str.), Nakłakowie na Morlacy (406 str.). Zwraca nadto p. Gubrynowicz uwagę w przypiskach na kilka miejsc wątpliwych, które jednak pozostawia tak, jak się znajduje w rękopisie: por. str. 32 w. 4. Ryfwan Anout: prawdopodobnie należałoby czytać Ryf van Canuf (skała Kanuta, według przypuszczenia Węclewskiego); 75 n· ?rudina (może fodina por. str. 76 w. 1); str. 77 w. 11 merlińskie, (może chocimskie); 78. w. 6 ruszenickie (może trzemeszeńskie, według poprawki Raczyńskiego); 184 w. 1. Białogrodu (powinno być Białegostoku); 192. w. 3. Żodniki (może Żodziszki); 202 w. 1. Smorkowerze (może Syrokorzenie, według Węclewskiego); 211. w. 2. Szawas (może czausz, według Węclewskiego); 408. w. 9 baba, (żaba, za Węclewskim). Do opisu samego rękopisu umieszczonego na str. XVIII w. wstępu przyczyniają się jeszcze uwagi do niektórych miejsc w tekście: o lukach wzmiankuje wydawca na str. 134 w. 1. (gdzie mówi o dwóch stronicach niezapisanych); 145 w. 6 („w rkp. 9 kart brak“); 216 w. 11. o braku jednej karty: 171-2; 412 w. 4 (o mniejszém uszkodzeniu rękopisu.) — Por. nadto notatki o obcięciu kart rękopisu na str. 184 w. 6, 328 w. 1, 359 w. 2: 387 w. 2; 396 w. 2, 407 w. 1. W trzech miejscach znajdują się nadto wzmianki o przypiskach na boku rękopisu: 243 w. 8; 357 w. 4, 389 w. 3. Na str. 378* zanotowano znów że w rękopisie znajdowało się kilka słów, następnie jednak zostało przekreślonych.

Samo wydanie tekstu jest nadzwyczaj staranne i poprawne: zyskuje zaś tém więcej przy porównaniu choćby pobieżnem z dawnemi wydaniami, w których znajduje się mnóstwo niedokładności i błędnych lekcyi.

Pod tekstem są umieszczone, podobnie jak to uczynił Węclewski, liczne uwagi, językowe, (objaśnienia wyrazów i zwrotów mniej używanych), jakoteż rzeczowe (wyjaśnienia osób, miejscowości,— daty chronologiczne.) W niektórych też uwagach wykazuje wydawca błędy Paska (3 w. 1, 7 w. 1, 60 w. 3.) Przeważna część uwag

zaczerpnięta z wydań poprzednich, przedewszystkiem Węclewskiego, ale i w nich niejedno uzupełniono i sprostowano.

Pożądaném uzupełnieniem książki jest dokładny „spis osób i miejscowości“ zamieszczony na końcu (str. 427 440). Podobny spis podał już Węclewski, (str. I—XXXI na końcu.) W spisie p. Gubrynowicza, opuszczone są imiona osób świata starożytnego i niektórych miejscowości.

W samym wstępie przy końcu rozdziału II wspomina p. G. jeszcze o przerobieniach pamiętników dla ludu i dla młodzieży, o tłumaczeniach Pamiętników na języki obce, jakotéż o rycinach przedstawiających różne sceny z Pamiętników Paska, wkońcu o utworach poetycznych, osnutych na tle Pamiętników.

D-r Wiktor Hahn.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *A. Krechowiecki.* **O tron. I—Ostatni dynasta, II—Piast.** Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego, Petersburg 1898.—Jako powieściopisarz historyczny, p. Krechowiecki znany jest publiczności naszéj od lat 12, jako autor powieści „Starosta Zygwulski”, „Veto” i „Szary wilk”, przyjętych nader życzliwie przez czytelników. Prof. Chmielowski pisze w swym „Zarysie najnowszéj literatury polskiéj”, że p. Krechowiecki w swych powieściach historycznych lubuje się „w przedstawianiu namiętności silnych, gwałtownych, charakterów śmiałych, energicznych, łatwych do uniesień, zarówno w dobrym, jak i w złym kierunku”; powodzenie zaś swoje powieści te „zawdzięczają głównie żywości, potoczystości i barwności opowiadania, sytuacyom nieraz wysoce dramatycznym; pod względem wierności dziejowéj również wiele im zalet przyznać należy, ale co do psychologii charakterów i namiętności i co do kompozycyi dużo im zarzucić można”.—

Wszystko to można powtórzyć o najnowszéj powieści p. Krechowieckiego pod wymienionym w nagłówku tytułem. Treść jéj już przez tytuł się tłumaczy: jest to więc walka „o tron” polski, walka najsprzeczniéjszych interesów, po większéj części egoistycznych, mocarstw ościennych, magnatów i szlachty polskiéj; „ostatni dynasta”, postać tytułowa pierwszéj części powieści, to Jan Kazimierz, złamany tylu ciosami i składający koronę—na frymark dla

możnowładców; „Piast", bohater drugiéj części — to Michał Korybut Wiśniowiecki, kapryśną wolą braci—szlachty na tron wyniesiony, a jak najmniéj przygotowany moralnie i umysłowo do sprawowania rządów w rozwichrzonym kraju. Oto treść ogólno-historyczna niniejszéj powieści autora „Veto".

Smutne to dzieje, niewymownie smutne, dla nas zwłaszcza, którzy z odległości dwóch stuleci spoglądamy na tę ciemną epokę naszych dziejów, zdając sobie dokładnie sprawę z niesłychanego krótkowidztwa ówczesnych działaczy politycznych, którzy zamknięte mieli oczy—na przyszłość.

Jeden tylko człowiek widzi jasno i zdaje sobie dokładnie sprawę z sytuacyi—to najzawziętszy wróg Rzeczypospolitéj—Wielki Elektor. Jest to jedna z najlepiéj skreślonych postaci powieści: on w téj walce „o tron" nic nie ryzykuje, nie stawia ani jednego fałszywego, naturalnie z punktu widzenia swéj polityki, kroku, dąży wytrwale i niezłomnie do swego celu—stworzenia potęgi dynastycznéj Hohenzollernów dla siebie i dla swoich potomków, i dojdzie do celu swych zabiegów—chociażby poprzez gruzy dawnego samorządu Prus i poprzez trupy Kalksteinów i Rothów. Że w téj drodze rozminie się raz i drugi z moralnością, ucieknie się do zdrady, obłudy i fałszu, że cała jego polityka przesiąknięta jest przewrotnością—nic to! nie napróżno jeden z jego następców (Fryderyk II) napisze „Antimachiavell'a", a sam postępować będzie gorzéj, niż Machiavell. Ten nigdy nie chybi, może być pewnym, iż w téj wiekowéj walce „o tron" wygrana pozostanie po jego stronie—to też na pewności mu nigdy nie zbywa. Poza tą społeczną akcyą, tak olbrzymiéj dziejowéj doniosłości, akcyą, która rozgrywa się przeważnie w części drugiej, znajdujemy jeszcze jednostkową, umiejscowioną przeważnie w I tomie. To—miłość zbiegłego jezuity, Kazimierza Łyszczyńskiego, charakteru w guście romantycznym o ognistych, wulkanicznych namiętnociach, do pięknéj Halszki Szółkowskiéj, przebywającéj na dworze Bogusława Radziwiłła, ucharakteryzowanego w odmienny cokolwiek sposób, niż w „Potopie" Sienkiewicza. Nieszczęściem dla bohatera Halszka nie okazała się skłonną do wskakiwania w komin, jak Oleńka z „Potopu"—stąd tysiączne kolizye i zawikłania. Jest tu jeszcze i druga kochająca się para: Maruchna Łyszczyńska i uwłaszczony sługus Bogusława, Szczenicki, jest i sąsiad Łyszczyńskich, czarny charakter, burda i pieniacz Brzoska, prześladujący Maruchnę swą miłością i t. d. Opowiadaniu temu nie można odmówić, jak mówi p. Chmielowski w wyżéj przytoczonym urywku, „żywości, potoczystości i barwności", nie brak tu nawet i „sytuacyi

nieraz wysoce dramatycznych" i są wreszcie i „namiętności silne, gwałtowne, charaktery śmiałe, energiczne, łatwe do uniesień, zarówno w dobrym (Kazimierz), jak i w złym (Brzoska) kierunku". Widzimy więc, że metoda i sposób malowania przeszłości nie zmieniły się u p. Krechowieckiego w téj ostatniéj jego powieści dziejowéj. W akcyi powieściowéj niniejszego dzieła nie brak w saméj rzeczy scen, obrazowanych nader umiejętnie, z wielką plastyką i siłą pędzla, a sprawiających przez to głębokie wrażenie na czytelniku. W kreśleniu tych scen p. Krechowiecki używa po większéj części barw jaskrawych i ostrych; tonów pośrednich, łagodnych, miękkich niema u niego zupełnie. Bo też i bohaterowie jego to ludzie wcale nie pośredni: całą swoją duszę, całe swoje psychiczne jestestwo skupiają oni w jedném uczuciu, w jednéj namiętności, wraz z nią żyją i wraz z nią—umierają. Rzecz prosta, iż wobec tego powieści p. Krechowieckiego czytają się z prawdziwém zajęciem od początku do końca, trzymając czytelnika do ostatniéj chwili w stanie podniecenia i rozciekawienia. Sprawiedliwość atoli nakazuje nam zaznaczyć, iż powieść „O tron" nie pozbawiona jest tych wad w kompozycyi, które podkreślił p. Chmielowski w dawniéjszych powieściach historycznych autora „Najmłodszych". W powieści niniejszéj wada ta polega głównie na tém, iż akcya historyczna nie jest tu dość silnie zespolona z powieściową. W powieściach historycznych p. Krechowieckiego nie dość podkreślony jest wpływ wypadków ogólnéj natury, społeczno-historycznych, na losy oddzielnych jednostek, jak to widzimy np. u autora „Trylogii". Tam kolizye osobiste np. Skrzetuskiego i Heleny byłyby niemożliwe bez Chmielnickiego i Kozaków, lub Kmicica i Oleńki bez Karola Gustawa i Szwedów, lub wreszcie Winicyusza i Lygii—bez Nerona i prześladowania chrześcian. U p. Krechowieckiego nie widzimy téj ścisłéj spójni logicznéj między losami kraju i ludzi. Czy Jan Kazimierz zwycięży, czy Karol Gustaw, czy Piast, czy książe obcy zasiądzie na tronie—losy Łyszczyńskich i Szółkowskich nie ulegną najmniejszéj zmianie. Obie akcye—ogólna i osobista—idą równolegle, nie przecinając się i nie stykając prawie nigdzie; można nawet wyróżnić oddzielne rożdziały, odnoszące się do pierwszéj, lub drugiéj akcyi. Nie dość na tém: akcya powieściowa wyczerpuje się prawie doszczętnie w pierwszym tomie, drugi zaś—poświęcony jest prawie wyłącznie odmalowaniu stosunków politycznych podczas bezkrólewia z roku 1668, t. j. po złożeniu korony przez Jana Kazimierza, i z poprzednim ma bardzo niewiele punktów stycznych. To więc jedno tylko stanowi ujemną stronę powieści historycznych zasłużonego autora „Veto", które

zresztą barwnie i zajmująco malują tło epoki, ludzi, stosunki i intrygi zakulisowe; zwłaszcza da się to powiedzieć o obrazie owéj chwil przełomowéj, kiedy „ostatni dynasta” złożył już ciężką troskami koronę, a „Piast” nie zdążył jéj jeszcze podźwignąć na słabe czoło. Intrygi kandydatów, przekupstwo możnych, bezmyślność tłumu szlacheckiego odmalowane są tu bezwzględnie, ale w każdym razie wiernie i plastycznie. *Henryk Galle.*

= **Statystyka ludności kaszubskiej**, zebrał i opracował *Stefan Ramułt.*—Z mapą etnograficzną Kaszub. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1899. — Kaszubi są jedyną drobną pozostałością Słowian nadbaltyckich, których siedziby rozciągały się od dolnej Wisły aż poza Łabę do Szlezwiku, na południe zaś do Noteci i Warty. Zwalczane przez napływ niemiecki, tępione tysiącami przez dzikich margrafów, ludy pomorskie wraz z połabskiemi ulegały powolnéj zagładzie, aż wreszcie pozostała z nich nieliczna garstka, znana więcéj w statystyce, niż w historyi, pod mianem ludu kaszubskiego. Autor niniejszego dzieła, który dał się już poznać uczonemu światu, jako gorliwy obrońca odrębności języka kaszubskiego od polskiego, zapragnął obecnie ustalić cyfrę ludności tego drobnego ludu słowiańskiego. Nie zadowolniły go pod tym względem ani dane pracy dr. Nadmorskiego p. t. „Ludność polska w Prusach Zachodnich”, ani luźne wiadomości o ziemi kaszubskiéj, zawarte w „Słowniku geograficznym”, gdzie brak zresztą zupełnie dat statystycznych, ani wreszcie rezultaty spisu urzędowego z d. 1 grudnia 1890 roku, przepełnionego fałszywemi i bałamutnemi danémi. Widząc więc niedostateczność dotychczasowych źródeł, p. Ramułt postanowił sam zebrać materyały do statystyki Kaszubów. Dokonał tego trudnego zadania bądź osobiście, wędrując po Kaszubszczyźnie od parafii do parafii, w czém okazywali mu skuteczną pomoc miejscowi obywatele, nawet Niemcy, duchowieństwo katolickie, organiści, służba kościelna, sołtysi, nauczyciele miejscowi i t. d., bądź téż przy pośrednictwie korespondencyi, tysiąca listów, kwestyonaryuszów, blankietów konskrypcyjnych, rozsyłanych do wszystkich miejscowości, dokąd autorowi samemu nie udało się dotrzéć i wydostać potrzebnych mu danych. Za podstawę swéj statystyki p. Ramułt wziął nie względy n a r o d o w o ś c i o w e, zawsze doprowadzające do mylnych rezultatów, lecz j ę z y k o w e: do Kaszubów zaliczył nie tych, którzy się uważają za należących do ludu kaszubskiego, lecz

tych, dla których język kaszubski stanowi t. zw. mowę potoczną (*Ungangssprache*); chodziło mu nie o wystawienie w jaknajkorzystniejszém świetle stanu narodowościowego dzisiejszych Kaszubów, ale tylko o wydobycie prawdy, bez wszelkiego barwnika tendencyjnego. I oto rezultatem téj mrówczéj pracy po 9 latach jest niniejsze dzieło, w którém autor wytknął sobie dwa cele: 1) oznaczyć granice ludu kaszubskiego i 2) wykazać jego siłę liczebną. Pierwsze zadanie rozwiązuje w zadawalniający sposób rozdział p, t. „Granice osiadłości ludu kaszubskiego", ilustrowany starannie odrobioną i pięknie wykonaną mapą etnograficzną Kaszub, co zaś do drugiego, to siła liczebna ludu kaszubskiego w poszczególnych powiatach pod wzdlędem procentowym przedstawia się w następujący sposób:

1.	Powiat	pucki . . .	76·50%	Kaszubów
2.	„	kartuski . .	75·24%	„
1.	„	wejherowski .	66·79%	„
4.	„	chojnicki . .	44·89%	„
5.	„	kościerski . .	37·78%	„
6.	„	gdański górski	26·26%	„
7.	„	bytowski. . .	20·28%	„
8.	„	człuchowski .	18·46%	„
9.	„	lęborski . . .	9·72%	„
10.	„	słupski . . .	4·92%	„
11.	„	gdański miejski	4·50%	„

Pod względem zaś ilościowym powiaty krainy kaszubskiej można ułożyć w następującą tablicę:

1.	Powiat	kartuski	45.284	Kaszubów
2.	„	wejherowski . . .	27.930	„
3.	„	chojnicki	23.680	„
4.	„	pucki	18.680	„
5.	„	kościerski	17.530	„
6.	„	człuchowski	11 976	„
7.	„	gdański górski. . .	10.519	„
8.	„	gdański miejski . .	5.419	„
9.	„	słupski	4.860	„
10.	„	bytowski.	4.797	„
11.	„	lęborski	4.227	„

Jeżeli do téj liczby dodamy jeszcze Kaszubów, zamieszkałych w innych krajach Prus i Niemiec, a także i w Ameryce, co do których zresztą, jak sam p. Ramułt przyznaje, niepodobna było zebrać krytycznie sprawdzonych danych, otrzymamy następującą tablicę ogółu ludności kaszubskiéj:

W Europie katolików	. .	186.775
„ ewangelików	.	13.442
razem	.	200.217
w Ameryce katolików	. .	121.986
„ ewangelików	.	8.714
razem	.	130.700

a więc ogółem:

Katolików	. . .	308.761
Ewangelików	. .	22.156
razem	.	330.917

Ogólna więc liczba ludności kaszubskiéj wynosi 330.917 czyli bez-mała jedną trzecią miliona, a może być nawet, że cyfrę tę przekracza. Sumienne swe i drobiazgowe dzieło p. Ramułt kończy następującą apostrofą: „Śpiewajże więc, Baltyku, pieśń swą kaszubską, wtórujcie mu stare bory pomorskie, a ty, ludu kaszubski, kochaj i szanuj swą piękną mowę, tę najpiękniejszą po przodkach spuściznę, skoro w obronie jéj krew przelewali i nie wstydzili się nią mówić sławni wodzowie i książęta twoi, których prochy, złożone na wieczny sen w Oliwie, otaczasz czcią należną i wdzięczném wspomnieniem!" Do tych słów dodamy ze swéj strony najserdeczniejsze: „Daj, Boże!" *H. G.*

= *Wincenty Kosiakiewicz*: „**Niebezpieczny człowiek**", powieść. Warszawa, nakład Jana Fiszera, (bez daty na okładce, z *imprimatur* cenzury 2 lutego 1899).—Budowa niektórych powieści ma w sobie coś graniczącego z magią, z czarodziejstwem. Wyobraźmy sobie wiatrak, lub młyn wodny, którego koła, skrzydła, kamienie obracają się najprawidłowiéj, najzgodniéj z prawdą postrzeżeń naszych codziennych, a jednak wody pod kołami nie widzisz, wiatru lub powietrza dmącego w skrzydła, nie czujesz. Byłyżby to młyny parowe, poruszane z pomocą pieców wewnątrz ogrzewanych?—Prawdopodobnie, bo zkądżeby pochodził huk, turkot, łomot?... No, i mąka gdzieś tam zapewne dla kogoś się sypie.—Pan Tomasz Worczyński ukończył kuracyę w Karlsbadzie — a dla nadania temu prawdopodobieństwu cech wiarogodności namacalnéj, autor wzmacnia swe założenie wyrazem „właśnie" i w nawiasie zaznacza, że kuracya prowadzona była „z wielką systematycznością i rygorem". Systematyczność i rygor są nam zresztą potrzebne, w dalszym ciągu, dla charakterystyki bohatéra, który jest „człowiekiem niebezpiecznym". Kto się kąpie z zégarkiem w ręku, alboż się ożeni na oślep lub po pijanemu?

Tymczasem pan Worczyński nie myśli o żeniaczce, o niczém nie myśli, nie chce o czémkolwiek myśléć. Jedzie sobie po skończeniu kuracyi do Wiednia — i na tém koniec. Ale zanim postanowienie zapadło, odbiéra list od przyjaciela z Rzymu, zapraszający na ślub z uroczą, nieporównaną, boską włoszką. Ani mu się śniło jechać do Rzymu; wieczorem jednak poszedł na „Violettę"—i to go zachwiało... Systematyczność w rzeczach dotyczących zdrowia, sowicie nadwątlonego powodzeniami młodości, i chwiejność w sprawach mniejszych, odnoszących się np. do wyboru rozrywek, najkosztowniejszych nawet, na które stać było zawsze pańską fortunę Worczyńskiego, oto dwa zasadnicze, znamienne rysy zapowiedzianego w tytule niebezpieczeństwa. Rzeczywiście, gdzież jest serce niewieście, któreby się oparło ponęcie pielęgnowania resztek organizmu, opatrzonego tak cennym futerałem majątkowym?—Worczyński jedzie do Włoch. Na pokładzie statku spotyka malarza Owczarkiewicza, który mu niegdyś sprzedał obraz, wziął pieniądze i pod pretekstem oprawienia płótna, nie oddał ani obrazu, ani pieniędzy, — typ dobry. Wypłaci się mu teraz Owczarkiewicz. Zamiast malowidła — da aż dwie naraz panny, — żywe, nie malowane. — „Pragnęłyby poznać pana,—powiada. Ładne są i zajmujące,—inteligentne, sprytne, kokietki"... Worczyńskiemu zrobiło się zimno. Zeszedł na dół, gdzie kazał sobie podać szklankę herbaty. Pijąc herbatę, rozmyślał. Głupstwo robi jego przyjaciel z Rzymu, że się żeni z włoszką... A on?—„on także ożeniłby się z pierwszą kobiétą, w którejby zdolny był choć trochę się zakochać,—(zdawało mu się, że stan małżeński jest tarczą przeciw dolegliwościom i nudzie starości), — wątpił jednak, czy serce jego, które przemarnowało i puściło z wiatrem tyle uczuć złotych i prawdziwych, zachowało zdolność do jeszcze jednéj miłości". Przepyszny wschód słońca nad Adryatykiem: „Tarcza słoneczna wytoczyła się z wody, od mgieł aż purpurowa i taka niepospolicie ogromna, ledwie na samych ostrzach odrobinką złota świecąca; na wodzie położył się od niéj ślad szeroki, krwawy na tysiące cząsteczek poszarpany". Symbol wschodzącéj miłości, sądzicie?... O nie znacie jeszcze całego niebezpieczeństwa ludzi niebezpiecznych. W téj chwili właśnie Owczarkiewicz „trąca Worczyńskiego dyskretnie łokciem w ramię" i pokazując ruchem głowy na swoje panie, rzecze przyciszonym głosem: — „Ja pana przedstawię"... — „Niech Pan Bóg broni!" protestuje Worczyński żywo... —„Będzie się pan bawił, zobaczy pan"... nastaje Owczarkiewicz.— „Nie, nie chcę"!—zakonkludował napastowany i cofnął się zaraz ku poręczy. Ale wkrótce panny, przy pierwszéj sposobności, zabiegły

mu drogę... To się już gdzieś, kiedyś, dawno, niedawno czytało— gotów powiedzieć doświadczeńszy czytelnik. Mylisz się czytelniku. Czytało się to nie raz jeden, nie dwa i nie dziesięć, ale nie wadzi przeczytać raz jeszcze, dwudziesty siódmy i dwudziesty ósmy. Panny istotnie zasługują na poznanie. Rozmowy ich sam na sam, na cztery oczy, są wyborne — i nawet godne powtórzenia, bo nie długie,—ta np. nocna, na chwilę przed położeniem się do łóżek (str. 77), albo z rozdziału XIII:—„Słuchaj, Wanda, tybyś wyszła za Worczyńskiego, co?”...—„Bah”!—„Bez namysłu?”—„Ja już się namyśliłam. A ty”?—„No naturalnie”... Pauza,—„Słuchaj, Wanda, jak tobie się zdaje, za którą on leci, za inną, czy za tobą”? — „Nie długo się ten sekret wyda, bądź spokojna”. Pauza.—„Wanda, ty wiesz, że ja cię kocham”?—„Wiem, bo”?—„Szczerze”?—„No, szczerze, bo”?„—Otóż powiem ci jednak otwarcie, że wolałabym, abym to ja była”... —„Niela, ty wiesz, że ja cię kocham”? — „Wiem, i szczerze. I wolałabyś to samo, co ja. Przynajmniéj się rozumiemy”... W młynie Aniela i Wanda odgrywają rolę skrzydeł-straszydeł. Worczyński, zamiast—jak one same przypuszczają i następnie wierzą święcie— lecieć w ich objęcia, czy téż raczéj ramiona, woli zupełnie co innego. Włócząc się po Włoszech z miasta do miasta, na pozór za pannami, zmierza on konsekwentnie i z rygorem starego wielbiciela zasady „piękna dusza w pięknem ciele” — tam, gdzie jest dusza. Nie domyślacie się? To takie proste. Panny nie podróżują przecież same. Jest ktoś przy nich... panny mają mamusię. Podczas, kiedy Wandzia i Anielcia wymachują skrzydełkami, Worczyński powoli, stopniowo osacza serce pani Tonczyńskiéj... Naturalnie, pani Tonczyńska jest wdówką,—młodą, powabną, zacną, skromną, potulną wdówką,—po mężu, to się rozumie, nicponiu i bodaj czy nie łajdaku. Czas długi—za długi może cokolwiek — przez głowę jéj nawet nie przejdzie, aby grzeczności Worczyńskiego mogły być czém inném, niż naturalną ścieżką, przez wrota życzliwości matczynéj, do ręki Wandy lub Anieli, a ta jéj naiwność, z początku bawi Worczyńskiego, późniéj go dziwi przyjemnie, następnie zachwyca, daléj unosi,—aż wreszcie, gdy już wszyscy wrócili do kraju i pani Torczyńska osiadła w swych dobrach pod Warszawą,—do stóp jéj ściele. Romans przeprowadzony świetnie, ze sporym nakładem kunsztu pisarskiego, nitującym kawałki rzeczywistości zręcznie podpatrzonéj, która, bez tego, rozlałaby się od wstępu w dziewięciu wypadkach na ośm. Jest-że to wyjątkowy, umiejętnie nawiązany problemat psychologiczny?—pytanie za wielkie. Jest-że to zręcznie rozplątana zagadka estetyczna? — odpowiedź za mała. Coś środkującego,—przewinię-

tego w dodatku delikatną nitką morału, że młode panny źle czynią, ilekroć, w pogoni za mężem, myślą tak, jak mówią, a mówią do siebie z prosta, niemal grubiańsko: ,,wiesz co, kopnęłabym się za niego"... Wszystko razem toczy się kłębuszkiem równym, gładkim, wycackanym, — a tak mocno w sobie zwiniętym i sobie wystarczającym na punkcie intrygi miłosnéj i próżniaczego spędzania czasu pod włoskiém i szwajcarskiém niebem, jak gdyby reszta świata, z ziemią ojczystą i gospodarstwem słowiańskiém, z brudami żydowskiemi i cywilizacyą chamską, w nicość gdzieś zapadły. To nie jest żadna historya życia powszedniego, to nie jest żaden obraz lub obrazek pięknego zakątka przyrody, — to tylko jakiś sprzęcik elegancki, tabakierka wygrywająca jeden melodyjny temat, ekranik rzeźbiony i emaliowany w stylu XVIII wieku, pantofelek do zegarka czasów obecnych,—pantofelek haftowany perłami dyletantyzmu literackiego, gdy czasy są pełne biédy, smutku, ciemnoty i małpiarstwa. Że zaś autor jest pisarzem pierwszorzędnéj wprawy, że ma talent i bogatą intuicyę psychologiczną, że zalety i dary te zyskały mu niemało sławy, więc sobie lekceważy swe zadanie, więc sobie żartuje— chyba ze społeczeństwa — zamiast je obserwować i badać, zamiast je uczyć i do wglądania w istotę spraw swych domowych zachęcać.

I. T. H.

= **Melchior Pudłowski i jego pisma.** Przyczynek do historyi literatury polskiéj XVI wieku przez *Teodora Wierzbowskiego.* Warszawa 1898, str. 94 („Bibloteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w.", zeszyt X).—Jak każdy wielki poeta, tak téż i Jan z Czarnolasu miał wielu uczniów, czy naśladowców, wśród których historycy wskazują Sępa-Szarzyńskiego, Wisniowskiego i Kochanowskiego Mikołaja:—o Pudłowskim, który pierwsze między dopiéro wspomnianymi dzierżyć winien miejsce—zapomniano zupełnie. Słusznie tedy uczynił prof. Wierzbowski, zająwszy się wydaniem pism Pudłowskiego, poprzedzając je niedługim wstępem, zawierającym biografię poety. Urodzony w ziemi Sieradzkiéj odbywał studya na uniwersytecie jagiellońskim, gdzie zaprzyjaźnił się ze Stanisławém Orzechowskim, którego „Chimerę" wychwalał wierszem łacińskim. (Por. str. 24—25). Następnie pełnił funkcye sekretarza przy Stanisławie Wolskim, kasztelanie rawskim, Z inicyatywy téż prawdopodobnie dworu tego magnata napisał Pudłowski w roku 1661 „Lament i upominanie Rzeczypospolitéj polskiéj", utwór wier-

szowany, którego myśl zasadnicza jest tasama, jak w „Zgodzie" i „Satyrze" Kochanowskiego. W następnym roku wydaje Pudłowski łacińską „Mowę za rzecząpospolitą i religią", w wielu ustępach natchnioną przez „Turcyki" Orzechowskiego. Sukces téj „Mowy" był niemały, bo wnet powołano jéj autora na dwór królewski, nadając mu godność sekretarza, na tém zaś stanowisku przetrwał aż do r. 1571, otrzymując kolejno od króla wójtowstwo na Krzepicach, i sołectwo we wsi Zajączkowie, a następnie dożywocie na tych dwóch posiadłościach. Z faktów, jakie zaszły w życiu jego wiejskiém wymienić należy wydanie „Fraszek", dokonane w roku 1586. W dwa lata późniéj przeniósł się autor do wieczności. Oprócz „Fraszek", będących najlepszém jego dziełem wydał Pudłowski jeszcze trzy mniejsze utwory wierszowane: „Sen", „Elegię polską" i „Testament Kumelskiego". Wydanie wierszy Pudłowskiego zostało dokonane nadzwyczaj starannie, co tém więcéj na wyszczególnienie zasługuje, że niektóre z nich stanowią dzisiaj unikaty; błędów drukarskich niema wcale. Wydanie to jednakowoż odbito jedynie w 129 egzemplarzach.

— *Friedjung Heinrich.* „**Der Kampf um die Vorherrschaft in Deutschland**" 1859—1866. Zwei Bände. Zweite Auflage. 8-o XVI + 604 str. Stuttgart. Verlag der J. G. Cottaschen Buchhandlung Nachf., 1898. Cena 24 M.—Dzieło to, którego wydanie pierwsze ukazało się w r. 1896; wyszło obecnie w wydaniu drugiém. Już to dowodzi, jak wielki interes zdołało ono obudzić. Istotnie dzieło Friedjunga należy do wybitnych zjawisk historyografii współczesnéj, Szczególniéj interesującém jest zestawienie tego dzieła z głośną pracą Sybla „*Die Begründung des deutschen Reiches durch Wilhelm I*". Sybel jest patryotą pruskim i opiéra się głównie na pruskich aktach państwowych. Friedjung jest patryotą austryackim, korzysta téż daleko obficiéj, niż Sybel, ze źródeł austryackich. Już przez to samo dzieło Friedjunga jest bardzo pożądaném uzupełnieniem historyi Sybla. Friedjung korzystał, naprzykład, z niedostępnych dla Sybla aktów wiedeńskiego archiwum wojennego (Kriegsarchiv), oraz niektórych korespondencyi prywatnych, np. z listów, które Benedek pisał do swéj żony w czasie wojny 1866 r. Miał téż sposobność uzyskania wielu informacyi ustnych od osób, biorących czynny udział w ówczesnych wypadkach. Między innemi rozmawiał z Bismarkiem, Moltkiem i Blumenthalem (rozmowy te odtwarza w dodatku do tomu II). Friedjung kréśli zupełnie inaczéj, niż Sybel. postać Benedeka, którego charakterystyka u Sybla jest błędna. Autor podnosi

fakt, że Benedek, wbrew woli i tylko ulegając rozkazom cesarza Franciszka Józefa, wystąpił do bitwy pod Königgrätz. Przeczuwał on klęskę i usilnie doradzał cesarzowi zawarcie pokoju za jakąbądź cenę. Ujemny wpływ na Benedeka wywierał też zdaniem autora Krismanič. Rozważając w ustępie końcowym skutki wojny 1866 r., autor ubolewa nad tém, że niemcy utracili odtąd swą przewagę w Austryi, wyraża jednak charakterystyczną nadzieję, że w przyszłości będzie to powetowane przez ściślejsze zespolenie Niemiec i Austro-Węgier. Do tomu pierwszego dołączone są dwie mapy, ilustrujące działania wojenne w Czechach i we Włoszech, oraz plan bitwy pod Custozą. Tom drugi zawiéra plany bitew pod Nachodem, Trautenau, Skalitz, Königgrätz, oraz bitwy morskiéj pod Lissą.

Romuald Sułowski.

= **Littauen vor 300 Jahren.** Von prof. dr. *Theodor Preuss.* Programm des Königl. Gymnasiums zu Tilsit 1897/8. 4-o Tilsit 1898. 12 str. Na początku XVII wieku był bardzo w użyciu atlas geograficzny Janssona. W atlasie tym do map rozmaitych krajów dodane były ich opisy w języku łacińskim. W wyżéj wymienionéj pracy dr. Preuss przetłómaczył jeden z takich opisów, mianowicie dotyczący Litwy, na język niemiecki. Bezimienny autor opisu znał widocznie dobrze Litwę i prawdopodobnie był Polakiem. Po krótkim wstępie historyczno-geograficznym przechodzi on do współczesnych mu stosunków. Ubolewa nad przykrém położeniem ludu litewskiego, zaznacza niektóre odrębności w uprawie roli, wymienia niezwykle srogie artykuły wojenne, wydane dla Wielkiego księstwa Litewskiego przez Chodkiewicza, wylicza 10 województw litewskich i główne ich miasta, między którémi stołecznemi grodami Wilnu i jego mieszkańcom dłuższą poświęca wzmiankę, wreszcie załącza opis Żmudzi, nadmieniając o pogańskich pozostałościach śród mieszkańców tego kraju, jako to: o czczeniu jaszczurek, jako bóstw domowych i obrzędach na cześć „Ziemiennika“, bożka zimy. *R. S.*

= Rektor uniwersytetu warszawskiego, profesor Grzegorz Zenger napisał po rosyjsku rozprawę, p. t. „Uwagi krytyczne nad utworami łacińskiemi poetów polskich XVI i XVII wieku“. Praca ta wydaną została w zbiorze pism, ogłoszonych ku uczczeniu trzydziestoletniéj działalności naukowéj i pedagogicznéj prof. I. W. Pomiałowskiego przez jego uczniów i słuchaczów, p. t. *Commentationes philologicae*" (Petersburg, 1897). *S.*

= **Encyklopedya Rolnicza**, wydawana staraniem i nakładem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, wzbogacona została świeżo „Zeszytem dodatkowym“, w którym pomieszczono sześć tablic hromolitografowanych starannie w znanym zakładzie W. Główczewskiego. Mamy tu dokładnie przedstawione owady szkodliwe w rozmaitych stanach ich postaci, oraz tekst objaśniający. Dla każdego rolnika wielce jest rzeczą pożyteczną umieć rozpoznać każdego wroga, których gospodarz wiejski tylu w królestwie owadów znajduje,—aby wiedzieć, jak się od niego bronić.

= Miłośnicy polowania zyskali w roku bieżącym własny swój organ w Warszawie „dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myśliwstwu, broni i hodowli psów myśliwskich“ pod tytułem „Łowiec Polski“. Wedle oświadczenia Redakcyi, głównym celem tego wydawnictwa jest rozpowszechnianie pożytecznych wiadomości o rozmnażaniu, pielęgnowaniu i ochronie zwierza łownego, krzewienie zdrowych zasad etyki łowieckiéj, szerzenie pojęć o poszanowaniu cudzéj własności w zastosowaniu do myśliwstwa. Pomiędzy współpracownikami spotykamy takie imiona, jak p. Sztolcman, słynny niegdyś podróżnik po dalekich krainach podzwrotnikowych i p. Aleksander Rembowski, ceniony publicysta.

= W siedlisku przemysłu bawełnianego, w Łodzi, od 1 kwietnia r. b. zaczął wychodzić tygodnik literacki ilustrowany, który nazwany został „Ognisko Rodzinne” dla tego, że najwięcéj zajmować się będzie sprawami rodzinnemi i społecznemi, ludzi, „którzy pisma swego dotąd nie mieli”. Redakcya rozumie tu całą masę klasy pracującéj w Łodzi i jéj okolicach, która nie może czytywać pism innych „bo są pisane mniéj przystępnie i za dużo kosztują” a rwie się całą duszą do poznania wiedzy. „Ognisko Rodzinne” kosztuje 50 kop. miesięcznie, więc jest pismem taniém. Niechże niesie oświatę klasie pracowników niezamożnych.

= Pan Hipolit Wawelberg, który najprzód dał nam tanią edycyę trylogii Sienkiewicza, a następnie dzieła Mickiewicza w takiejże edycyi udostępnił, obecnie wydał „Pisma Elizy Orzeszkowéj” w czterech tomach ścisłego druku, których cena za całość broszurowaną

wynosi rb. 1 kop. 60, a za cztery tomy oprawne rb. 2 kop. 20. Dochód ze sprzedaży tego wydawnictwa idzie na wyłączną korzyść autorki.

═ Korzystając z tego, że papież Leon XIII otworzył archiwum watykańskie dla badaczy naukowych, krakowska Akademia Umiejętności rozpoczęła przed dwunastu niemal laty pracę nad wyzyskaniem dla naszych dziejów tych bogactw rękopiśmiennych, które się w owém archiwum zawierają. Wiadomości o zdobyczach, jakie dawniéj przyniosły te poszukiwania, podawali p. p. Br. Dembiński, Wład. Abraham i Józ. Korzeniowski. W roku bieżącym prof. Abraham ogłosił „Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich w latach 1896/7 i 1897/8“ oraz w dodatku sprawozdanie z poszukiwań za listopad i grudzień r. 1898. Na 232 stronach mamy tu zrejestrowane zwięźle dokumenta do naszych dziejów średniowiecznych, które się w bogatych archiwach i księgozbiorach rzymskich udało wykryć delegatom Akademii. Dla przyszłych badaczy jest to podręcznik wielkiéj użyteczności.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dzienniki nasze mówią od dwóch miesięcy o przedmiocie ważnym i ciekawym. Po raz pierwszy zajęto się nim tak szczegółowo i sumiennie, a wyznać musimy, że przez krótką chwilę nie byliśmy wolni od obawy, czy rozprawy dziennikarskie nie zamącą téj zawiłéj kwestyi zamiast ją wyjaśnić.

Od dwóch miesięcy czytamy co parę dni o wędrówkach ludu naszego, udającego się na zarobek do Niemiec. Płacą mu tam lepiéj, a chłop nasz ma potrzeb coraz więcéj. Idzie więc z wiosną za granicę, a po upływie kilku miesięcy wraca z zapracowanym groszem. Powtarza się tu zatem to samo, co od niepamiętnych czasów znane jest w całym świecie. Towar płynie tam, gdzie popyt większy. Chłop polski przenosi swe silne mięśnie na targowisko, na którém w wyższéj są cenie. Społeczeństwo, które pod tylu najrozmaitszemi postaciami płaci haracz sąsiadom, odbiéra przynajmniéj cząstkę tego, dzięki zarobkom parobczaka i dziewuchy wiejskiéj.

Góral Karpacki od wieków wyrusza w równie z kosą; nie przypominamy sobie, żeby ktokolwiek upatrywał w tém powód zubożenia wiosek górskich. Nie pamiętamy wogóle, żeby ktokolwiek zarobki nie zmarnowane zagranicą, lecz skrzętnie odnoszone do kraju, uważał za klęskę ludności pracującéj.

A zarobki te nie są małe. Nie dawno miałem sposobność rozmawiania z dyrektorem jednego z banków poznańskich. Nie mógł zrozumiéć warszawskich jęków nad niedolą biednego kmiotka, idącego w świat po pieniądze. „Jak możecie wmawiać w siebie, że robotnik wasz wraca do kraju z pustemi rękami, kiedy ja miewam ich co roku po żniwach u siebie w banku. Przychodzą mieniać marki na ruble. A przecież ci co trafiają do mnie, stanowią tylko cząstkę téj ogromnéj fali. Policzmy tych, co kupują ruble w innych bankach lub u wekslarzy żydowskich, policzmy tych, co przechodzą przez miasta szląskie lub pruskie i wcale nie zawadzają o Poznań. Jeżeli w przeszłym roku wzięli ode mnie przeszło sto tysięcy rubli, to ileż zarobili ogółem? W każdym razie więcéj niż milion, a kto wie, czy nie trzeba sięgnąć jeszcze wyżéj".

I byłoby wszystko pięknie i dobrze, gdyby obok chłopa, któremu idzie o wyższy zarobek, nie było w kraju gospodarstw większych, którym idzie o taniego robotnika. Życie ekonomiczne, to nie sielanka. Prusacy, odciągając naszego chłopa, podnoszą cenę robocizny w Królestwie, a gospodarstwa większe, walczące od dawna z tyloma przeciwnościami i uginające się pod nawałem ciężarów, widzą przed sobą niebezpieczeństwo nowe.

Pojmujemy trwogę, jaką emigracya na roboty letnie wywołała na niejednym folwarku, doznalibyśmy jednak bolesnego uczucia, gdyby dziennikarstwo polskie na cały ten objaw społeczny patrzyło przez pryzmat interesów folwarcznych. A zanosiło się już niemal na to. Odzywały się nawet głosy, upatrujące jedyne lekarstwo na tę — urojoną, czy rzeczywistą — chorobę w zamknieciu granicy dla chłopa. Na szczęście pogląd taki zakorzenić się nie zdołał. Po artykułach, litujących się nad robotnikiem, powracającym z Prus, ukazały się artykuły inne. Dziś już wiemy nareszcie o tym ruchu ludowym tyle, iż niepodobna nam mówić o nim, jako o jakimś obłędzie chwilowym. Wiemy, że jest wynikiem pobudek ekonomicznych, rządzących światem. Zmienić to może tylko jakiś czynnik, równoważący owe pobudki. Niech chłop znajdzie w kraju warunki, bytu, w jakich żyje robotnik niemiecki, a przestanie emigrować na

lato. Wiemy, że jest to dzisiaj niemożebne, ale wiemy także, że, dopóki to możebne nie będzie, dopóty siły robocze ciągnąć będą do Niemiec.

To ocknięcie się opinii publicznéj dowodzi, jak dobroczynna jest w podobnych wypadkach jawna dyskusya. Gdyby nie to, królestwo przedstawiałoby się światu, jako jakiś przedpotopowy zakątek, w którym sprawy ekonomiczne załatwiane bywają w sposób nieznany gdzieindziej. Lubimy spoglądać z góry na sąsiednie prowincye, a jednak trudno sobie wyobrazić, iżby w Poznańskiém możliwa była krucyata przeciw najmowaniu się do robót w Brandeburgii i Saksonii dlatego, iż ci właściciele dóbr, którzy nie posprzedawali ich jeszcze komisyi kolonizacyjnéj lub Bankowi ziemskiemu, nie mogą płacić robotnikowi tyle, ile Niemcy. A cóżby się dopiéro działo w Galicyi na wiecach i zebraniach wyborczych, gdyby między ludem gruchnęła wieść, że panowie dowodzą w gazetach rządowi, iż nie powinien biédnych ludzi puszczać przez granicę na zarobek!

Mogli powiedzieć tak o nas; na szczęście nie powiedzą. Rozwaga wzięła górę. Zdania się starły a prawda na tém zyskała. Tu i ówdzie padło czasem słówko zbyt ostre. Cóż robić, skoro do wymiany myśli jest to u nas niemal koniecznie potrzebne.

A ta wymiana myśli staje się coraz częstsza. Oto na stoliku leży przedemną tomik, którego tytuł „W naszych sprawach“ zapowiada czytelnikowi rzeczy blisko nas obchodzące. W przedmowie opisuje nam p. H. R., jak ta książka powstała. Oto grono ludzi, przeważnie młodych, nie wykraczając poza granice życia towarzyskiego, nie *ex cathedra*, kommunikowało sobie w wieczornych rozmowach spostrzeżenia i uwagi dotyczące wszystkiego, czém ogół żyje. Niektóre z tych rozmów przynosiły jakiś ciekawy szczegół, lub parę świeżych myśli, wszystkie zaś toczyły się w przekonaniu, że udział w pracy nad urabianiem opinii publicznéj jest nie tylko prawem, lecz i obowiązkiem jednostki.

Oto geneza książki.

Wieje z niej jakiś duch zdrowy, a świeży. Tak! To najświeższa treść naszych rozmów i ton ich dzisiejszy. O czym więc roz-

mawiamy? O wrażeniach zebranych na urzędzie ławnika w Sądzie gminnym, o górnictwie polskiem o przyszłéj giełdzie zbożowéj, o organizacyi miast naszych, o podatkach.

Gdzie się podziały czasy, w których powtarzaliśmy naiwnie, że o tém wszystkiém gadać nie warto dopóty, dopóki wszystko radykalnie się nie zmieni. Rozprawialiśmy wtenczas przez połowę wieczoru o teatrze, a przez drugą połowę snuliśmy fantazye, o tym co będzie za lat sto.

Zwróciliśmy się do rzeczy realnych i umiemy cenić tę realną, niekiedy bardzo filisterską pracę. O takiej to właśnie pracy w sądzie gminnym mówi p. Juliusz Waliszewski, autor rozprawki, będącéj ozdobą tomiku, gdy powiada: „Cicha ta praca nie otoczy tych, co ją podjęli, głośną chwałą, nie ozdobi wieńcem z wawrzynów grobowego ich pomnika, ale chyba ziemia rodzinna lekką im będzie, bo oni tę ziemię szczerze, prawdziwie kochali.”

P. Henryk Radziszewski, autor pracy o podatku gruntowym, wydając swym nakładem tę pracę zbiorową, sprawił nam radość prawdziwą, tém większą, że tomik ten nosi na swéj szacie zewnętrznéj godło w postaci jedynki. Zapowiada to seryą tomów.

Sam fakt zajmowania się sprawami publicznemi zbliża nas do społeczeństwa, które pozostawiły nas daleko poza sobą. O tém, czy jesteśmy bardzo od nich odlegli toczyła się właśnie w ostatnich dniach rozprawa gorąca. Ktoś powiedział, że do europejskości brak nam tylu jeszcze przymiotów. Ktoś inny nazwał to paszkwilem — i mamy dwa zdania wręcz przeciwne. Jak tu przepłynąć między niemi? Jak się wywinąć z tego dylemmatu, a nie narazić się ani na zarzut uczestnictwa w paszkwilu, ani na podejrzenie o nieuropejskość?

Przedewszystkiém będziemy szczerzy.

Zostaliśmy w tyle, ani mowy. Całe dziedziny życia naukowego leżą u nas odłogiem. Malarstwo i rzeźba wloką się leniwie śladem sztuki zagranicznéj. Co gorsza nie mamy dotychczas dwóch niezbędnych znamion prawdziwéj kultury, nie umiemy szanować cudzego zdania, cudzych upodobań i ideałów i nie umiemy znosić

spokojnie, gdy ktoś nie zachwyca się naszemi. Zdaje nam się niejednokrotnie, że dajemy już najwyższy dowód tolerancyi, liberalizmu, bezstronności, gdy na oścież otwieramy wrota najnowszéj modzie, najnowszéj teoryi, lub najnowszemu przesądowi, a zapominamy, że prawdziwa tolerancya jest wyrozumiała i dla pojęć, które nie są ani nowe, ani modne, ani popularne, jak również zapominamy o tém, że zmuszanie ludzi, by się zachwycali cnotami zbiorowiska, w którém żyją, jest najsroższą tyranią.

Ale jeżeli nie jesteśmy jeszcze ideałem europejskości, to z drugiéj strony, o ile wogóle jesteśmy czémś, jesteśmy europejczykami. Żyjemy wśród prądu, który nie porwał nas jeszcze całkowicie, ale z którego nie wyprze już nas nic. Jesteśmy typem mniéj doskonałym, ale typem europejskim, a przyszłość nasza nie w jakiémś radykalném przeobrażeniu tych pierwiastków cywilizacyjnych, które u nas tkwią, ale w rozwijaniu ich i doskonaleniu.

Tad. Smarzewski.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Апрѣля 1899 года.